

# Prawo do twórczości

Stanisław Piasecki



Cyfrowa Biblioteka  
Myśli Narodowej

Tekst zdigitalizowany i opublikowany został w ramach projektu „Cyfrowa Biblioteka Myśli Narodowej”. Więcej o samym projekcie oraz innych naszych publikacjach można przeczytać na naszej stronie internetowej – [cbmn.pl](http://cbmn.pl)

Tekst opracowany na podstawie: Stanisław Piasecki, *Prawo do twórczości*, Prosto z Mostu, Warszawa 1936.



Tekst znajduje się w Domenie Publicznej i może być dowolnie rozpowszechniany i powielany. Autorzy publikacji cyfrowej zrzekają się wszelkich praw autorskich związanych z digitalizacją i obróbką tekstu na zasadzie licencji [Creative Commons Zero](https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/)

Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego.



Dofinansowano ze środków  
Narodowego Centrum Kultury  
w ramach programu  
„Kultura w sieci”

# SPIS TREŚCI

Od autora .....	4
-----------------	---

## I.

Prawo do twórczości.....	7
Produkcjonizm, styl i moda.....	11
Tajemnica 48 chromosomów .....	15
Pogrzeb Newtona.....	20
Z pieca na łeb .....	24
Latający dywan .....	29
Imperializm idei.....	33
Cenzus wieku .....	36
Myśli prawie.....	41
Podróż międzyplanetarna.....	47
Słowo i treść .....	55
Sprawa najważniejsza w ważnych .....	60
Odzew .....	67
W młodych oczach.....	73
Jesteśmy polonafilami .....	79
Mocarstwowość i cudzofilstwo .....	83
Czytając list pasterski .....	87

## II.

Podróż bez hamulców .....	93
Chłopy idą .....	96
Literatura chłoposka rozwija się.....	100
Kawiarniane cenzurki.....	105
Wsi spokojna, wsi wesola.....	107
Bezsporne i sporne .....	111
Ofensywa jednolitego frontu .....	115
Front sowiecki i front polski.....	121
Dwie prawdy .....	129
Taka sobie czytanka .....	133
Wawrzyn akademicki przedstawia się.....	140
Cook, Pontus de la Gardie i „Było tak”.....	146
Ofensywa dłubaczy.....	157

## OD AUTORA

Książka, obraz, rzeźba czy utwór muzyczny powinny się tłumaczyć same, bez wszelkich objaśnień autora. Komentarz autorski jest zawsze dowodem jakiegoś niedopełnienia zamiaru; autor, obawiając się, że niedostatecznie wyraził to, co chciał wyrazić, ratuje się tłumaczeniem odbiorcy swych intencji, albo tłumaczeniem się przed odbiorcą ze swych niedociągnięć.

Zamieszczenie więc na początku książki wstępu „od autora” jest już, samo przez się, przyznaniem się do jej braków. Nie inny sens mają słowa, które kreślę obecnie. Ich zadaniem jest po prostu uprzedzić czytelnika, że „Prawo do twórczości”, które zaczyna czytać, nie jest książką w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jest tylko książkowym zbiorem artykułów publicystycznych, pisanych w latach 1934 – 1936 i ogłaszanych na łamach zrazu dodatku literackiego „ABC”, a potem (od stycznia 1935 r.) tygodnika „Prosto z Mostu”, teraz zaś uporządkowanych w pewną całość i wydanych pod wspólnym tytułem.

Część I. zawiera przeważnie artykuły, które w początkowym zamyśle autorskim miały się złożyć na książkę prawdziwą, pisaną jednym tchem od początku do końca, według określonego planu konstrukcji treści. Miał to być zarys przemyśleń osobistych na tle rodzącego się w powojennym pokoleniu polskiego, nowego i narodowego poglądu na świat. Niestety, codzienna praca dziennikarska i redaktorska nie pozwoliła mi na urzeczywistnienie tego zamiaru. Powstała konieczność podzielenia planowanej książki na artykuły, ogłaszane kolejno w prasie.

Ale i ten projekt się nie udał. Już pierwszy artykuł (ten, który dał tytuł książce: „Prawo do twórczości”) wywołał polemikę. Trzeba było od razu odpowiadać, wystrzeliwując argumenty, pomyślane w konstrukcji całości na później. W miarę ogłaszania dalszych artykułów, polemiki mnożyły się. Plan uległ rozbiciu. Przestałem się go trzymać. Aktualność polityczna wysuwała pewne zagadnienia przed innymi (np. proces Bandery i towarzyszy wywołał artykuł „Sprawa najważniejsza z ważnych”). Powstał stąd nowy plan, który improwizowało życie. Straciła może na tym systematyczność wykładu, ale za to artykuły zyskiwały na żywotności i bezpośredniości wypowiedzenia się. Zebrane w książce, są nie tylko czymś w rodzaju przeglądu zagadnień ideowych, poruszających dziś młode pokolenie narodowe, ale dają także pewien obraz formowania się zagadnień w ogniu polemik i aktualnych problemów życia polskiego.

Przygotowując książkę do druku, włączyłem do jej pierwszej części dwa artykuły, dawniej pisane i okolicznościowego raczej charakteru („Tajemnica 48 chromosomów” oraz „Produkcjonizm, styl i moda”), które jednak poruszały kwestie, ściśle łączące się z resztą artykułów, a niezbędne jako ogniwa rozumowania, na które się nieraz później powoływałem. Weszły również w skład tej części dwa artykuły polemiczne, ściśle już z aktualnością związane („Jesteśmy polonofilami” oraz „Mocarstwowość i cudzofilstwo”), w których jednak poruszone zostały zagadnienia charakteru zasadniczego.

Już te wyjaśnienia zorientują czytelnika, że książka, tak skonstruowana, nie rości sobie bynajmniej pretensji do wyczerpania zagadnień, które porusza, ani nawet do ich pobieżnego zarejestrowania. Jedne sprawy (np. stosunek nacjonalizmu do socjalizmu) na skutek polemik rozrosły się, inne zostały poruszone mimochodem.

Ten dorywczy charakter jeszcze wyraźniej zaznacza się w drugiej części książki, która stanowi zbiór artykułów, przeważnie literackich. Postawa autora wobec zjawisk, jakie omawia, jest konsekwencją założeń zasadniczych, przedstawionych w części pierwszej. Tym tylko część drugą łączy się z pierwszą. I tu oczywiście daleko do wyczerpania tematów literackich, jakie w ciągu ostatnich dwóch i pół lat nasuwały się publiczności. Z tego np., że omówione zostały książki: Burka „Droga przez wieś”, Kruczkowskiego „Pawie pióra”, Wańkowicza „Szczeniące lata”, Wołoszynowskiego „Było tak”, czy Świętochowskiego „Genealogia terażniejszości”, nie należy wyciągać wniosku, abym te tylko książki uważał za ważne w dorobku literackim Polski ostatnich lat. Po prostu te książki dały mi sposobność do rozsnucia pewnych kwestii – i nic więcej.

Układ artykułów w książce nie jest chronologiczny; dat ukazywania się poszczególnych artykułów pomimo to nie podaję, bo albo czytelnikowi łatwo je będzie umiejscowić w czasie z ich treści, albo jest to bez znaczenia. Tam, gdzie może mieć znaczenie, zaznaczam datę w przypisku.

*Stanisław Piasecki*  
Warszawa, 29 czerwca 1936 r.

**I**

# PRAWO DO TWÓRCZOŚCI

W genialnej satyrze Huxleya „Nowy, wspaniały świat” jest pod koniec taki moment, gdy dzikus, dostawszy się do Stanów Zjednoczonych Świata, uszczęśliwionych komunizacją, standaryzacją i stabilizacją (takie idealne państwo przyszłości), woła przerażony i zgnębiony:

– Nie chcę wygody! Chcę Boga, poezji, prawdziwego niebezpieczeństwa. Chcę wolności, chcę cnoty. Chcę grzechu. Żądam prawa do nieszczęścia, starości, brzydoty i niedołęstwa; prawa do syfilisu i raka; do głodu, do tyfusu; do wszy; do życia w ciągłym strachu przed jutrem!

Niepodobna nie słyszeć tego wołania, gdy się myśli o popularnych dziś receptach na przebudowę świata, o pomysłach zapewnienia ludzkości szczęścia przy pomocy racjonalnej organizacji wielkiej masy – nowego ustroju gospodarczego współczesności. Paradoksalne ujęcie huxleyowskie nie jest tak dalekie prawdy, jakby się zdawało. Nie trzeba go tylko brać dosłownie. W wołaniu dzikusa o prawo do wszystkich klęsk, gnębiących dziś ludzkość, które usunąć obiecuje nam planowa gospodarka, jest przede wszystkim poczucie niedostateczności mechanicznych sposobów naprawiania świata. Znakomicie uregulowany mechanizm społeczno-gospodarczy, uregulowany wyłącznie na podstawach wiary materialistycznej, może się okazać równie groźny i niebezpieczny dla człowieka, jak dotychczasowa anarchia głodu, nędzy i choroby.

Można i trzeba już dziś o tym mówić jasno i otwarcie, bez obawy posądzenia o konserwatyzm i wysługiwanie się zainteresowanym w utrzymaniu obecnego ustroju. Pewne pojęcia, do wczoraj jeszcze rewolucyjne, tak się zdołały upowszechnić, że właśnie uchodzą one za konserwatyzm. Któż odważy się dziś zakwestionować publicznie prawo do chleba, będące jeszcze do niedawna co najwyżej nakazem odświętnej filantropii wobec maluczkich? Kto wystąpi przeciw prawu do pracy, gdy już co druga książka beletrystyczna snobuje się tragizmem bezrobocia? Walczyć o usunięcie materialistycznych nierówności społecznych i tylko tyle a nic więcej – znaczy wybijać otwarte drzwi.

O miedzę, za wschodnią granicą, dokonywa się gigantyczny eksperyment budowy ustroju, w którym teoretycznie materialne nierówności społeczne są usunięte, a własność uspołeczniona, czy też raczej upaństwowiona. W literaturze sowieckiej, tak teraz masowo tłumaczonej na język polski, na każdej niemal karcie spotyka się opisy entuzjazmu młodzieży, budującej nowy, wspaniały świat. To samo w filmach sowieckich, coraz częściej wyświetlanych na naszych ekranach. Nie wydaje mi się ani na chwilę, jak (to sądzi wielu przy kawiarnianych stolikach, aby ten patos entuzjazmu, buchający z sztuki sowieckiej, był robiony na rozkaz z góry, dla propagandy tylko. Ten entuzjazm jest naprawdę i nie ma się czemu dziwić. Porywająca to rzecz budować nowy, lepszy świat, gdy się wierzy w słuszność programu. Porywająca nawet bez butów, nawet o głodzie i chłodzie. I nie w ten zagadnienie, jak jest w Rosji sowieckiej obecnie, ale w ten, jak będzie, gdy ten nowy ustrój zostanie zbudowany i wykończony. A tu można powiedzieć z całą

pewnością: lepiej jest teraz, bez butów, ale z entuzjazmem niż będzie kiedyś, kiedy cały mechanizm zostanie wykończony, kiedy głodny człowiek, sycący się teraz rozkoszą tworzenia, stanie się człowiekiem sytym, ale tylko – kółkiem w maszynie...

Nie jest to bynajmniej sprawa, która może nas obchodzić czysto teoretycznie, jako horoskop, ustawiony dla sąsiada. Ten horoskop jest także dla nas. Świat bolszewiczeje. To samo prawie, co Sowiety zrobiły rewolucją od dołu, Roosevelt próbuje robić w Ameryce rewolucją od góry. Nadużycia prywatnego kapitalizmu stały się tak dla wszystkich oczywiste, niesprawiedliwość wyzysku tak obmierzała, a rozstrój gospodarczy, wywołany egoizmem interesów tak groźny – że pora była już wielką chwycić byka za rogi. Różnie się do tego różne narody zabierają; rzadko frontowym atakiem, częściej po cichu, zachodząc od boków. Ale wszędzie doktryna marksowska święci triumfy: kapitał, koncentrując się, ułatwia tym samym objęcie go przez społeczność za jednym zamachem. Im wyższy stopień koncentracji, im bardziej przemysł rozbudowany, im gospodarka rolna bardziej zmechanizowana, im administracja państwowa bardziej zbiurokratyzowana – tym łatwiej wszystko przejąć i poprowadzić dalej na nowych zasadach. O ile niewątpliwie upaństwowienie kapitału (bo to uspołecznienie kapitału zawsze jest w praktyce upaństwowieniem) umożliwi znacznie sprawiedliwszą, racjonalniejszą i zdrowszą dla interesów zbiorowości gospodarkę, ale właściwie w ramach tego samego ustroju kapitalistycznego. Zmienia się tylko właściciel; prywatny kapitalizm wyrugowany zostaje przez państwo; jest to już rzeczą obojętną, czy to będzie państwo narodowe, czy też konsekwentniej, jak w satyrycznej wizji huxleyowskiej – Stany Zjednoczone Świata.

Utarło się przekonanie, że największą zbrodnią ustroju kapitalistycznego jest wyzysk materialny, stworzenie rażącej dysproporcji w rozdziale dochodu społecznego. Temu oczywiście zniszczenie prywatnego kapitalizmu może w znacznej mierze zaradzić, choć niezupełnie, bo państwo, które przejmuje dotychczasowe atrybuty prywatnych przedsiębiorców nie jest przecież abstrakcją; państwo to przede wszystkim ludzie, którzy nim kierują, a w tej warstwie rządzącej mogą się łatwo obudzić nie mniejsze egoizmy niż w dawnych baronach przemysłowych. Ale jest jeszcze druga, cięższa zbrodnia ustroju kapitalistycznego, niż wyzysk materialny – to zbrodnia duchowego zubożenia człowieka,

Laissezfairyzm gospodarczy, który doprowadził w czasach nowożytnych do gwałtownej koncentracji kapitału, a wraz z rozwojem techniki, skierowanej od razu przez władców kapitału ku pomysłom wielko-maszynowym (wszelkie wynalazki, które mogły uniezależnić szarego człowieka od wielkiej produkcji, wykupywano i zakorkowano od razu) – dał podstawy pod rozwój wielkiego przemysłu. Zmienił nie tylko strukturę społeczno-ekonomiczną świata. Zmienił jego strukturę społeczno-kulturalną. Zestandardyzowano produkcję i do jej potrzeb zaczął standaryzować człowieka. Człowiek stał się potrzebny tylko jako nabywca standaryzowanych towarów i jako standaryzowane kółko w maszynie produkcji. Inwencja twórcza w sporządzaniu najzwyczajszego drobiazgu użytkowego stawiała się coraz bardziej wyłączną domeną garstki speców od projektowania matryc i sztamek, z których maszyny odbijały w setkach tysięcy standaryzowane, jednakowe przedmioty. Przy maszynach fabrycznych stoją ludzie,



wykonujący w ciągu określonej liczby godzin określoną liczbę mechanicznych, bezmyślnych, ogłupiających ruchów, aby za tę pracę, nie dającą żadnego zadowolenia, bo odciętą od wszelkiej twórczości, dostać określoną ilość pieniędzy, za którą można kupić standaryzowane przedmioty, wytwarzane przez fabryki...

Odarto człowieka z człowieczeństwa. Pozbawiono go największej rozkoszy ludzkiej – twórczości. Tę zarezerwowano dla elity. Szaremu człowiekowi niech wystarczy, że haruje, że je i że może iść do kina. Praca stała się przekleństwem, a brak pracy – to głód i nędza. Czyż dziwić się potem, że w programach proletariackich, obok postulatu usunięcia wycisku przez uspołecznienie kapitału, nieodmiennie powtarzają się postulaty ograniczenia godzin pracy? Praca większości ludzi w ustroju wielkoprzemysłowym straciła swój dawny charakter wyładowywania instynktu twórczego, tego instynktu, który odróżnia człowieka od zwierzęcia, tego instynktu, który jest iskrą Bożą w ludzkiej duszy. Chłop siejący zboże i uczestniczący współtwórczo dzień po dniu w tajemniczym misterium przyrody na swoim zagonie, szewc obmyślający kształt przyszwycy do nowej pary butów, czy (bardziej nowocześnie) mechanik konstruujący „z własnej głowy” karoserie do samochodu – mają zupełnie inne poczucie, niż parobek przemierzający na traktorze kilometry cudzej ziemi, fabryczny pracownik szewski wycinający mechanicznie sztancą kapkę obuwia, czy robotnik w Detroit u Forda, stojący przy taśmie automatycznej. Nie wystarczy ich upaństwowić, aby czuli się dobrze. To tylko może poprawić ich warunki materialne, skrócić czas pracy, uchronić od bezrobocia. Człowieczeństwa im to nie wróci.

Tam, gdzie jak w Rosji Sowieckiej, odbywa się rozbudowa przemysłu do skali światowej już przez uspołeczniony (czytaj: upaństwowiony) kapitał, a nie przez kapitał prywatny, entuzjazm zbiorowej budowy podsycany zresztą umiejętnie rekordomanią, starczy może czasowo za namiastkę twórczości indywidualnej. Przeklinać swój los będą dopiero ci, którzy staną na stałe przy zbudowanej entuzjazmem ojców taśmie automatycznej. Innym narodom nawet tej pociechy okresu entuzjazmu nie stanie. Nie będą pionierami. Pójdą po utartych śladach. Pójdą, aby zagrać o małą już dziś stawkę zmiany właściciela kapitału, nie tykając samej podstawy ustroju kapitalistycznego: koncentracji.

To, co mogło się wydawać jeszcze kilka lat temu rewolucyjną śmiałością w myśleniu, trąci już dziś konserwatyzmem. Trzeba myśleć śmieiej i mieć ambicję narzucenia tej myśli światu. Zaatakować ustrój obecny w jego najistotniejszym punkcie: zasadzie koncentracji kapitału. Walczyć o dekoncentrację, bo tylko przy dekoncentracji możliwe jest zaspokojenie obok prawa do chleba i prawa do pracy – także prawa do twórczości. Prawo do chleba bez prawa do pracy jest jałmużną. Prawo do pracy bez prawa do twórczości jest niewolą. Jeśli tego na razie nie rozumieją ci, których prawa do twórczości pozbawiono od długich lat, których wyzuto z człowieczeństwa i zaprzędano w niewolę mechanizmu koncentracji przemysłowej – to tym bardziej obowiązek wołania spada na tych co najlepiej rozumieją, czym jest możliwość zaspokojenia instynktu twórczości w życiu człowieka: na pisarzy, malarzy, muzyków, na świat sztuki. Będzie to walka o wyższy typ duchowy społeczności, walka o upowszechnienie kultury pojmowanej

nie jako odświętny odpoczynek po ogłupiającej pracy, ale jako zasady samej pracy. Stworzony przez ustrój zarówno prywatno-kapitalistyczny, jak i państwowo-kapitalistyczny podział na twórców i wytwórców jest równie wielką krzywdą społeczną, jak podział na bogatych i biednych.

## PRODUKCJONIZM, STYL I MODA

Maszyna do pisania była mi zupełnie niepotrzebna. Po pierwsze: nie umiem pisać na maszynie. Po drugie: mam dość czytelny i wyraźny charakter pisma, który zecerom (wysoko kwalifikowany pracownik zecerni wykonujący skład ręczny lub maszynowy na potrzeby druku typograficznego przyp. red.) nigdy nie sprawiał większych kłopotów. Wreszcie: w wariackim tempie pracy dziennikarsko-publicystycznej, do jakiego zmuszają dzisiejsze warunki, nie miałbym czasu na opanowywanie tajników maszynowego pisma. Nie jest to bowiem wcale, jakby się zdawać mogło, sprawa tylko techniki palcowania, stosunkowo jeszcze najłatwiejszej do zdobycia. Rzecz wymaga przede wszystkim zmiany techniki myślenia pisarskiego, od szeregu lat związanego psychofizycznie z ruchami ręki, trzymającej pióro, wytworzenia w sobie techniki myślenia nowej, wiążącej się z procesem wystukiwania liter na maszynie. A to już nie jest takie proste. U większości moich kolegów, którzy zaczęli pisać na maszynie, obserwuję objawy zepsucia stylu i spłylenia myśli. Znak nieomylny, że osiągnięcie biegłości palcowej w pisaniu maszynowym, nie odbywa się równoległe z psychicznym procesem przestawiania techniki myślenia pisarskiego.

Dlatego też miałem i mam stosunek zdecydowanie negatywny do gorączkowego umaszynowania pracy pisarskiej publicystów i literatów naszego pokolenia. Może pokolenia następne, które za młodu już nawykłą do maszyny, znajdą się w innej sytuacji. Nam jeszcze wystarcza pióro (tyle, że wieczne) i bodaj lepiej odpowiada.

Aliści... I tu właśnie jest cała historia:

Było to przed kilku laty. Zaczęło się od telefonów. Uprzejmy, żeby nie powiedzieć słodki głos. Lawina argumentów. „Wszyscy dziennikarze i wszyscy literaci już używają maszyny do pisania”. Wczoraj nabył maszynę ten, dzisiaj tamten, jutro dochodzi do skutku transakcja z owym. „Szanowny pan również powinien iść z duchem czasu”. Obietnica najdogodniejszych warunków. Prośba o zapoznanie się z najnowocześniejszą maszyną do pisania, jakiejś amerykańskiej firmy, której to firmy mój telefoniczny rozmówca ma zaszczyt być reprezentantem. Byłem nieustępliwy – i telefony po jakimś czasie szczęśliwie urwały się.

Aż któregoś popołudnia dzwonek w mieszkaniu. Jakiś pan w „sprawie osobistej”. Po kilku chwilach rozmowy poznałem ten sam słodki głos z telefonu, Ale już nie miałem możliwości dojść do słowa. Zostałem dosłownie zalany potokiem wymowy. Gdy zaś drzwi za przybyszem się zamknęły i znalazłem się, przytomniejąc, znów sam, na biurku stała maszyna do pisania, pozostawioną „na próbę”. Oczywiście bez żadnych zobowiązań. Tylko na próbę.

Dalszy ciąg już prosty. Idiotyczne uczucie zażenowania, że bądź co bądź miało się maszynę u siebie przez kilka tygodni i parę razy stuknęło się na niej (nie nabierając zresztą wcale entuzjazmu). Potem druga wizyta agenta, znów potoki wymowy, chwila słabości („Ach, żebyś się raz już od niego odczepić!”) – i podpisanie weksli (dogodne raty!)

na sumę kilkuset złotych. W kusym budżecie dziennikarskim wyrwa poważna. Toteż po paru miesiącach maszyna (nietknięta) powędrowała do lombardu za jedną szóstą ceny kupna i tam do dzisiejszego dnia spoczywa. Płacę od niej procenty...

Ale to jeszcze wyjście najszcześniejsze. Bo gdybym maszynę miał w domu i nie daj Boże, przyzwyczaił się do niej – zostałbym już na całe życie niewolnikiem wielkiego przemysłu maszyn do pisania. Uświadomiłem to sobie przed kilku dniami, gdy znowu w telefonie odezwał się słodki głosik: „Szanowny pan zadowolony z maszynki, nabytej u nas? No, tak, oczywiście, nie mam o co pytać. Ale teraz dopiero mamy coś dla szanownego pana. Najnowocześniejszy typ, który świeżo nam przysłano z Ameryki. Masa ulepszeń. Ta maszyna, którą szanowny pan nabył przed trzema laty jest już przestarzała”... Odpowiedziałem coś takiego, że przypuszczam, ani następny telefon, ani wizyta agenta w domu, już mnie nie czeka. Niech się martwią ci, którzy dali się uwikłać. Ja jeszcze wywinąłem się stosunkowo tanim kosztem – szajłokowskimi procentami w lombardzie.

---

Dlaczego opowiadani tu tę bardzo zresztą zwykłą historię?

Przyszła mi ona świeżo na myśl przy czytaniu świetnego artykułu Bogdana Suchodolskiego „W siódmach produktywizmu”, zamieszczonego w „Pionie”. Artykuł ten to *rara avis*<sup>1</sup> w naszej publicystyce literackiej. Miele się nieustannie stare komunały, kwili się sentymentalnie nad losem bezrobotnych, rozdziera się szaty, że panuje głód i nędza, a równocześnie amerykańscy farmerzy topią nadprodukcję zboża w morzu – i, kilka wierszy dalej, zachłystuje się tzw. nowoczesnością, wychwala się pod niebiosa tempo postępu maszynizacji<sup>2</sup>. Nigdzie ani cienia próby pogłębienia zagadnień ekonomicznych wciskających się w każdą komórkę naszego życia, decydujących o typie naszej kultury, wysuwających się na czoło spraw, jakie przyjdzie nam już niedługo rozstrzygać w obronie zagrożonej cywilizacji.

Suchodolski porusza w swoim artykule sprawę ważną, sprawę najistotniejszą bodaj w dzisiejszych czasach, sprawę terroru produkcji. Produkować, produkować, produkować! – oto hasło, które słyszymy zewsząd. Lekarze kryzysu głowią się, jak wzmóc produkcję, bo przecież to tylko może przywrócić zachwianą równowagę, plany reformy gospodarczej układane są pod kątem widzenia odbudowy rynku zbytu, Tylko jakoś nie poddaje się krytyce samej zasady, nie myśli się o tym, że wściekłe tempo produkcji przemysłowej wyprzedziło proces narastania istotnych potrzeb społeczeństwa, że jakiś

---

<sup>1</sup> [łac.] „biały kruk” [redakcja]

<sup>2</sup> Chwalebny wyjątek stanowią: Zygmunt Raczkowski (szkoda, że swoich licznych artykułów przeciw maszynizacji nie wydał dotąd w książce) i Adam Doboszyński, autor „Gospodarki narodowej”. Obaj stoją pod wielkim wpływem chestertonowskiego dystrybucjonizmu. (Przypisek późniejszy).

czas udawało się te potrzeby tworzyć sztucznie, narzucać – aż przeciągnięta struna musiała pęknąć i przyszedł tzw. kryzys.

Opowiedziana powyżej historyjka o maszynie do pisania jest typowa. Dlatego, że jakiś fabrykant amerykański wyprodukował pewną ilość maszyn do pisania i chce je produkować dalej, bo daje mu to duże zyski – narzuca się nam gwałtem potrzebę, której jeszcze nie odczuwamy, bez której moglibyśmy się doskonale obejść. Dlatego, że przedstawiciel owego fabrykanta w Polsce chce czerpać zyski z pośrednictwa, a jego agenci zarabiają procent od każdej sprzedanej maszyny – my mamy obowiązek podwyższać nasze budżety o wydatek na niepotrzebną nam maszynę do pisania, zaharowywać się jeszcze bardziej, dociągać zarobki do coraz to podnoszącej się przez tzw. postęp techniczny skali życia. Daliśmy się raz złapać – jutro przyniosą nam nowy, nowocześniejszy typ maszyny.

Wytwarza się w ten sposób jakieś błędne koło. Puszczonej raz w ruch lawiny produkcji, rosnącej z szybkością postępu geometrycznego, nie sposób powstrzymać. Powstrzymanie – oznacza zamknięcie fabryk, bezrobocie, głód. A tymczasem tworzone sztucznie potrzeby dla skonsumowania tej produkcji, które zrazu dotrzymywały kroku postępowi geometrycznemu techniki, stanęły dęba. Życie człowieka nie wyczerpuje się przecież w zaspakajaniu potrzeb materialnych i gdy zaspakajanie tych potrzeb (nadmiernie sztucznie tworzonych) zaczyna zużywać zbyt wiele energii, gdy zaczyna zamieniać człowieka w niewolnika, gdy uniemożliwia mu życie duchowe, wytchnienie, skupienie się – musi zrodzić się bunt. Nie chcemy, żeby rządził nami interes produkcji, żeby przemysł dyktował nam, jakie mamy mieć potrzeby – stosunek musi ulec odwróceniu. Narastanie naszych potrzeb niech wykreśla rozmiary produkcji.

---

Sprawa produkcjonizmu jest więc nie tylko sprawą ekonomiczną, ale jest – i może przede wszystkim – sprawą kulturalną. Suchodolski słusznie położył w swoim artykule nacisk na tę stronę zagadnienia, ustalając, że przez produkcjonizm<sup>3</sup>, którego hasłem jest ciągła nowość, uniemożliwia się człowiekowi nawiązanie trwalszego stosunku z dziełami twórczości, ustala się stosunek konsumpcyjny. Co gorsze, odciska się to również na psychice twórców, którzy stają się coraz bardziej wytwórcami, goniącymi za efektem chwili i mody.

Rzecz zazębia się w tym punkcie o przyszłość naszego życia artystycznego. Byliśmy do niedawna bardzo dumni, że minionemu okresowi bezstylowości schyłku XIX-go i początku XX-go wieku przeciwstawiamy wolę stworzenia właśnie – stylu. Stylu, który dla braku innego terminu określamy mianem stylu nowoczesnego. Dziś, oglądając się za siebie, konstatujemy już z niepokojem, że duma stylotwórcza nie znajduje dotąd

---

<sup>3</sup> Suchodolski używa terminu produktywizm. Termin ten nie wydaje mi się szczęśliwy, jako pochodzący raczej od słowa „produkt”, niż od słowa „produkcja”.

potwierdzenia w rzeczywistości. Próby tworzenia stylu ciągle przeżera uganianie się za modą. Nieopatrznie postąpił ten, kto np. mieszkanie swoje umeblował nowocześnie. Meble sprzed kilku lat stają się już dziś – niemodne. Bezpieczniej zaufać staremu, poczciwemu Biedermayerowi...

Ta nieustanna płynność, to wypieranie nowości przez nowość i mody przez modę, przeniesione w dziedzinę sztuki z nakazów produkjonizmu w przemyśle – stanowi niebezpieczeństwo groźne dla kultury. Niebezpieczeństwo, które pora już sobie uświadomić. I rozpocząć walkę.

## TAJEMNICA 48 CHROMOSOMÓW

Z dawna obiecywałem sobie odrobić w okresie świątecznym zaległości w lekturze i recenzjach. Cztery dni na Boże Narodzenie, dwa dni na Nowy Rok i dwa na Trzech Króli – kumulacja świąt z niedzielami rzadka i umożliwiająca nareszcie solidne poczytanie, gdy na co dzień ma się zaledwie czas na czytanie przypadkiem, pomiędzy powrotem z redakcji a pójściem do teatru lub na koncert, w nerwowej atmosferze ciągłych telefonów, niezalatwionych spraw wczorajszych i tych, które ma się załatwić jutro.

Ale solennie dawane sobie obietnice wyczyszczenia biurka recenzyjnego okazały się rychło marzeniem ściętej głowy. Im bliżej było świąt, tym bardziej niepokojąco rósł i spiętrzał się stos książek na biurku. Jakby wydawców ogarnął istny szał. Przez pół roku chyba nie ukazało się tyle nowych książek, ile przez tych kilka tygodni przedświątecznych.

Co wybrać i od czego zacząć? Tu ęci tytuł, tam znów nazwisko wiele obiecuje, oto głośna powieść świeżo przetłumaczona na język polski, to z kolei parę interesujących tomów szkiców literackich, znów powieści, powieści, powieści – i stopi: dwa grube, szare tomy, solidny format książki naukowej. Skąd się to zabłąkało pomiędzy kolorowe okładki beletrystyki? Tytuł: „Psychiatria”. Nazwisko autora. Jakub Frostig<sup>4</sup>. Pierwsza myśl redaktorska, że będzie kłopot z wyszukaniem recenzenta. Książka jest niewątpliwie fachowym podręcznikiem uniwersyteckim i to w tak specjalnej dziedzinie, jak psychiatria.

Na półodruchowo, bez poważniejszych zamiarów, ot tak sobie, żeby zobaczyć, co to właściwie jest, rozciąłem kilka pierwszych kartek. Wstępne uwagi „Od autora” nie brzmią zbyt zachęcająco: „Przyjmuję z góry, że zainteresowani zawodowo czytelnicy są dokładnie obznajmieni z anatomią, histologią i fizjologią mózgu oraz kliniką objawów neurologicznych”. Nie jestem dokładnie, ani nawet niedokładnie zaznajomiony z tymi wszystkimi działami wiedzy medycznej – ale co prawda, nie jestem również czytelnikiem „zawodowo zainteresowanym” psychiatrią. Dlaczego więc nie spróbować jeszcze kilka kartek przejrzeć? No i ta właśnie próba stała się grobem wszystkich pięknych zamiarów odrobienia przez święta zaległości, bo, gdy zacząłem czytać dalej, to już nie byłem w stanie oderwać się od „Psychiatrii” Frostiga, aż jej nie przeczytałem do ostatniej kartki.

A proszę nie przypuszczać, że jestem jakimś zakonspirowanym w dziedzinie humanistyki przyrodnikiem z zamiłowania. Nic podobnego. Do nauk przyrodniczych w ogóle, a do medycyny w szczególności, żywiłem zawsze głęboką niechęć. Sprawilo to drażniące zarozumialstwo przyrodniczego, materialistycznego poglądu na świat, sprawiła to narastająca poprzez cały wiek XIX-ty pewność nauk przyrodniczych, że wszystko da się zmierzyć, zważyć i sklasyfikować, że już lada dzień będzie gotowa

---

<sup>4</sup> Jakub Frostig: *Psychiatria*. Tom I: Część pierwsza: Podstawy teoretyczne psychiatrii. Część II: Psychopatologia ogólna. Str. X + 334. Tom II: Część III: Klinika zaburzeń psychicznych. Str. 460. Lwów, 1933. Zakład Narodowy im. Ossolińskich.

ostateczna formułka na mechanizm człowieka i wszechświata. Z czym oczywiście złączony pogardliwy stosunek do „bezpłodnych spekulacji filozoficznych” tudzież „zbudowanych na piasku nauk humanistycznych”. I ten irytująco apodyktyczny ton panów przedstawicieli „wiedzy ścisłej”!

Owe pierwsze wrażenie, jakie się wynosi z książki Frostiga, jest, że ten nieznośnie apodyktyczny ton przyrodników należy już do przeszłości. Dokonał się przewrót. Ten sam przewrót, któremu daje wyraz Jeans na kartach swej przepięknej książki „Nowy świat fizyki”, ten sam przewrót, który zbudował most pomiędzy fizyką a metafizyką, jest równie dostrzegalny w nauce o wszechświecie, jak i w nauce o człowieku. Książka Frostiga, w swej części pierwszej, streszczającej teoretyczne podstawy psychiatrii, jest właściwie streszczeniem dzisiejszego stanu wiedzy o człowieku. Wiedzy biologicznej, fizjologicznej i psychologicznej. Ta właśnie część jest najbardziej frapująca dla laika.

Nieszczęśni laicy, skazani na bajania podstarzałych popularyzatorów, tkwiących umysłowością w mrokach zarozumiałstwa ubiegłego wieku (*Le stupide XIX siecle*), z jasnego, prostego i niesłychanie przejrzystego wykładu Frostiga (przeznaczonego przez autora równie dla laików, jak i dla fachowców) mogą się dowiedzieć co naprawdę stało się i przesiliło w nauce ostatnich lat o człowieku: koniec już z mechanistycznym pojmowaniem skomplikowanego psychofizycznego organizmu człowieka!

Tak np. teoria o wyłącznej lokalizacji funkcji psychicznych w ośrodkach mózgu, jest dziś mocno zachwiana. Sprawa nie jest wcale taka prosta jak się to wydawało Wernickemu, Pawłowowi, czy Broce. Wzięta w łeb hipoteza, że wyobrażenia są „wpisane” w odpowiednie komórki mózgowe. Mechanistyczne ujęcie, że przez zniszczenie substancji mózgowej niszczeją i owe wyobrażenia, wpisane w dane komórki, nie znalazło potwierdzenia w faktach. Stwierdzono, że np. chorzy, którzy ulegli spowodowanej przez urażenie tzw. ośrodka Wernickego afazji sensorycznej (niezdolności rozumienia słów), w zależności od nastroju psychicznego rozporządzali raz większym, a drugi raz mniejszym zasobem słów (pod wpływem afektu chorzy mówią lepiej, niż w okresie zmęczenia). Jeden z psychiatrów podaje przykład klasyczny: chory, szukający słowa „nie” wykrzyknął wreszcie zrozpaczony: „ja nie umiem nawet „nie” powiedzieć”. Czyli: zaburzenia osobowości psychicznej nie dadzą się już dzisiaj rozwiązać jedynie przez analizę zaburzeń ośrodków mózgu. Toteż Frostig na zasadzie dzisiejszego stanu wiedzy wypowiada przekonanie, że kora mózgowa jest tylko narządem osobowości psychicznej człowieka, a nie tylko jej siedliskiem. Natomiast wielką rolę odgrywa tu tzw. napęd, i to odgrywa tak wielką rolę, że zaburzenia rozmaitych ośrodków mózgowych, przejawiają się często brakiem napędu. Ów zaś napęd jest to – „suma energii życiowo-uczuciowej, która napływa do ośrodków funkcjonalnych mózgu”.

Co to znaczy? Skąd ten napęd bierze swoją siłę? Tu już wchodzimy w problem istnienia osobnej energii psychicznej, problem, jak powiada Frostig, do dziś dnia nierozstrzygnięty. Nierozstrzygnięty dlatego, że przyrodnicy nie mogą ani rusz znaleźć źródeł tej energii psychicznej, a oczywiście jeszcze nie mają odwagi uciec się do kategorii



nieprzyrodniczych. Wolą więc tylko delikatnie zaznaczyć, że istnieje pewna bliżej jeszcze nie zbadana zależność zmian napędowych od systemu gruczołów dokrewnych, wytwarzających w swych komórkach ciała chemiczne, zwane hormonami, a regulujących i utrzymujących w równowadze procesy fizjologiczne w organizmie ludzkim.

Tak więc dusza ludzka, której nie udało się zidentyfikować z mózgiem, ani która na razie nie chce się jakoś zmieścić w hormonach, zjawia się w nauce pod pseudonimem napędu czy energii psychicznej. To już wiele. Bardzo wiele. Zarozumiałstwo przyrodnicze trąbi na odwrót.

Takich znamion odwrotu z ślepej uliczki mechanicznego poglądu na świat znajdujemy mnóstwo w książce Frostiga, referującej ostatnie zdobycze wiedzy. Choćby w jednym z najbardziej fascynujących rozdziałów o dziedziczności.

Tajemnica dziedziczności, która tak pasjonuje umysł ludzki, jest już dziś, przez rozwinięcie biologicznych podstaw słynnego prawa Mendla, prześwietlona bardzo głęboko. Oto mianowicie badaniami histologicznymi udało się wykryć, że właściwości dziedziczne związane są z pewnymi szczegółowymi formami, które znajdują się stale w jądrze każdej komórki rozrodczej. Ciałka te, które przez działanie pewnych barwników intensywnie się barwią, zostały nazwane chromosomami. Dla każdego gatunku zwierzęcego jest ilość chromosomów, zawartych w jądrach wszystkich komórek ustroju, zawsze ta sama. Każda komórka człowieka zawiera w sobie 48 chromosomów, Każda komórka rozrodcza, zarówno plemnik, jak i jajo, przebywa przed zapłodnieniem pewien cykl przemian, w których następstwie połowa chromosomów zostaje usunięta poza obręb komórki i ginie. Ponieważ zaś każdy chromosom z osobna jest nośnikiem innych właściwości dziedzicznych, przeto w akcie zapłodnienia łączy się 24 chromosomów noszących cechy dziedzicznie ojca z 24 chromosomami, noszącymi cechy dziedziczne matki w nową komórkę, zawierającą razem 48 chromosomów.

A teraz: które chromosomy po ojcu i matce z możliwych 48 i jakie właściwości dziedziczne zostają w akcie dojrzewania włączone? Ilość kombinacji, wynikających ze zmian permutacyjnych 48 czynników jest praktycznie nieskończona. Przypadek, że powstanie taka kombinacja, a nie inna... Zapewne. Ale gdy się to czyta, przychodzi na myśl analogiczny niemal przykład, jaki podaje Jeans w „Nowym świecie fizyki” o rozpadzie atomu radu, nie sposób przewidzieć, który z danej masy atomów rozpadnie się pierwszy. Przypadek? Jeans na to ma odpowiedź: nie przypadek, tylko wielka tajemnica, którą jednak możemy ująć matematycznie (w wypadku chromosomów będzie to formuła permutacji) a zatem musi się za nią kryć jakaś potęga wyznaczająca i kontrolująca, mająca coś wspólnego z naszym sposobem myślenia, wyrażającym się w matematyce. Czyli owa Wielka Myśl, która w metafizyce jeansowskiej jest synonimem Boga.

Nieustanność aspektów metafizycznych, odsłaniających się co krok w dzisiejszym stadium nauk przyrodniczych sprawia, że nawet ci uczeni, którzy w wywodach książkowych nie wykraczają ani o milimetr poza ramy terminologii swojej „ściślej” wiedzy, zabarwiają jednak sposób przedstawienia rzeczy zupełnie inaczej, niż to miało

miejsce do niedawna. Nawet w stylu pisarskim ginie przedział, który istniał dotąd między naukami przyrodniczymi a humanistycznymi. Książkę Frostiga czyta się z równym zainteresowaniem i zrozumieniem, jak np. książkę historyczną czy teoretyczno-literacką. Rzecz napisana jest z rozmysłem, tak, że równy z niej pożytek wynieść może fachowiec (który oczywiście zgruntuje ją głębiej), jak i każdy inteligent.

W pierwszej części daje Frostig, jak się już powiedziało, przegląd dzisiejszego' stanu nauki o człowieku. Nagromadzone fakty z dziedziny filozofii, biologii i psychologii – jest tu i Freud, sprowadzony do właściwych wymiarów i nie bez pewnego uzasadnionego sceptycyzmu podana metoda testów psychologicznych, są typy konstytucjonalne Kretschmera i ich związek z charakterologią – układają się w umyśle czytelnika w obraz jasny i przejrzysty. Część II (Psychopatologia ogólna) i część III (Klinika zaburzeń psychicznych) zawierają już wiadomości bardziej specjalne. Ale i te wchłania się z niesłabnącym zaciekawieniem: poprzez nienormalne stany psychiczne rozumie się dopiero skomplikowany mechanizm psychiki ludzkiej. Przy tym np. charakterystyki typów psychopatycznych podane są w tak świetnej formie literackiej, że czyta się je jak charakterystyki beletrystyczne.

Zdarzyło się, że już po przeczytaniu „Psychiatrii” Frostiga miałem sposobność zapoznania się z jej autorem. Rozmowa potoczyła się o tych właśnie charakterystykach psychopatów. Zwróciłem uwagę na ich literackość.

– Ależ oczywiście! – zawołał autor „Psychiatrii” żywo. – My, psychiatrzy musimy się w opisie posługiwać bardzo podobną metodą do literatów. Powiedziałbym nawet więcej: przejęliśmy metodę od powieściopisarzy, tylko staramy się ją udoskonalić naukowo, uczynić bardziej ścisłą i dokładną w terminologii. Jakiż może być bowiem inny sposób odtworzenia czyjejś psychiki, co jest przecież stałym zadaniem psychiatrii? Dostojewski, Proust, czy Żeromski – to dla nas kopalnia. A ci pisarze osiągają nieraz taką celność w sprecyzowaniu pewnych stanów psychicznych do jakiej nam trudno dojść.

– Podam panu przykład. Jednym z częstych wypadków, z jakimi musi walczyć u chorych psychiatra, jest obłudzenie jądra osobowości psychicznej. Jak pomóc choremu w utwierdzeniu tego jądra osobowości, w odnalezieniu w sobie stałego punktu, jak mu wytłumaczyć o co chodzi? Uciekam się wtedy zawsze do „Popiołów” Żeromskiego. Pamięta pan tę scenę, kiedy Rafał Olbromski po śmierci Heleny de Witt w Tatrach, dostał się do więzienia na Orawie? Pamięta pan jego rozmowę z towarzyszem wspólnej celi, zbójnikiem Mocarnym? Mocarny opowiada Rafałowi o swych strasznych przejściach na karnym „sifcugu” na Dunaju. I Rafał rzuca wówczas pytanie: „Słuchaj, a jakżeś wytrzymał, jakżeś wyżył tyle lat?” Niech pan przeczyta odpowiedź Mocarnego, a znajdzie pan w niej najgenialniejsze, jakie znam, ujęcie sprawy jądra osobowości psychicznej.

Przeczytałem. Owa odpowiedź Mocarnego brzmi tak:

„– Jakżeś wyżył? He, bracie, powiem ci jako... Masz tu siedzieć – ani wiem, co za jeden, ale cobyś wiedział: syćko przetrzymiesz, ino trza wiedzieć sposób.

– Jaki?

– *Na jedno musis przystać: abo się głodem zamórz, łeb se o mur ozwał, abo kies chłop, kie mas siłę w żyłach i kościak, to se upatrz takie jedno miejsce w sobie, chyc się onego pazdurami – i trzym, a powiedz se tak: niekze ta! Niekze... Bij, kie mas wolom...*

– *Nic mi z twojej nauki... – rzekł Rafał, śmiejąc się ze swej gorzkiej doli, ostatnim uśmiechem.*

– *Bedzie cie biło rok, bedzie dwa. Ty sie trzym! Nic nie pytaj. Stępi się to złe, kij mu sie na drzazgi ostrzepie, straci władze i pójdzie se w djasi. Nie dam ci rady, rzece, boś chłop! Insy bedzie niby w sobie tęgi, ale go bieda w miesiąc stępi, bo siły nijakiej ni ma jako ten pniak w lesie; po wierchu mocny, ale go kopnij – ozleci sie, próchno z niego, jak ciasto. Taki se bedzie banował, a to na nic – to nagorse. Ty sie trzym! Choć i płono, choć i boli.. Wytrzymies, nie bój sie nic. Ha, kie juz telo zdoles wytrzymać, to sie w tobie, bracie, siła zsiednie, jak krzemień. Władza na cie przyńdzie telo, co każdej biedzie do gardła skocys... A zdusis! Hej!”.*

Oto przykład, jak psychiatria czerpie pomoc z literatury. Ale i literatura niejednego może się nauczyć z psychiatrii.

## POGRZEB NEWTONA

Swoje uwagi w „Roczniku Literackim 1933” o współczesnym piśmiennictwie polskim, zakończył Stanisław Kołaczkowski zdaniem, które rutynistom i szablonistom krytyki literackiej wyda się albo herezją, albo pogonią za oryginalnością:

– Najdonioślejszym wypadkiem w naszym piśmiennictwie roku 1933 jest powstanie pisma „Kultura i Wychowanie”,

Jak to? Więc nieustanowienie Akademii Literatury? Nie powieść, tomik liryk lub zbiór szkiców literackich tego, czy innego autora? Tylko- właśnie – powstanie jakiegoś tam kwartalnika pod nazwą „Kultura i Wychowanie”?

Uzasadnienie, jakie daje Kołaczkowski swej tezie, niemniej zapewne wzburzy rejestratorów „izmów” literackich, zajętych szufladkowaniem współczesnej twórczości literackiej według cech formalnych i rozprawiających uczenie o jej walorach i zdobyczach estetycznych. „Naszą dzisiejszą literaturę – pisze Kołaczkowski – można podzielić: na grupę barbarzyńców, prymitywów i na kulturalnych dekadentów”. Na czym albowiem polega typowość współczesnej beletrystyki polskiej? „Na zapatrzeniu się w cel techniki, oryginalność techniki, na skwapliwym asymilowaniu modnych zdobyczy psychologii i na utajonym nihilizmie w poglądzie na świat”.

Tak. Tu jest niewątpliwie punkt ciężkości zagadnienia. W czasach, gdy wszystkie narody przenika pragnienie najgłębszej przebudowy, gdy ludzkość pochłonięta jest wypracowywaniem nowego poglądu na świat, który by tej przebudowie dał mocne podstawy – nihilizm światopoglądowy literatury jest zarazem świadectwem jej zdeklasowania i bezwartościowości. Kwartalnik „Kultura i Wychowanie” – to właśnie jedyne w Polsce pismo, które przede wszystkim poświęcone jest rozpatrywaniu zagadnień poglądu na świat. A jak słusznie powiada Kołaczkowski: „poziom literatury wznieść się może wraz z kulturą naszych uczuć, wraz ze zmianą poglądu na świat”.

Tym wszystkim, których wstrząsnęła książka Jeansa „Nowy świat fizyki” (gdyby w komitecie fundacji Nobla nie zasiadały tępe pały, tegoroczną nagrodę literacką powinien być dostać właśnie „popularyzator” Jeans, a nie taki przeżytek literacki, jak Pirandello), zasygnalizować trzeba świetną rozprawę Szczepana Szczeniowskiego pt. „Nowe oblicze fizyki”, zamieszczoną w 3-cim zeszycie „Kultury i Wychowania”. Rozprawka Szczeniowskiego to jakby uzupełnienie Jeansa, jego dalszy ciąg i skonkretyzowanie. Wyciągnięcie wniosków z przewrotu, jaki się dokonał w fizyce, dla naszego poglądu na świat.

Nauki przyrodnicze wywierały od XVII-go wieku tak przemożny wpływ na kształtowanie się pojęć we wszystkich dziedzinach, tak decydująco zaważyły na nowoczesnej filozofii i teoriach społeczno-gospodarczych, że rewizja światopoglądu bez oparcia się o tzw., nauki ścisłe, stała się dla współczesnego człowieka trudna do pomyślenia. Oczywiście fakty zarówno z zakresu naszej wiedzy o człowieku, jak i wiedzy o

zbiorowości ludzkiej, kolidowały nieraz z mechanistycznym, deterministycznym poglądem na świat, obowiązującym od czasów Newtona i Kanta, ale byłoby dla przeciętnego inteligenta dyshonorem przyznać, że owe fakty mogą polegać na czymś więcej, niż na niedoskonałości naszego aparatu badawczego, niepozwalającego ich jeszcze wtłoczyć w ramy teorii przyczynowości. Czasy dopiero ostatnie, czasy zrewolucjonizowania wszystkich pojęć, wyzwoliły nas na tyle z tyranii wiary w wszechwładztwo nauki, że skoro w nauce nie mogliśmy znaleźć odpowiedzi na wątpliwości najoczywistsze, które nasuwała codzienna obserwacja rzeczywistości i znajomość samych siebie, zaczęliśmy tę naukę lekceważyć, zaczęliśmy się coraz mniej obawiać wyklętego do niedawna słowa: irracjonalizm.

Ale oto okazało się rychło, że to, do czego przeciętny inteligent, obserwujący świat, dochodził intuicyjnie, to, co odczuwał w sobie i określał mianem zjawisk irracjonalnych, już tymczasem w nauce, choć z innego końca, również zostało dostrzeżone. Mechanistyczny pogląd na świat, zbudowany na podwalinach mechaniki newtonowskiej i kaniowskich pojęć apriorycznych o przyczynowości, ten pogląd na świat, który miał być już tylko szczegółowymi badaniami przyrodniczymi ostatecznie i całkowicie udowodniony, – nagle runął, wzięty pod mikroskop (nasz irracjonalizm – stał się racjonalizmem<sup>5</sup>). Głucha niechęć do nauk przyrodniczych, odczuwana przez każdego z nas, którzyśmy intuicyjnie sprzeciwiali się przyjęciu materialistycznego poglądu na świat sprawia, że jeszcze i dziś, choć właśnie nauka nam teraz dostarcza argumentów, a w śmiesznych barbarzyńców obraca wychowanków Newtona, Kanta i... Marksa, nie umiemy wyciągać należytych wniosków z przewrotu, jaki się dokonał w naukach ścisłych. Pogrzeb Newtona odbywa się cicho, bez rozgłosu, w gronie wtajemniczonych. Z rzadka tylko echa rozchodzą się szerzej jak np. z okazji wspaniałej, a popularnej mowy pogrzebowej Jeansa, wygłoszonej w „Nowym świecie fizyki”. Oby się również rozeszły z okazji rozprawy Szczepana Szczeniowskiego.

Nie o bagatelne sprawy tu idzie. Zasadniczej rewizji podległy (podstawowe dla myślenia trzech wieków) newtonowskie pojęcia czasu absolutnego i przestrzeni absolutnej, które Kant uznał za aprioryczne, niezależne od wszelkiego doświadczenia, formy poznania naszego umysłu. Oba te pojęcia nabierały sensu wówczas, gdy mógł być podany sposób na oznaczenie absolutnej prędkości ciał w stosunku do nieruchomej przestrzeni, do owego legendarnego eteru, który był uniwersalnym środkiem na łatanie wszystkich dziur fizyki dziewiętnastowiecznej. Tymczasem rozwój nowoczesnej fizyki doprowadził do wniosku, że określenie prędkości ruchu w stosunku do nieruchomego eteru w ogóle nie da się przeprowadzić. Badania Michelsona nad światłem wykazały mianowicie, że bezpośrednie stwierdzenie absolutnej jednoczesności zjawisk, zachodzących w różnych punktach przestrzeni, nie jest fizycznie możliwe. Słynna

---

<sup>5</sup> Por. Stanisław Piasecki: *Prosto z Mostu*, str. 127: „Wiemy, że nic nie wiemy” i str. 134: „Od Acharda do... Hitlera”.

einsteinowska teoria względności zasadza się na tym, że wyklucza ona możliwość ścisłego opisu zjawisk w przestrzeni zwykłej, trójwymiarowej, poza którą istnieje niezależny od niej czas – a natomiast przyjmuje istnienie niedostępnej dla naszej intuicji czterowymiarowej czasoprzestrzeni, w której czas jest ściśle zespolony z przestrzenią. Rzecz jasna, że konieczność przeniesienia mechaniki newtonowskiej do... czwartego wymiaru, jest jej praktycznym unicestwieniem.

Ale jeszcze bardziej efektownie dokonał się odwrót z mechaniki newtonowskiej w teorii atomistycznej. Badacze atomów wykryli mianowicie, że świat mikroskopowy ani rusz nie chce się stosować do reguł newtonowskich praktycznie zastosowalnych w świecie makroskopowym, że nie uznaje prawa przyczynowości: wymiana energii między atomami nie odbywa się w sposób ciągły (przyczyna – skutek, i t. d.), ale przeciwnie, w sposób nieciągły, paczkami czyli kwantami energii. Planck położył podwaliny pod rozwój mechaniki kwantowej, zgoła różnej od mechaniki newtonowskiej, nie tylko ze względu na nieciągłość, które spotykamy w świecie atomowym, ale również dwoisty charakter ma teoria i promieniowania, a mianowicie charakter korpuskularno-falowy. Elektron, czy foton posiada własności zarówno cząsteczki materialnej, jak i fali, Owe uwzględnienie nierozłącznego związku cząsteczki i fali uniemożliwia dokładne podanie jej stanu w sensie mechaniki klasycznej. Położenie i prędkość cząsteczki możemy określić tylko z ograniczoną dokładnością; im dokładniej określimy jej położenie, tym mniej dokładnie prędkość i na odwrót, podobnie, jak przez silnie powiększający mikroskop widząc dokładnie szczegóły górnej powierzchni badanej warstewki, przy odpowiednim nastawieniu na ostrość – równocześnie nie widzimy dokładnie dolnej i na odwrót. Gdy zaś nie istnieje możliwość dokładnego wyznaczenia stanów początkowych cząsteczek, upada również możliwość dokładnego przewidywania przyszłych losów cząsteczki. Mechanika kwantowa nie zna prawa przyczynowości, jest indeterministyczna, zna tylko prawo prawdopodobieństwa statystycznego.

Rzecz jasna, rozwój fizyki, szczególnie w dziedzinie atomistyki, doszedł zatem do tego punktu, w którym uprzytomnił nam ograniczoność naszego umysłu. Chcąc osiągnąć zrozumiały opis zjawisk w czasie i przestrzeni, musimy zrezygnować z determinizmu; jeśli zaś chcemy zachować determinizm, musimy się uciekać do abstrakcyjnych, niezrozumiałych pojęć poza czasem i przestrzenią, w rodzaju czterowymiarowej czasoprzestrzeni Einsteina.

Indeterministyczny punkt widzenia, przyjęty przez mechanikę kwantową, wyrzucił ogromny wpływ na nauki biologiczne, pozostające dotąd pod znakiem mechaniki newtonowskiej. Analogia pomiędzy dwoistym, korpuskularno-falowym charakterem świata atomów a paralelizmem psychicznych i fizjologicznych zjawisk w organizmach żyjących narzuca się sama przez się. Jednolity opis wszystkich zjawisk życia jest niemożliwy. Konieczne jest stosowanie opisu z dwu przynajmniej, ograniczających się i uzupełniających punktów widzenia, co Bohr nazywa komplementarnością. Stosunek komplementarności łączy poczucie wolności woli, towarzyszące naszemu życiu psychicznemu, z łańcuchem przyczyn i skutków w procesach fizjologicznych.

Szczeniowski w swej rozprawce o „Nowem obliczu fizyki” przytacza za Jordanem niezwykle charakterystyczny przykład. Aby móc dać dokładny deterministyczny obraz wszystkich procesów fizjologicznych, zachodzących w naszym ciele, musimy znać dokładnie stan atomów, wchodzących w skład ciała. Otóż w miarę zwiększania dokładności obserwacji, nieuniknione staną się zakłócenia organizmu, które doprowadzą do gorączki i stopniowego zaniku wolnej woli, wywołanego osłabieniem. Możliwość ściśle deterministycznego opisu procesów fizjologicznych uzyskujemy dopiero wraz ze śmiercią organizmu, czemu towarzyszy oczywiście zupełny zanik poczucia własnej woli. Przykład ten wskazuje najlepiej, jak możliwość deterministycznego opisu procesów fizjologicznych i poczucie wolnej woli uzupełniają się i ograniczają nawzajem, pozostając w stosunku komplementarności. Bohr twierdzi wręcz, że pozostaje to w ścisłym związku z samą istotą życia. Podobnie jak niemożliwe jest w atomie dokładne określenie stanu elektronów, a próba wyznaczenia tego stanu doprowadza do rozpadu atomu na jądro i elektrony, tak i w organizmie żyjącym możliwość dokładnego opisu mechanistycznego zjawisk fizjologicznych łączy się ze śmiercią.

Wiara w mechanistyczną i deterministyczną strukturę świata, którą wyznawał wiek XIX, opierając się na ewangelii Newtona, była wiarą śmiertelną. Znamień śmierci, a nie możliwości tworzenia nowego, lepszego życia zbiorowego, noszą wszystkie te teorie społeczno-gospodarcze, które zostały zbudowane na mechanistycznym prawie przyczynowości newtonowskiej. Teoria planowej gospodarki państwa-maszyny, które ma zapewnić obywatelom najracjonalniejszy podział dochodu społecznego i zaspokojenie ich potrzeb materialnych – im bliżej będzie osiągnięcia swego ideału, tym bardziej zbliżyć będzie śmierć organizmu społecznego. Bo społeczność, podobnie jak organizm żyjący, nie jest tylko sumą zdeterminowanych procesów fizjologicznych. Zasada komplementarności odnosi się równie do człowieka, jak i do zbiorowości. Idea społeczna, która duchowych i materialnych potrzeb zbiorowości nie postawi równorzędnie, która nie wyjdzie z założenia, że te czynniki nawzajem uzupełniają się i ograniczają – będzie ideą cmentarną.

## Z PIECA NA LEB

Rzecz to charakterystyczna i dla czasów w jakich żyjemy znamienna, że pierwsza polemika na łamach nowego tygodnika literackiego zesłała od razu na tory zagadnień ekonomiczno-społecznych. Bez tego dziś ani rusz. Mój artykuł, formułujący zasadę konieczności upowszechnienia prawa do twórczości, będącego w dziedzinie duchowej czymś równie ważnym, jak w dziedzinie materialnej zasada prawa do chleba i prawa do pracy, wywołał ostry sprzeciw polemiczny St. Strzetelskiego („Prosto z Mostu” nr 2). Sprzeciw dotyczył nie samej zasady oczywiście; dyskusja toczy się około zagadnienia, jakie warunki ekonomiczno-społeczne wyswobodzić mogą człowieka z niewolnictwa przytłaczającej go maszyny produkcji, uczłowieczyć zmechanizowanego wytwórcę, przywrócić mu rozkosz tworzenia.

Jest to już zdobyczą ostatnich czasów, że wyleczyliśmy się z prostackiej wiary XIX-go wieku w możliwość czysto materialistycznego ujmowania wszystkich spraw. Nie trzeba być dziś wcale mistykiem, aby z uśmiechem politowania patrzeć na tych, którzy mechanicznymi formułkami pragną uszczęśliwić ludzkość. Przewrót, jaki się dokonał w naukach przyrodniczych, nauczył nas, że świat bynajmniej nie jest tylko mechanizmem, rządonym przez newtonowskie prawo przyczynowości, że jest czymś znacznie bardziej złożonym. Pomimo jednorodności, istnieje w nim pewna dwoistość, której nie sposób sprowadzić do wspólnego mianownika, a która odpowiada paralelizmowi zjawisk psychicznych i fizjologicznych w człowieku. Każda teoria społeczno-gospodarcza, która w równej mierze nie uwzględni tych obu punktów widzenia, uzupełniających się i ograniczających nawzajem, jest z góry skazana na klęskę. Taka nieuchronna klęska wisi teraz nad jednostronnym, ciasno materialistycznym marksizmem, organizującym mechanicznie planową gospodarkę w Sowietach.

Nowy pogląd na świat, któremu podwaliny dają ostatnie badania nauk ścisłych, przeciwstawiając się zdecydowanie materialistycznej tępcie, różni się jednak wyraźnie od dotychczasowego, podobłocznego światopoglądu idealistycznego. Konkretną rzeczywistością są dla niego zarówno duchowe, jak i materialne potrzeby człowieka. Walcząc o ustrój, w którym potrzeby duchowe człowieka mogłyby być zaspokojone, daleki jest od wyniosłej pogardy dla potrzeb materialnych. Te dwie sprawy pozostają ze sobą w ścisłym związku, takim samym, jaki nowoczesna biologia nazywa stosunkiem komplementarności. Bez zaspokojenia potrzeb materialnych nie może istnieć zaspokojenie potrzeb duchowych i na odwrót, bez zaspokojenia potrzeb duchowych zaspokojenie potrzeb materialnych jest fikcją. Nie da się również tych dwóch spraw rozdzielić w czasie: tyle a tyle godzin dziennie pracuj na chleb, a potem masz przez tyle a tyle godzin swobodę zaspakajania swych potrzeb duchowych (recepta sowiecka). Rozszerzenie „kwadransa duszy” do godzin niczego nie załatwia. Pogłębiać tylko może nienawiść do godzin pracy, nie dającej w dzisiejszym ustroju wielkoprzemysłowym



olbrzymiej liczbie ludzi żadnego zadowolenia osobistego poza zarobkiem, pracy mechanicznej, ogłupiającej, wstrętnej. Rozwiązuje zagadnienie jedynie zespolenie pracy z twórczością; wtedy praca będzie zarazem trudem i rozkoszą, będzie jednocześnie zaspokajać materialne i duchowe potrzeby człowieka.

Oto teoretyczne uzasadnienie prawa do twórczości.

Ale urzeczywistnienie tego prawa możliwe jest tylko przy zasadniczej i gruntownej przebudowie dzisiejszego ustroju społeczno-gospodarczego, opartego na materialistycznej tezie twórców tzw. ekonomii i klasycznej (czytaj: liberalnej), że jedynym motorem działalności człowieka jest chęć zysku i że przeto tej chęci trzeba pozostawić całkowitą swobodę. Wmawiano to nam tak długo, aż uwierzyliśmy. Opamiętaliśmy się dopiero wtedy, gdy swobodna gra interesów stworzyła wielki kapitalizm, który przygniótł nas ciężarem właściwej sobie dążności do koncentracji i który zaczął zamieniać świat w jedną wielką fabrykę. W tej fabryce pozostawiono nam rolę kółek w maszynie. Niewielka już potem pociecha, że marksizm zaproponował zmianę właściciela fabryki: zamiast prywatnego przedsiębiorcy państwo, które sprawiedliwiej rozdzielić ma zysk i racjonalniej, planowo gospodarować. Żeby nie było bezrobotnych. Żeby każdy niewolnik miał pracę i chleb. I żeby raz na zawsze wyrzekł się mrzonki o swej osobowości; jest tylko członkiem zorganizowanej w kolektywach zbiorowości (czytaj: kółkiem w maszynie).

Jeśli się stoi na gruncie prawa do twórczości, to koncentracyjnej zasadzie kapitalizmu prywatnego i kapitalizmu państwowego przeciwstawić można tylko jedną zasadę: dekoncentracji.

Ta właśnie zasada wywołała zarzuty St. Strzetelskiego To zasada niejasna i bałamutna Dlaczego? Bo nic nam nie mówi o stosunkach własności. Czy nie prościej użyć wprowadzonego już terminu: „upowszechnienie własności”?

Strzał celny i w sedno. Nie było przypadkiem, że w moim artykule termin „upowszechnienie własności” został zastąpiony terminem „dekoncentracja”. I przyznaję się ze skruchą: tak, to mogło wywołać pewną niejasność. Nie była to jednak niejasność w określeniu, tylko niejasność w niedopowiedzeniu. Nie sposób w jednym artykule wyczerpać tak rozległe zagadnienie, powiedzieć wszystko. Jeśli jednak o bałamuctwo idzie, to mam wrażenie, że trudno o przykład określenia bardziej bałamutnego, niż owo „upowszechnienie własności”, którego brak w moich wywodach tak bardzo zaniepokoił St. Strzetelskiego.

Dla tych, którym wystarcza uczuciowa wizja przyszłości gospodarczej, cała sprawa może się wydać nieistotnym sporem terminologicznym. Czyż „dekoncentracja kapitału” i „upowszechnienie własności” to nie to samo? O cóż chodzi? O przeciwstawienie zasadzie gospodarki wielkoprzemysłowej – zasady gospodarki drobnoprzemysłowej. Oba określenia obejmują istotę rzeczy, zaś określenie „upowszechnienie własności” z naciskiem, położonym na słowo „własność”, ma jeszcze tę dodatkową zaletę, że nikogo

niepotrzebnie nie drażni ani nie szokuje. Święta własność prywatna została uszanowana. Nikt się nie zgorszy.

Wreszcie, za hasłem „upowszechnienia własności”, stoi autorytet św. Tomasza z Akwinu i tomy rozważań o „nowem średniowieczu”. Pod osłoną „Summy teologii” można być bezpiecznym, że nie narazi się na miano bolszewika. Określenie „dekoncentracja kapitału” już tej gwarancji nie daje, jak to przekonałem się na własnej skórze z okazji artykułu „Prawo do twórczości”.

Toteż oceniam w całej pełni ogromne walory taktyczne hasła „upowszechnienia własności”. Zdaję sobie również sprawę z olbrzymiej i twórczej roli, jaką to hasło odegrało w kształtowaniu przemian poglądów społeczno-gospodarczych obozu narodowego. Rozumiem także, że odwołanie się do św. Tomasza, obalające podręcznikową informację, jakoby ekonomia zaczynała się od papy Smitha, oddało wielkie usługi naszej swobodzie myślenia o sprawach gospodarczych.

Ale...

Ale pamiętać równocześnie trzeba, że tezy św. Tomasza dotyczyły pewnego konkretnego ustroju społeczno-gospodarczego, w jakim żył ten wielki scholastyk, moralista i ekonomista: średniowiecznego ustroju feudalnego. Trzeba pamiętać, że pojęcie własności miało w tym ustroju zupełnie inną treść, niż obecnie; było raczej władaniem, niż swobodnym dysponowaniem. I trzeba pamiętać, że bądź co bądź przegradza nas od czasów św. Tomasza dobrych kilka wieków rozwoju nowoczesnego, wielkoprzemysłowego kapitalizmu.

Toteż gdy przyjrzeć się bardziej z bliska projektom społeczno-gospodarczym, ogłaszanych tu i ówdzie pod szyldem „upowszechnienia własności”, uderza w nich głęboka wewnętrzna sprzeczność. Chcąc ustrzelić za jednym złożeniem się dwa trofea: upowszechnienie korzystania z dóbr gospodarczych i ocalenie własności prywatnej (rozumianej zresztą z małymi modyfikacjami w dotychczasowym sensie kapitalistycznym), projekty te chybiamą obu celów. Wytwarzają jakąś kombinację mieszaną, najniebezpieczniejszą z możliwych, ni to ni owo.

Program w zakresie wielkich przedsiębiorstw przemysłowych brzmi: upaństwowić. Nie można przecież niszczyć istniejących już cudów gospodarki wielkoprzemysłowej, pchać się nieodpowiedzialnie w nieobliczalną w skutkach awanturę. Że przy tej sposobności bierze w łeb zarówno zasada upowszechnienia jak i zasada własności prywatnej, to już furda. Równocześnie zaś obok upaństwowionego wielkiego przemysłu, ma się upowszechniać własność wśród maluczkich, popierać rozwój małych warsztatów. Na wszelkie wątpliwości, czy państwo jako przedsiębiorca wielkoprzemysłowy nie wejdzie w nieuchronny konflikt konkurencyjny z teoretycznie popieranymi przez siebie małymi warsztatami prywatnymi, jest gotowa odpowiedź: państwo może gospodarować nieegoistycznie, unikać konkurencji, ba, nawet kolejno

likwidować pewne działy swej gospodarki wielkoprzemysłowej w miarę rozwoju małych warsztatów. Piękna ta teoria nie bardzo co prawda znajduje potwierdzenie w doświadczeniach praktycznych, Polski Monopol Spirytusowy też zrazu występował w roli apostoła antyalkoholizmu. Chłubił się ustawą o zakazie wyszynku w soboty i niedziele, obiecywał zmniejszenie procentu alkoholu w napojach i stopniowe zmniejszanie punktów sprzedaży, aż do zupełnego odzwyczajenia ludności od zgubnego nałogu wstawiania się. A potem po cichutku postarał się o zniesienie ustawy o zakazie wyszynku niedzielnego i ilość punktów sprzedaży stale zwiększa. Żeby interes szedł. Państwo jako przedsiębiorca prześciga znakomicie w egoizmie gospodarczym prywatnego przedsiębiorcę. Exemplum: Sowiety, które bynajmniej nie patyczkują się socjaldemokratycznie z ośmiogodzinnym dniem roboczym i innymi zdobyczami tzw. ochrony pracy.

Nie wydaje się zatem, aby dualistyczna koncepcja gospodarcza upowszechnienia własności małej i upaństwowienia własności wielkiej, mogła odśłaniać ponętne perspektywy. W pierwszym okresie nastąpi z konieczności podział na pozbawionych prawa do twórczości, zmechanizowanych i upaństwowionych pracowników wielkoprzemysłowych oraz obywateli wolnych, którzy na małych, własnych warsztatach borykać się będą z konkurencją państwa. W okresie zaś drugim nastąpi z tejże konieczności upowszechnienie nie tyle własności ile... kapitalizmu państwowego. Kapitał, jeśli mu od razu nie wybić wszystkich zębów, ma piekielną tendencję do koncentracji. To Marks uchwycił doskonale.

Przed kilku jeszcze laty hasło upowszechnienia własności (wraz z; jego bliźniakiem: upaństwowieniem wielkiego przemysłu) mogło uchodzić za niezwykle śmiałe, odważne, rewolucyjne. W stosunku do laissezfairyzmu gospodarczego było ono istotnie wywrotowe. Ale przemiany zarówno w świecie nas otaczającym, jak i w naszym myśleniu, idą tak szybko, że już nam dziś to hasło wystarczyć nie może. Trzeba pójść dalej.

Czymże ono bowiem jest w chwili obecnej? Po prostu stwierdzeniem istniejącego stanu faktycznego, który byle dekretem można by i uformalizować. Upaństwowienie wielkiego przemysłu? Czyż nie odbywa się już w naszych oczach w formie coraz to większej kontroli państwa nad spółkami akcyjnymi? Wywłaszczenie wielkiej własności ziemskiej? Czyż są już dzisiaj właścicielami zadłużeni powyżej uszu w Banku Rolnym i B.G.K. ziemianie? Upowszechnienie własności średniej i drobnej? A czyż właśnie tego typu gospodarstwa i warsztaty nie wykazały największej stosunkowo odporności na tzw. kryzys? To wszystko już jest, albo będzie. Nie ma o co walczyć. Ale dziś już dostrzec można, że to sprawy nie załatwi. Upowszechnienie własności małej przy równoczesnym upaństwowieniu własności wielkiej może być tylko krótkim etapem po którym upaństwowiona własność wielka pożre prywatną własność małą. Drogą ewolucji dojdziemy wówczas do tego samego, albo do czegoś bardzo podobnego, do czego doszły

Sowiety przez rewolucję. A z tym właśnie ja, którego artykuł poprzedni uznano za „komunizujący”, walczę, bo to byłaby śmierć prawa do twórczości.

Wszelkie półśrodki na nic się tu nie zdadzą. Trzeba mieć odwagę myśleć o środkach całkowitych. Zasada upowszechnienia własności, z swoimi wszystkimi zastrzeżeniami i wyjątkami, dotyczącymi wielkiego przemysłu, a stanowiącymi istotną regułę – to zasada niejasna, bałamutna, wprowadzająca w błąd. Zasada dekoncentracji, odnosząca się przede wszystkim do wielkiego przemysłu, atakująca frontowo, nie zostawia żadnych wątpliwości co do swego znaczenia. Znam na pamięć wszystkie okrzyki przerażenia ewolucjonistów na jej dźwięk rewolucyjny. Rozwalenie wielkiego przemysłu to barbarzyństwo, to przekreślenie postępu technicznego! (Jakby postęp techniczny nie mógł równych triumfów święcić w zastosowaniu do małych warsztatów). Gwałtowne zburzenie dotychczasowego systemu, to chaos gospodarczy, to głód i nędza to hekatombry życia ludzkiego! (Jakby za rozkosz tworzenia nowego ustroju i zapewnienia szczęścia przyszłym pokoleniom nie trzeba była płacić ofiarami). I wreszcie: a co z przemysłem wojennym? Stracimy od razu Pomorze, zabiorą nam Śląsk! (Jakby właśnie z rewolucji francuskiej nie był wyszedł najlepszy żołnierz świata, żołnierz napoleoński, i jakby obdarty i bosi żołnierz bolszewicki z zdeorganizowanym przemysłem wojennym na zapleczu nie uporał się z Wranglem i Kołczakiem i nie dotarł pod Warszawę).

Trzeba mieć odwagę myśleć kategoriami, które dziś każdy nazwać może utopijnymi, a które jutro mogą stać się rzeczywistościami. Ideały nigdy nie są osiągalne całkowicie, a właśnie dlatego walczy się o nie. Trzeba nie lękać się słów-fetyszów, wlokących się kulą u nogi, takich słów, jak własność prywatna. Własność nie jest ani prywatna, ani państwowa. Własność należy do Boga. O tej prostej prawdzie zapomnieliśmy w ustroju kapitalistycznym – pora ją sobie przypomnieć. W ustroju dekoncentracji własność może być nadana człowiekowi jako depozyt ale tylko we władanie, dla zaspokojenia prawa do chleba, pracy i twórczości. Może być nadana tylko z ograniczeniami, uniemożliwiającymi koncentrację kapitału. To pojęcie własności z pewnością nie mieści się w szufladce kropotkinowskiej.

Mój artykuł „Prawo do twórczości” wywołał uwagę St. Strzetelskiego, że jest to rozumowanie nie tyle „prosto z mostu”, ile z „z pieca na łeb”. Zgoda. Nie mam ochoty na piecu, czy na zapiecku wygrzewać się w przyjemnym ciepłku uznanych i niekłopotliwych formułek gospodarczych. Wolę skoczyć. Jest w tym zawsze ryzyko. Można sobie łeb roztrzaskać. Ale jeśli łeb wytrzyma, to od uderzenia staną w nim świece i zrobi się jasno.

## LATAJACY DYWAN

– Zapewne, zapewne, to byłoby ładnie, gdyby dzisiejszy przemysł wielkomaszynowy dało się zastąpić całkowicie drobnymi warsztatami, wyzwolić w ten sposób człowieka z niewoli maszyny i przywrócić mu prawo do twórczości. Ale to jest utopia. Po prostu utopia i nic więcej. Mielibyśmy się wyrzec wspaniałych zdobyczy techniki? Zrezygnować z lokomotyw, samochodów, aeroplanów i cofać się z powrotem do okresu wozu, zaprzężonego w konie? Zalać kopalnie, zniszczyć huty, poprzecinać druty sieci elektrycznych i może wrócić do świeczki łożowej? Nie, dziękujemy pięknie. Powrót do średniowiecza wcale się nam nie uśmiecha.

I mnie także. Ale ilekroć słyszę tak lub podobnie sformułowane zarzuty przeciwko hasłu dekoncentracji przemysłowej, tylekroć zastanawia mnie charakterystyczny dla naszych czasów brak wyobraźni. Zrezygnować z lokomotywy – to nieodmiennie oznacza powrócić do podróżowania bryczką. Nie chceć budowania potwornych Dnieprostrojów<sup>6</sup> – to znaczy propagować powrót do łuczywa. *Tertium non datur*. Jeśli mowa o wyrzeczeniu się tego, co stworzył tzw. nowoczesny postęp techniki, to wyjałowionej wyobraźni współczesnego człowieka nasuwają się jedynie obrazy dawnych, minionych okresów historycznych. Nowych, innych możliwości nie widzi się. Bo i jakże! To wymagałoby choćby odrobiny fantazji, a fantazja została przecież Wyklęta w naszych czasach rzeczowości. Wysokie ministerialne komisje do oceny książek dla dzieci i młodzieży nie znajdują dość słów dezaprobaty dla pisarzy, którzy ośmielają się jeszcze egzaltować wyobraźnię maluczkich bajkowym fantazjowaniem. Należy młodzież zaprawiać do myślenia trzeźwego, konkretnego, a nie do bujania w obłokach. Techniki ją uczyć, zaprawiać do wynalazków, budzić kult dla pracy przy maszynie. Rzeczywistość, przede wszystkim rzeczywistość!

Tylko ci wszyscy wielbiciel i czciciele oszałamiającej wspaniałym rozwojem technicznym rzeczywistości dzisiejszej nie są łaskawi pamiętać, że ta rzeczywistość dzisiejsza nie wybuchła nagle ni z tego, ni z owego, ale właśnie zrodziła się z fantazji, z dziecinnej bajkowej fantazji. Bez bajki o latającym dywanie, na którym szybował złodziej z Bagdadu, nie byłoby dziś aeroplanu, bo nie byłoby idei aeroplanu. W bajce o siedmiomilowych butach już był zaklęty cały przyszły rozwój techniki komunikacyjnej. Olbrzym Wyrwidąb – to najautentyczniejszy protoplasta dzisiejszych pił elektrycznych i tartaków, a jego brat Waligóra z pewnością ma na sumieniu technikę świdrów skalnych i

---

<sup>6</sup> Dnieprostroj (właśc. Dnieprzańska Elektrownia Wodna) – zbudowana w ramach industrializacji Związku Sowieckiego, w latach 1927-1932, na Dnieprze zaporą, będąca w momencie powstania trzecią największą elektrownią wodną na świecie i największą w Europie. Jeden z najważniejszych projektów w komunistycznej propagandzie sukcesu gospodarczego. [redakcja]

ładunków dynamitowych. Ba, nawet kto wie, czy bez bajki „stoliczku, nakryj się!” istniałyby dziś bary, w których nowocześni zarozumialcy, goląc czystą zakrapianą, dumnie perorują o konieczności rzeczowego myślenia.

Otóż wydaje mi się, że nieznanemu twórcy bajki o latającym dywanie, niemniej jest godny podziwu od Bleriota i braci Wright, jeśli nie więcej. I wydaje mi się, że popełnia się grubą przesadę, personifikując geniusz współczesnego rozwoju technicznego w Edisonie. Rzeczywistym ojcem techniki dzisiejszej jest zupełnie kto inny, choć sam żadnego wynalazku nie dokonał i całe życie strawił na fantazjowaniu: Jules Verne.

Inżynierski, techniczny sposób myślenia z natury swojej jest ciasny. Inżynierska metoda pracy – to dłubanina, wielokrotne eksperymentowanie, ulepszanie śrubki po śrubce. Gdy kierunek poszukiwań jest już wytyczony – rok za rokiem przynosi udoskonalenia techniczne, rok za rokiem przybliża nas do ideału fantazji, stworzonego przedtem w bajce, lub już bardziej skonkretyzowanego w fantastycznej powieści o kapitanie Nemo, Królu Przestrzeni, czy podróży na księżyc. Rozgałęzienia nowoczesnej techniki są tak liczne, taki jeszcze ogrom pracy do wykonania, aby dociągnąć do ideału już stworzonego w fantazji, albo nawet w niektórych dziedzinach pójść dalej, choć zawsze w tym samym kierunku – że wszelkie nowe fantazjowanie uznano za zbyteczne. Że zaś w dodatku kierunek fantazji technicznej XX-go i XX-go wieku (nazwijmy go kierunkiem vernerowskim) znakomicie odpowiadał potrzebom wielkoprzemysłowego ustroju kapitalistycznego, tedy i z tej strony zrobiono wszystko, aby wszelkie twórcze fantazje, nie mieszczące się w granicach, uznanych za „rzeczowe”, w zarodku zdusić.

Są już jednak znaki na niebie i ziemi, że ta jednokierunkowość tzw. postępu technicznego zaczyna się przesilać. Dwojakię składają się na to względy: gospodarcze i techniczne. Jeśli idzie o względy gospodarcze, to decydująca jest tu zasada opłacalności. Wmawia się jeszcze w nas, że skomplikowana, precyzyjna maszyna fabryczna pracuje taniej, niż człowiek na małym warsztacie. Coś jednak zaczyna się psuć w tym pewnym, do niedawna, rachunku. Bo, dlaczegóż, u licha, wielkie fabryczne tkalnie łódzkie załamują się jedna po drugiej, a równocześnie rośnie z dnia na dzień chałupniczy przemysł tkacki? Albo taki przykładzik, niewiarygodny na pozór, a jednak ściśle prawdziwy; czy wiecie państwo, że obrazy na wystawę sztuki belgijskiej w Warszawie, przywieziono z Belgii do Polski końmi, jak za króla Cwiczka? Bo kilkutygodniowy transport końmi okazał się tańszy od przewozu koleją.

Ale nie tylko zasada opłacalności zaczyna płać wielkiej maszynie coraz to złośliwsze figle. W pewnych dziedzinach techniki współczesnej zaczyna się już wyraźnie zarysowywać wyczerpanie możliwości dalszego rozwoju. Ci, którzy pomstują na barbarzyńskie hasła dekoncentracji techniczno-przemysłowej i roztkliwiają się nad losem lokomotywy, na którą oczywiście w nowym ustroju technicznym nie byłoby miejsca, są w gruncie rzeczy śmiesznymi konserwatystami. Maszyna parowa jest już u kresu swoich możliwości. Nic się już z niej więcej nie wyciągnie. Maluczko – a będzie to

bezużyteczny grat, zdobiący najwyżej muzea historii techniki. Życie rozpoczęło ją samo likwidować. Płakać nad koleją żelazną, gdy nowoczesny dylizans-autobus, wypiera ją zwycięsko wszędzie tam, gdzie państwo sztucznymi środkami nie broni swego kolejnictwa? Od olbrzymich lokomotyw, masywnych wagonów, milionów kilometrów szyn kolejowych, ogromnych stacji i hal dworcowych – do zwrotnych autobusików, nie wymagających poza szosami żadnych specjalnych urządzeń – to chyba znaczny krok w dekoncentracji komunikacji, ‘daleko jeszcze tu co prawda do dekoncentracji technicznej. Silnika spalinowego, który porusza auto, nie skleci kowal wioskowy. Wytworzyć go można tylko w wielkiej fabryce. Ale i silnik spalinowy niewiele już ma życia przed sobą. Jeszcze kilkadziesiąt kilometrów na godzinę prędkiej, jeszcze kilka udoskonaleń — i kropka.

Zmierzch maszyny parowej i silnika spalinowego zdaje się być niewątpliwy. Zaś wraz z tym przyjść musi rewizja najistotniejszej zasady techniki współczesnej, zasady walki z siłami przyrody, przeciwstawionej dawniejszej zasadzie wprzęgnięcia ich w służbę człowieka. Żaglowiec, wiatrak czy młyn wodny – to było posługiwanie się siłami przyrody. Ale to było równocześnie uzależnianie się człowieka od ich nieobliczalności. Więc człowiek postanowił uniezależnić się od wiatru i wody. Parowiec gwizdże sobie na wiatr. Gwizdże z komina.

Młyn parowy uniezależniony jest od stanu wody na rzece i w ogóle rzeka nic go nie obchodzi. Maszyna parowa nie tylko jest uniezależniona, ale może walczyć z siłami przyrody, iść na przekór wiatrowi i na przekór wodzie. Tak samo motor spalinowy.

Tylko, że do poruszania maszyny parowej trzeba węgla, a do poruszania silnika spalinowego nafty, ropy lub benzyny. Tylko, że do zbudowania maszyny parowej trzeba wielkich fabryk, a te fabryki znów potrzebują innych fabryk i hut. Człowiek uniezależniwszy się od sił przyrody, uzależnił się od potrzeb maszyny. Musiał wejść pod ziemię, w kopalnię, musiał rozżarzyć piece hut, musiał stanąć przy taśmie automatycznej, Musiał skoncentrować pracę i kapitał. Musiał stworzyć ustrój koncentracji przemysłowej, który go ogłupił i wyzuł z człowieczeństwa.

Więc co? Wyrzec się wszystkich zdobyczy technicznych ustroju wielkoprzemysłowego, za które trzeba płacić tak wysoką cenę, i wrócić do żaglowca, wiatraczka, młynka wodnego i konika?

Odrobinę wyobraźni! Odrobinę wyobraźni i przypomnienia sobie, że nauczyliśmy się już po trosze używać siłę przyrody nieznaną dawnym czasom wiatrowo-wodnym: elektryczność. Odkryliśmy ją w czasach koncentracji przemysłowej, więc od razu oddaliśmy ją na usługi koncentracji, choć właśnie elektryczność z swojej istoty jest najbardziej zdekoncentrowana. Można ją mieć wszędzie. Wszędzie, gdzie się da ustawić turbinkę na wodzie, wszędzie, gdzie da się ustawić wiatraczek. Przy każdej chałupie wiejskiej, na każdym dachu miejskim. Nowe uzależnienie się od wiatru i wody? Nic

podobnego. Tylko skorzystanie z nich i równoczesne uniezależnienie się od nich. Przez czas, kiedy wiatr wieje, a woda płynie, trzeba po prostu nałapać elektryczność na ten czas, kiedy nie będzie wiatru i siły wodnej. Niech się panowie technicy nie uśmiechają na użycie terminu „łapanie elektryczności”. Używam go zupełnie świadomie. Dziecinnie fantazuję, jak w bajeczce o latającym dywanie. Że zaś moje dzieciństwo przypadło na czasy, kiedy się już coś niecoś wiedziało o elektryczności, więc wiem, że łapanie elektryczności nie jest rzeczą łatwą. Elektryczność już taka jest, że się nie da zakorkować. Trzeba ją od razu przekształcić w inną energię, np. w energię chemiczną, co jest zasadą akumulatorów. Ale to znów wymaga odpowiednich chemikaliów, więc w konsekwencji fabryk chemicznych, czyli nie kijem go, to pałką. A przecież myślę, że sprawa uwięzienia energii elektrycznej nie jest sprawą beznadziejną. I że właśnie technicy, gdy zaczną po swojemu nad tym dłubać, to wydłubią co trzeba.

I dlatego, ilekroć czytam w gazetach o nowym rekordzie, ustanowionym przez jakiś olbrzymi, parowy statek transatlantycki, nie umiem się tym entuzjasmować. Natomiast samotna wyprawa poprzez Atlantyk Allain Gerbaulta na łupince „Firecrest’u” nie wydaje mi się wcale sportową zabawką, ale czynem o olbrzymim znaczeniu na przyszłość. Niech no tylko jakiś przyszły wynalazca ustawi na takim jachciku tajemniczy aparacik elektryczny, który podczas ciszy na morzu poruszać będzie stateczek energią, zdobytą w czasie pomyślnego wiatru! Tak samo dość obojętnie przyjmuję wiadomość o zbudowaniu nowego, sześciomotorowego samolotu. Wolę myśleć o jaskółczych, smukłych kształtach bezsilnikowych szybowców. Znów sportowa zabawka? A jeśli dodać takiemu szybowcowi ów niewynaleziony jeszcze motorek elektryczny przyszłości?

Niechby się tylko znalazł jakiś nowy Jules Verne, który by potrafił w tym kierunku rozpalić fantazję. Wtedy i zalanie kopalń i zniszczenie hut i rozwalenie całego wielkiego przemysłu, a z nim ustroju niewolnictwa kapitalistycznego, przestałoby się wydawać nieprawdopodobieństwem. Zwolennicy dzisiejszego ustroju nie mogliby już wtedy straszyć dorosłych dzieci powrotem do świeczki łojowej i wózka, zaprzęzonego w konika. Do tego nie cofniemy się nigdy. Nowa technika – to musi być synteza zaprzęgnięcia sił przyrody w służbę człowieka i uniezależnienia się od nich. To tylko umożliwi powstanie ustroju dekoncentracji technicznej, przywróci człowiekowi wolność i prawo do twórczości. Zniszczone w fantazji, musi się ziścić w rzeczywistości. Nie obawiamy się bajki i utopii. To nieraz bardziej twórcze formy myślenia niż wszystkie inne.



## IMPERIALIZM IDEI

Odrodzenie uczuć narodowych w Europie, tak charakterystyczne dla historii XIX-go wieku, zastało Polskę podzieloną przez rozbiorników, niewolną, wyzuta z niezawisłości politycznej. Musiało to zaciążyć na charakterze polskiego patriotyzmu, który stał się szczególnie obronny, defensywny, negatywny. Nasze pieśni narodowe oplatają się około słowa „nie”; „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”. Ten sam zresztą negatywizm dźwięczy w pieśni Legionów Piłsudskiego „Pierwszej Brygadzie”: „Nie chcemy już od was uznania”, Ba, nawet, pojęcie „wolność” woleliśmy sformułować sobie negatywnie: „niepodległość”.

Polska poezja i polska pieśń, odwzorowując wiernie rodzaj naszej uczuciowości narodowej, nastrojone są na nutę obrony i ofiary. W czytankach historycznych najulubieńsze postacie, to wielcy obrońcy i wielcy ofiarnicy: Żółkiewski pod Cecorą, Kordecki na Jasnej Górze. Literatura nasza najchętniej opiewa bohaterstwo obrończe; pozytywista Sienkiewicz z nie mniejszą pasją uczuciową odmaluje na karkach „Potopu” obronę Częstochowy, niż romantyk Mickiewicz nakreślił płomienne strofy „Reduty Ordoña”. W ten sam ton uderzył Żeromski w „Dumie o hetmanie”.

Ale bo też obrona była naczelnym przykazaniem polskości w latach naszej niewoli politycznej. Obrona wiary, obrona języka, obrona obyczaju, obrona – narodowości. W ten sposób polski ruch narodowy, powstały w warunkach nienormalnych, stał się ruchem z programem minimalistycznym. Pojęcie narodu utożsamiało się w nim najczęściej z pojęciem narodowości.

Odbudowanie państwa polskiego wy dobyło na jaw te wszystkie skrzywienia i spaczenia w sposobie myślenia narodowego. Dla jednych, pojęcie naród, utożsamione z pojęciem narodowości, stało się kłopotliwe we własnym państwie. Nie sposób wykroić na mapie państwa, zamieszkałego przez jedną tylko narodowość. Co zrobić z nieuchronną szachownicą narodowościową na kresach? Więc szybka rezygnacja z terminologii narodowej. Nie naród, tylko państwo ma być ideą całościową. Państwo, czyli pojęcie prawne, sucha forma! Ale jeśli tak, to dlaczego my sami, Polacy, nie chcieliśmy zostać „państwowcami” rosyjskimi, niemieckimi, czy austriackimi w czasach zaborów?

Dla drugich pojęcie naród pozostało żywe, ale nieokreślone. Dla tych naród, a nie jego forma prawna, państwo, daje tytuł moralny do sprawowania władzy. Naród, który jest jednością duchową, naród, który dla zapewnienia sobie rozwoju powinien rządzić się egoizmem, stosować eksterminacyjną politykę wobec obcych, znajdujących się na jego terytorium i nie tylko się bronić, ale zdobywać ziemie etnograficznie, czy historycznie polskie, których nie objęły dotąd granice państwa. W tej postawie, pozornie, nie ma już nic defensywnego. Przeciwnie. Jest zdobywczość: należy się nam jeszcze Śląsk Opolski, trzeba odwojować Prusy Wschodnie!

I ten program jednak, choć tak ofensywny, gdy go rozsrubować na części składowe, okaże się programem minimalizmu narodowego. Operuje argumentami etnograficznymi i historycznymi, a więc argumentami zasięgu obecnego i niegdysiejszego narodowości. Jest typowy dla XIX-go wieku, kiedy to naród i narodowość uznawano za jedno i to samo. W swojej zaś ofensywności na terytoriach kresowych, zbliżony jest do pruskiej, bismarkowskiej odmiany dziewiętnastowiecznego nacjonalizmu, łączącej w sobie zasadę narodowościową z starą germańską pasją *Drangu*, uzasadnioną na nowo teorią egoizmu narodowego.

Zasadzie narodowości zawdzięczają Niemcy zespolenie ziem niemieckich w cesarstwie Hohenzollernów. To zaś stało się bazą, na której oparł się *Drang nach Westen* w r. 1870 i zamierzony *Drang nach Osten* w r. 1914, Ten drugi już się nie udał. Nie można bezkarnie łączyć dwóch sprzecznych zasad. Hasła wolnościowe, którymi rozbrzmiewały księstwa niemieckie czasu „wiosny narodów”, znalazły się w wilsonowskiej zasadzie samostanowienia narodów. Z chwilą, gdy każda Łotwa uzyskała niezawisłość państwową, dziewiętnastowieczny – i jeśli go tak można nazwać – narodowościowy nacjonalizm wypowiedział swoje ostatnie słowo. Równocześnie zaś skończyła się możliwość stosowania murzyńskiej etyki pomiędzy narodami. Jeśli moje poczucie narodowe jest najdroższym, co mam na świecie, nie ma takiego dobrego prawa, które pozwoliłoby mi gwałcić to poczucie u innych.

Toteż wielkie powojenne ruchy narodowe, to znaczy te, które chcą być czymś więcej w dziejach świata, niż obroną narodowości i negacją wobec sąsiadów, z innych już wychodzą założeń i szersze sobie stawiają zadania. Naród to coś znacznie więcej niż narodowość. Naród naprawdę godny tego imienia – to piastun idei cywilizacyjnej, idei przebudowy społecznej, idei o cechach możliwie uniwersalnych. Wiara w taką ideę, wiara w misję, jaką ma się do spełnienia w świecie, wiara w konieczność zdobywania wyznawców – tworzy wielkość narodu i daje mu postawę moralną wobec innych. Rzym starożytny stworzył swą potęgę i choć jako państwo dawno rozsypał się w gruzy, żyje po dziś dzień w wszystkich krajach cywilizacji zachodniej. Taką wiarą powstało chrześcijańskie średniowiecze. Takie poczucie misji cywilizacyjnej pozwoliło Anglosasom zawojować pół świata. Takie napięcie haseł przebudowy społecznej wysunęło Francję na przełomie XVIII-go i XIX-go wieku na czoło Europy. Taką ideę cywilizacyjną widzą hitlerowcy w głosie krwi nordyckiego człowieka. Namiastkę takiej idei pragną sobie stworzyć Włochy faszystowskie w nawiązywaniu do rzymskich tradycji. Wokoło takiego wreszcie gigantycznego programu przebudowy społecznej tworzy się na terytorium wielojęzycznego imperium radzieckiego nowy naród sowiecki.

My zaś? My, wtłoczeni pomiędzy Rosję sowiecką a hitlerowskie Niemcy radujemy się papierowymi sukcesami naszej dyplomacji i paktami o nieagresji. Mocarstwowe stanowisko! „A widzisz, panie dziejski; jak Niemiaszki spokorniały? O korytarzu, Śląsku i Pomorzu już ani mru, mru”. Tak, jakby Niemcom, przygotowującym grunt pod wielkie imperium nordyckie, mogło zależeć na takich drobiazgach, gdy rzecz idzie o podbicie

ideowe całej Polski. „A, panie dziku, te bolszewiki, co? Jakie, to grzeczne teraz, jakie układne. Ho, ho!” Tak, jakby Sowietom obecna sytuacja nie stwarzała najlepszej okazji do infiltracji propagandowej, stokroć większe mającej znaczenie, od wszelkich innych sukcesów. Jeśli zaś już sowiecka i hitlerowska taktyka zaczynają w tym i owym budzić wątpliwości, i podejrzenia („może się przyczaili do wojny?”) – ta, odpowiedź jest gotowa; „Nie damy się! Będziemy się bronić!”

Tak, będziemy się bronić. Znowu bronić wiary, języka, obyczaju, bronić – narodowości. I prawa do władania narodowościami „mniejszościowymi”, które dla zaokrąglenia terytorium państwowego są nam niezbędne. W razie czego nawet zaatakujemy. Przecież należy się nam jeszcze Śląsk Opolski, trzeba odwojować Prusy Wschodnie, a i Mińsk oddaliśmy zupełnie niepotrzebnie?

Niepoprawni minimaliści! Śląsk Opolski, Prusy Wschodnie, Mińsk – i ten złoty, z którego jesteście tacy dumni, że ani drgnie i ta stabilizacja, i ta cała mocarstwowość bankietowa – to drobiazgi. Trzeba mieć, ambicję wyjścia na świat z wielką ideą, godną wielkiego narodu. Trzeba mieć ambicję obliczoną nie w setkach kilometrów kwadratowych – ale mierzącą się powierzchnią kuli ziemskiej. Trzeba mieć ambicję stania się ośrodkiem przebudowy, stworzenia takiego wkładu w strukturę cywilizacyjną ludzkości, który by pozostał i wtedy, po długich wiekach, kiedy Polski może nie będzie, ale zostanie cywilizacja polska. Jak dziś żyje cywilizacja rzymska i nasza papuzia duma z wasalstwa wobec niej.

Te światoburcze hasła – to ani megalomania narodowa, ani utopijne fantazjowanie. To po prostu poczucie rzeczywistości. Właśnie my, w Polsce, w tej szerokości i długości geograficznej, mamy największe szanse. Właśnie pomiędzy uwikłanym w kapitalistyczny spadek wielkiego przemysłu hitleryzmem, a samobójczo wznoszącym ostatnie, upaństwowione bastiony gospodarki wielkoprzemysłowej bolszewizmem. Niech kończą epokę mechanistycznej produkcji kapitalistycznej, ogłupiającej człowieka i zmieniającej go w niewolnika. My zaczniemy epokę nową, epokę człowieka twórczego, w zdekoncentrowanym ustroju gospodarczym. Trzeba na to tylko odwagi. Odwagi nieobawiania się śmieszności, odwagi drwienia z ponurych przepowiedni ekonomistów, odwagi przewycięzania oporu nadętych poczuciem odpowiedzialności wygodnisiów, lękających się własnego cienia. Nade wszystko zaś odwagi samodzielnego myślenia, odwagi żelaznej konsekwencji, odwagi wiary w odległe cele.

I wiary w Polskę.

Wiary takiej, jaką zamknął Wojciech Bąk, nieodrodny przedstawiciel młodego pokolenia, w końcowej strofie przepięknego wiersza „Ojczyzna – syn”:

*„Wołam; Wyżej!  
O nie matko, przed którą musiałbym uklęknąć,  
Ale synu,  
Który musisz wysoko nade mną wyrosnąć!”.*

## CENZUS WIEKU

Sejmowa dyskusja nad nowym projektem ordynacji wyborczej upływa w atmosferze monotonii i nudy. Projektodawcy, którzy z góry otrąbili w swojej prasie, że nowa ordynacja ma być radykalnym środkiem do wytępienia partyjniactwa, przytrzymani za poły delikatnym zapytaniem z własnych szeregów, czy przypadkiem nie chodzi tu o wprowadzenie systemu monopartyjniactwa, zamilkli przezornie, nie wdają się w dysputy zasadnicze, ograniczają się do tzw. wyjaśnień technicznych. Opozycja zaś grzmi frazesami o pokrzywdzeniu ludu, przestrzega przed zgubnymi skutkami podeptania pięcioprzymiotnikowości, porównuje dotychczasowy system wyborczy do klapy bezpieczeństwa, no i ma niemałą uciechę z wykazywania biurokratycznych nonsensów, od jakich w projekcie aż się roi.

Istotnie, projekt panów Cara i Podoskiego jest wprost klasycznym przykładem biurokratycznego zakalca. Czy doprawdy trzeba było aż tak zawilej konstrukcji wyborczej, aby zapewnić obozowi rządzącemu większość w Sejmie? Nie, to nowe prawo wyborcze z kolegiami, elektorami, rejentami, kandydatami, orderami i maturami, z pewnością nie będzie figurować w podręcznikach prawa konstytucyjnego jako przykład jasności i przejrzystości ustawodawczej.

Nie znaczy to jednak wcale, aby dotychczasowe równe, tajne, bezpośrednie, powszechne i proporcjonalne głosowanie mogło wzbudzać czyjkolwiek zachwyty. Mieliśmy z nim dość żałosnych doświadczeń. Jego rzekoma demokratyczność okazała się zwykłym oszustwem, odskocznią dla demagogii polityków, źródłem bezsilności Sejmu, niezdolnego wyłonić jednolitego rządu, przyczyną oportunistycznych kompromisów, no i w konsekwencji – uzasadnieniem późniejszej dyktatury.

Zagadnienie ordynacji wyborczej wiąże się zawsze – nie tylko u nas – z zagadnieniem władzy. Istnieją wprawdzie różne abstrakcyjne formułki, które mają za zadanie osłonić nieco istotną treść prawa wyborczego, ale gdy rzecz odwinąć z bawełny, nie ma żadnych wątpliwości: sprawa ordynacji to sprawa dojścia do władzy, lub utrzymania się przy niej. I inaczej być nie może w ustroju, który za źródło władzy chce podawać wolę ludu, a do mierzenia tej woli używa termometru wyborów.

Tak się jednak zaczyna w Polsce składać, że zagadnienie władzy, żywo i „zawodowo” interesujące dyskutantów z Sejmu i Senatu (jednych – bo chciałoby się zostać, drugich – bo radzi by byli się odegrać), że zagadnienie to coraz mniej obchodzi kraj. Sprawa ja k stokroć jest ważniejsza od sprawy k t o, tym bardziej, że jakoś tych wybitniejszych ktosiów na horyzoncie nie widać.

Stąd i dyskusje ordynacyjne w Sejmie mało budzą zaciekawienia. Stoimy w życiu polskim wobec najważniejszych problemów, które w najbliższej już przyszłości trzeba

będzie rozstrzygnąć. Ale są to problemy ustroju społeczno-gospodarczego, a nie problemy władzy. Te drugie – to już będą wtórne.

---

Czytelnik, który się już zaniepokoił może, skąd na łamach literackiego tygodnika wzięł się taki, na wskroś polityczny, artykuł, znajdzie kilka wierszy dalej całkowitą satysfakcję.

Wracam na swój teren i proklamuję utopię! Ot, po prostu przyszła mi chętka zgłoszenia utopijnego projektu ordynacji wyborczej. Projektu, który się nie troszczy o zagadnienie władzy, ale ma na celu utworzenie z parlamentu terenu wielkiej dyskusji, o wielkich sprawach.

Projekt wychodzi zresztą z tych samych założeń, co projekt panów Cara i Podoskiego: walki z partyjniactwem. Jedna tylko mała różnica: walki z partyjniactwem zarówno rządowej, jak i opozycyjnej. No i druga zapewne różnica w poglądzie na istotę partyjniactwa. Złem tzw. partyjniactwa nie jest bynajmniej samo istnienie partii, ale fakt, że partie nasze nie są przeważnie wyrazem zdecydowanego poglądu na świat, tylko amalgamatem ludzi różnojęzycznych politycznie, którzy nawykli ze sobą razem chodzić. To powoduje, że struktura polityczna Polski jest wyjątkowo bezsensowna. Na długie wieczory zimowe polecić można znakomitą rozrywkę umysłową: znanych działaczy politycznych podzielić na grupy nie według ich przynależności partyjnej, ale według wyznawanych zapatrywań. Więc np.: grupa konserwatywna, grupa liberalno-narodowa, grupa faszystowsko-narodowa, grupa liberalno-socjalistyczna, grupa faszystowsko-socjalistyczna, itd. – aż do skrajnej lewicy.

W każdej z tych grup znaleźliby się na pewno posłowie, należący dziś do zwalczających się partii, rządowcy i opozycjoniści.

Zabawę takiego segregowania można spokojnie odłożyć na zimę; choćby opublikować i udowodnić cytatami z artykułów i mów słuszność podziału, nic z tego „nie wyjdzie”, mówiąc po nowopolsku. Nasi partyjniacy (i ci z sanacji, i ci z opozycji) tak już przyzwyczaili się do sztucznego podziału, że nie da rady. Jedni powiedzą białe, to drudzy, aby się sprzeciwić, czarne, i nawrót.

Stare urazy, stare kompleksy, tym mocniejsze, że w sporze o wojenne orientacje powstałe, niełatwo wykorzeńić. I choć nie wolno się demagogicznie posuwać do potępiania wszystkiego, co dało Polsce tzw. partyjniactwo, choć długa jest lista zasług „partyjniaków” w odbudowaniu Polski, choć w rozlewisku partyjnym powstał niejeden głębszy prąd, który długo jeszcze będzie miał duże znaczenie w życiu polskim – niewiele już można oczekiwać po starym systemie podziałów politycznych. To się kończy i jałowuje.

Ale, oczywiście, partyjniactwa nie rozgromią ani kolegia wyborcze, ani pięćsetki zarejestrowanych rejentalnie podpisów, ani jawne i ukryte podważanie pięcioprzymiotnikowości. Jest sposób o wiele prostszy. Nie trzeba wcale ruszać sakramentalnych przymiotników. Wystarczyłoby do dotychczasowego prawa wyborczego – i to jest właśnie ten utopijny projekt – wprowadzić jeden nowy artykuł:

*Artykuł X: Czynne i bierne prawo wyborcze do Sejmu przysługuje wszystkim, którzy ukończyli lat 21, a nie przekroczyli lat 35, czynne i bierne prawo wyborcze do Senatu przysługuje wszystkim od 35 lat wzwyż.*

Cenzus wieku.

---

Rozmawiałem niedawno z pewnym dyplomata sowieckim o młodzieży w ZSRR.

– Myśleliśmy dotąd – powiedział mi – że istnieje tylko sprawa klasy. Patrząc na naszą młodzież zaczynamy się przekonywać, że istnieje również sprawa wieku.

Oczywiście musi ona istnieć w kraju, gdzie wchodzi już w życie pokolenie, całkowicie wychowane w nowym ustroju społeczno-gospodarczym. A taka sama sprawa choć na innym tle, istnieje w Polsce. Wchodzi już w życie nowe pokolenie, całkowicie wychowane w niepodległym państwie.

Sprawa wieku, to jest w Polsce dzisiejszej coś znacznie więcej, niż odwieczny, znany pod wszystkimi szerokościami i długościami geograficznymi, konflikt młodych z starymi, frazeologiczny raczej, niż istotny. Sprawa wieku w Polsce dzisiejszej – to głęboka różnica typu psychicznego. Dla „starych” państwo polskie to zrealizowane hasło niepodległości, wspomnienia walk powstańczych i zabiegów dyplomatycznych, coś samo w sobie cudownego i niezwykłego. Dla młodych państwowość polska jest czymś samo przez się rozumiejącym się, zwykłym, powszednim, naturalnym. „Starzy” potrafią się zachłystywać tym, że polska flaga wisi na maszcie, że mamy swoją walutę, która nie spada, że zawieramy traktaty, sojusze i porozumienia. Ideałem ich jest stabilizacja. Młodzi, przeciwnie, chcą burzyć i przebudowywać, nie boją się ryzyka, które by mogło nawet chwilowo narazić na szwank interesy państwa, bo cóż warte państwa niesprawiedliwości społecznej i gospodarczego wyzysku? Tamci chcą urządzić państwo – ci przede wszystkim chcą urządzić społeczeństwo. Tamci zdołali się już pokłócić o to, jak urządzić państwo, ci nie zdążyli się jeszcze poróżnić serio na temat urządzania społeczeństwa.

Nie sposób nie dostrzec w Polsce zjawiska solidarności młodego pokolenia. Nie jest to solidarność poglądów oczywiście, ale solidarność metody myślenia, solidarność hierarchii tematów, solidarność reakcji uczuciowych.

Dwu młodym z przeciwnych obozów łatwiej się nieraz dogadać ze sobą niż każdemu z nich ze swoimi „starymi”. Bliżsi są sobie psychicznie. I łączy ich wspólność

przekonania, że najważniejszą sprawą, jaką ma Polska przed sobą, jest sprawa przebudowy społeczno-gospodarczej. Ich podział polityczny jest jeszcze odbłaskiem podziału tzw. starszego społeczeństwa. Ale jest to podział powierzchowny raczej, który natychmiast ustąpił by miejsca podziałowi istotnemu, gdyby tylko na to pozwoliły warunki.

---

Nawet utopijny projekt ordynacji wyborczej musi mieć swoje krótkie uzasadnienie. Dlaczego Sejm do 35-ciu lat? Dlaczego ta mechaniczna granica?

Trudno obejść się w projekcie takim bez pewnej mechaniczności, Ale uzasadnienie jest: roczniki najmłodsze, od 21 lat, to pokolenie, które już prawie nie pamięta niewoli, a w każdym razie całkowicie wychowane w polskiej szkole. Ci z górnej granicy, do 35-ciu lat, to ludzie, którzy w wolnej Polsce przeżyli połowę swego życia i jeśli zaliczają się do tzw. inteligencji, ukończyli polską wyższą uczelnię.

Sejm taki reprezentowałby młodość i awanturę, wnosiłby światoburcze projekty przebudowy społecznej, miałyby przed oczyma wizję przyszłej Polski, nieskażoną myśleniem z lat niewoli. Senat zaś byłby siedliskiem statecznej rozważli, powściągałby młodzieńcze zapędy, odwoływałby się do tradycji.

Partyjniactwo byłoby w takim Sejmie pojęciem nieznanym. Podział musiałby nastąpić według dwóch głównych prądów nurtujących dziś młode pokolenie: na obóz, głoszący hasła marksistowskiej koncentracji (z frakcją narodową i międzynarodową) i na obóz, głoszący hasła gospodarki narodowej w zdekoncentrowanym ustroju. Ale i staropartyjniacki Senat pod wpływem herezji, głoszonych w Sejmie, rychło by musiał się skonsolidować.

---

Jak utopia, to utopia. Pofantazjujmy dalej. Jakież byłoby oblicze tego Sejmu do lat 35-ciu?

Nikt by nie chciał siedzieć na prawicy – to pewne. Cały Sejm byłby radykalny. Wszystkie wnioski antykapitalistyczne przechodziłyby jednomyślnie. W krytyce ustroju kapitalistycznego mówcy z wszystkich list zgadzałyby się ze sobą. Różnice powstałyby dopiero w programie pozytywnym: koncentracja, czy dekoncentracja? Państwo-maszyna, czy państwo zorganizowanej twórczości narodowej?

Ale zanim by ta kwestia decydująca i ostatnia zjawiła się na porządku obrad, na drugim, czy trzecim posiedzeniu wpłynęłyby wnioski nagłe posłów narodowych w kwestii żydowskiej. Sprawa ta, dotąd bądź demagogicznie rozdmuchiwana, bądź wstydliwie przemilczana, na tym forum znalazłaby się w wnioskach konkretnych. Mimo gwałtownej obstrukcji frakcji komunistycznej, po mowie posła Manesa Fromera (autora

książki pt. „Konieczność światowego rozwiązania kwestii żydowskiej”) wypowiedającego się za uchwaleniem nagłośni, olbrzymią większością głosów nagłośni została przyjęta i rozpoczęłaby się wielka dyskusja.

Nie ma co ukrywać, że drażliwą sprawą w tym sejmie młodych byłaby sprawa kościoła. Posłowie chłopscy, zastrzegając się, że nie występują broń Boże przeciw religii, tylko przeciw klerowi, wnieśliby w obrady ton zaczepny. Dopiero przemówienie księdza posła Pyry, deklarującego imieniem młodego kleru solidarność z postulatami społecznymi izby, i wspierającego wywody radykalnych posłów chłopskich w ataku na kapitalizm cytatami z św. Tomasza, odprężyłoby zupełnie atmosferę.

Tylko, że po pierwszych uchwałach Sejmu, nastąpiłby ostry konflikt z Senatem...

---

Cóż więc warta ordynacja, która by nieuchronnie doprowadziła do konfliktu między dwiema izbami i nie wiadomo jakich następstw?

To właśnie jej największa wartość. Bo nareszcie zaczęłoby się w Polsce coś „dziać” naprawdę. Nareszcie przyszedłby przełom, nareszcie zaczęłoby się budować Polska przyszłej, tej, której pragnie i której wizję ma ciągle przed oczyma młode pokolenie.

Pokolenie starsze, pokolenie niepodległościowe, zapatrzone w przeszłość, pomne wysiłków walk o wolność i blaskiem legendy tych walk oślepienie, boi się tego momentu wkroczenia Polski na nowe drogi. Jest to zresztą lęk zupełnie psychologicznie zrozumiały.

Jak najdalej odsunąć moment przemiany, jak najdalej! Stąd w nowej konstytucji przesunięcie wieku wyborców do Sejmu z lat 21 na lat 24, stąd podwyższenie wieku posłów do więcej niż lat 30. Stąd rozważania p. Al. Kawałkowskiego w „Gazecie Polskiej”, jakby to młodzież zupełnie odsunąć od zainteresowań politycznych, skoro próby podporządkowania jej w organizacjach, kierowanych i subsydiowanych przez górę, zupełnie zawiodły.

---

– A pan, panie utopisto i projektodawco sejmu młodych, ile sobie lat liczysz, że taki pomysł forsujesz?

– Trzydzieści pięć. Na granicy, niestety, na samej granicy...



## MYŚLI PRAWIE

W podręcznikach uniwersyteckich, dla wpojenia w studentów prawa znaczenia pojęcia: „praworządność”, znaleźć można budującą historyjkę o jakimś spryciarzu, który pod koniec zeszłego stulecia pierwszy we Francji wpadł na pomysł korzystania z elektryczności bez licznika. Przyłączył się po cichu do sieci elektrycznej, ściągał prąd i uruchomił nim swoją fabryczkę. Zdawałoby się, że kwalifikacja tego pomysłu dla nikogo nie może ulegać żadnej wątpliwości: zwykła kradzież. Spryciarz stanął przed sądem i został uniewinniony. Bowiem obrońcy oskarżonego uczenie wywiedli, że kradzież jest to według obowiązującego ustawodawstwa przywłaszczenie cudzej rzeczy. Prąd zaś nie jest rzeczą. Więc nie ma kradzieży. *Nullum crimen sine lege* – nie ma przestępstwa bez ustawy. Sędziowie nisko pochylili głowy przed starą rzymską zasadą prawną i ogłosili wyrok uniewinniający, aby stało się zadość praworządności. Natomiast w parlamencie zgłoszono nowelę do kodeksu karnego, rozszerzającą pojęcie kradzieży również i na przywłaszczenie cudzego prądu. Od tej pory kto kradnie prąd stał się złodziejem. Przedtem nim nie był, bo nie było odpowiedniej ustawy...

Historia ta, bardzo serio traktowana przez podręczniki prawnicze, uzmysławia może najlepiej, jak wskutek tresury prawniczej punkt ciężkości naszych pojęć o sprawiedliwości przeniósł się z kryteriów sumienia na kryteria formalne. Nie to, co w naszym sumieniu uznajemy za przestępstwo, jest przestępstwem, ale dopiero to, co za przestępstwo uzna w ważny sposób uchwalona ustawa. Zrozumiano?

-----

We wsi Krzyże w powiecie tarnowskim w dobrach ks. Sanguszki (tego samego ks. Sanguszki, który na międzynarodowym zjeździe magnatów, jaki odbył się niedawno w Wiedniu, stwierdził, że wielkiej własności w Polsce dzieje się stosunkowo najlepiej w porównaniu z innymi państwami) – w tych to więc dobrach ks. Sanguszki pracował już 28 lat fernal Stanisław Pypeć. Sharowany, zniszczony pracą fernal Pypeć, ojciec dziewięciorga dzieci, marzył o rychłej emeryturze, jaka będzie mu się należała po wysłużeniu 30 lat, a ciężka to była, fornalska harówka. Została po niej Pypciowi trwała pamiątka: kopnięty kiedyś przez konia, stracił władzę w ręce. Odtąd już stał się stróżem nocnym, w dzień zaś, od 10-tej rano do 5-tej po południu rąbał drzewo i nosił wodę, w czym mu pomagało bez żadnej dopłaty dwoje dzieci. A wynagrodzenie? 37 zł kwartalnie, 150 kg. żyta, 75 kg. pszenicy, litr mleka zimą i dwa litry latem. Któregoś dnia Pypeć został wezwany do administratora majątku. Redukcja! Wypowiedzenie! Fernal Pypeć własnym uszom nie wierzył. Co?! Po dwudziestu ośmiu latach? Bez powodu? Dlatego, że jakaś tam redukcja?

– Panie administratorze! Na miłość boską! Co ja pocznę ze sobą? Z czego będę żyć? Mam przecież dziewięcioro dzieci!

- Nie trzeba było robić tyle dzieci - odpowiedział krótko pan administrator. Spieszyło mu się widać na brydża.

Fornal Pypeć wrócił do domu, przeżuując przez całą drogę słowa administratora. Co robić? Jak się ratować? Wszystkie prośby w kancelarii zarządu dóbr na nic się zdały. Wyprawa do Tarnowa i wystawanie po dygnitarskich przedpokojach - także. Termin, w którym trzeba było opuścić mieszkanie, zbliżał się. A w domu już głód. Któregoś dnia poszła Pypciowa do miasta sprzedać ostatnie trzy kury, za które otrzymała 4 i pół złotego. W tym czasie, gdy ona była na targu, zrozpaczony Pypeć wziął siekiere i wymordował, jedno po drugim, pięcioro swych dzieci. Czwooro było nieobecnych w chałupie.

*Nullum crimen sine lege* - nie ma zbrodni bez ustawy.

Redukowanie pracownika po dwudziestu ośmiu latach służby nie jest zbrodnią, bo nie ma żadnej w tej materii ustawy. Słowa administratora, skierowane do Pypcia nie zawierają również nic karygodnego z punktu widzenia prawa. Natomiast kodeks karny zna zbrodnię dzieciobójstwa, kwalifikując ją jako jedną z najcięższych zbrodni. Fornal Pypeć skuty w kajdanki, odstawiony został do więzienia w Tarnowie.

Proces miał się odbyć w tych dniach. Potworny byłby to proces. I pożałowania godni sędziowie. Wyrok, jaki musieliby wydać w zgodzie z kodeksem karnym na samego tylko fornala Pypcia, byłby równą potwornością, jak zbrodnia, której Pypeć dokonał.

Medycyna musiała dopomóc prawu. Ale w więzieniu fornal Pypeć zachowywał się spokojnie, nie zdradzając śladu nienormalności. Psychiatryczna ekspertyza tarnowska nic nie mogła wykazać. Wysłano więc fornala Pypcia do Krakowa na dłuższą obserwację w klinice. Po dwóch miesiącach przyszło zbawcze orzeczenie: Pypeć w chwili popełniania zbrodni nie zdawał sobie sprawy z tego, co czyni. Prasa donosi, że dochodzenie sądowe przeciw Pypciowi ma być umorzone, a on sam przekazany do zakładu dla obłąkanych.

Nie będzie procesu w Tarnowie...

---

Z niedokładności aparatu wymiaru sprawiedliwości opartego o paragrafy kodeksowe, zdawano sobie nie od dziś sprawę. Instytucją, która miała stanowić korekturę dla suchego, czysto prawniczego traktowania spraw, były sądy przysięgłych. To miał być ów uzupełniający „martwą literę prawa” głos sumienia.

Ale rychło przeciwko sądom przysięgłych rozpętała się burza w dostojnym świecie prawniczym. Ten głos sumienia ani rusz nie chciał się dostosować do doktryn humanitaryzmu.

Utkwił mi w pamięci zwłaszcza jeden argument, jakim zwalczano sądy przysięgłych. Oto jak wykazała praktyka w francuskich okręgach wiejskich, sędziowie przysięgli, rekrutujący się spośród chłopów, wykazywali bardzo wiele pobłażliwości dla

zabójstw w bójkach wioskowych; natomiast byli bezwzględni dla koniokradów. Czyż można oddawać wymiar sprawiedliwości w ręce przysięgłych, którzy uniewinniają raz po raz zabójców, a na kilkanaście lat pakują do więzienia koniokradów? – brzmiało patetyczne pytanie humanitarystów. – To życie człowieka mniej jest cenne niż koń?

Hm, w tym sformułowaniu pytanie brzmi istotnie beznadziejnie. Ale oczywiście tak je może sformułować tylko ciasny indywidualista. Życie człowieka to coś bardzo cennego; ale istnieje coś cenniejszego: życie ludzi. Śmierć człowieka w bójce pijackiej – to margines życia społecznego. Po co laź na pijatykę? – dogadają jeszcze nieboszczykowi kumy, powracając z pogrzebu. Inna sprawa z kradzieżą koni na wsi. To jest wtargnięcie w organizm społeczny. Czymże jest gospodarstwo chłopskie bez konia, jak nieobrobiona ziemia ma wykarmić rodzinę? Tu już wchodzi w rachubę życie ludzi, głód na przednówku, widmo siniejących twarzątek dzieci...

Na wadze panów humanitarystów zabójstwo zawsze przeważa kradzież konia; jakżeby mogło być inaczej! Zbrodnie i przestępstwa są przecież kodeksowo sklasyfikowane, ściśle według tego, co mówi doktryna. Odpowiedzialność wobec doktryny jest przecież znacznie łatwiejsza i prostsza, od odpowiedzialności wobec sumienia.

---

Prawo jest często ucieczką przed odpowiedzialnością sumienia. Bywa ucieczką przed odpowiedzialnością w ogóle. O ile wygodniej zasłonić się jakąś ogólną zasadą niż stanąć oko w oko z konkretną sprawą konkretnego człowieka!

Któż z nas tego nie wie z własnego doświadczenia! Ile razy łapałem się na tym w pracy redakcyjnej! Przychodzi do redakcji grafoman i przynosi straszliwe wierszydła, lub sążnistą, arcybanalną nowelę. Powiedzieć mu: panie, to grafomaństwo – znaczy wziąć na siebie odpowiedzialność za ocenę, za przykrość, jaką się mu wyrządzi, za pomyłkę czasem. Więc mówi się np.: „Pański utwór jest za długi, a my tak długich utworów nie zamieszczamy zasadniczo”. Ot i zasada ogólna, zwalniająca od odpowiedzialności wobec poszczególnego wypadku.

Prawo jest właśnie zbiorem takich zasad. Zasad niezbędnych dla utrzymania porządku, ale równocześnie wygodnych dla pozbywania się ciężaru odpowiedzialności. To nie ja – to prawo. Ja jestem tylko wykonawcą prawa... – jak mawia sekwestrator, fantując biedakowi ostatnią poduszkę spod głowy.

---

Rozdźwięk pomiędzy prawem a życiem, spowodowany nieuchronnym starzeniem się tych i owych norm prawnych, da się łatwo usunąć przez zastąpienie ich normami nowymi, bardziej odpowiadającymi zmienionym warunkom społecznym. Groźny

natomiast jest zawsze przerost prawa, bo formalizuje psychikę ludzką, zwalnia ludzi od trudu odpowiedzialności przed własnym sumieniem, pozostawiając łatwinę podporządkowania się przepisom i doktrynom. Stwarza wreszcie wygodne alibi: po co brać na siebie ciężar odpowiedzialności, gdy można paradować dumnie w todze obrońcy tzw. praworządności.

W życiu publicznym odwoływanie się do prawa jest najczęściej synonimem słabości i niepewności w zdaniu sobie sprawy z swej wewnętrznej prawdy. Twórcze i sugestywne społecznie jest odwołanie się do sumienia, a nie do kodeksu, do wiary w słuszność programu, a nie do konstytucji. Jeśli prawo pokrywa się całkowicie z prawdą sumienia i z wiarą w słuszność programu, jest wówczas tym, czym być powinno. Ale i wówczas jest tylko funkcją sumienia i programu, mniej lub bardziej udolną formą. Fetyszyzm prawa – jest zawsze wewnątrz pusty. Jest fetyszyzmem formy. Słabość obozu rządowego w dniach przewrotu majowego i przyczyna jego klęski leżała w tym, że operował formalistycznym hasłem praworządności, a nie hasłami słuszności. Siłą tych, którzy przyszedli przez trzeci most były hasła moralne, jakie wypisali na swych sztandarach, była odwaga odpowiedzialności,

Ale kiedy już raz weźmie się na siebie odpowiedzialność, to już jej ciężaru nie można się pozbyć przez subtelne interpretacje prawne, ani przez pośpieszne ustalenie zasad nowej praworządności, aby się zwolnić od konieczności operowania zasadami słuszności. Odpowiedzialność za przewrót polityczny trwa długo, bardzo długo. Sprawdzianem zaś celowości przewrotu jest nie tylko przyjemność odpowiedzialności za doraźne sukcesy i sukcesiki, ale przede wszystkim, niezastłonięta parawanikiem prawa odwaga odpowiedzialności za drogę, jaką się swą władzę utrwalało.

---

Minęła właśnie niedawno rocznicą krwawej rozprawy w partii hitlerowskiej, Z dystansu roku można już na zimno oceniać wypadki niemieckie z nocy 30-go czerwca. Nie mieszczą się one w naszym klimacie duchowym. Są na linii tradycji krzyżackich, czy może jeszcze dawniejszych, karolińskich. Nie inaczej, dla racji stanu, postąpił Karol Wielki, kiedy kazał wymordować zaproszonych na ucztę rycerzy saskich Widukinda. Ten typ rozprawy wewnętrznej nieraz się znaczył krwawo w dziejach cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego. Jest wcale typowy dla średniowiecza w ogóle.

My, ludzie nowocześni, z obrzydzeniem i grozą otrząsamy się na wspomnienie takiego barbarzyństwa. Potrafiliśmy doskonale przyodziać nasze barbarzyństwo w sukienkę prawa, zapinaną na paragrafy. Nowoczesne dyktatury mają przecież do dyspozycji sędziów, którzy kogo trzeba skazą i na pozbawienie praw obywatelskich, i na więzienie, i na śmierć nawet. Jakiś paragraf zawsze się znajdzie. Że naciągnięty? O to już mniejsza. Odpowiedzialność została zrzucana na paragraf. Nikt jej nie bierze oficjalnie na siebie. Nikt jej nie bierze otwarcie na swoje sumienie.

O, tak. Styl rozprawy w nocy 30 czerwca bardzo był nienowoczesny. Nie wyszły ciche polecenia: pojmać kogo trzeba, wyszukać jakieś plamki z przeszłości, osądzić i skazać. Ani nawet nie użyto do załatwienia się z przeciwnikami ciemnych figur z defensywy, których potem można się wyprzeć. Nie. Sam Fuhrer udał się samolotem do Monachium, aby przed tym, co się miało stać, spojrzeć dawnym towarzyszom odważnie w twarz. Wziąć na siebie całą odpowiedzialność. Odpowiedzialność wobec własnego sumienia i odpowiedzialność wobec narodu. Najcięższą odpowiedzialność, jaką można wziąć na siebie: odpowiedzialność za cudzą śmierć. W georingowskim Berlinie nie stać już było nikogo na ten styl. Jakież mętne nazajutrz tłumaczenia, wykręty, niejasności. Potworna scena w willi gen. Schleichera, skrytobójcze rozprawy z przywódcami katolickimi.

Tam, w Monachium, wszystko otwarcie i jawnie. Aż do oficjalnego komunikatu włącznie: „Dnia tego a tego zastrzeleni zostali następujący dowódcy SA...” Wyraźnie: zastrzeleni, a nie rozstrzelani.

Trzeba być do głębi duszy przekonanym o słuszności swego postępowania o konieczności czynu dla idei, w którą się wierzy, aby tyle odpowiedzialności wziąć na siebie. Takie poczucie musiał mieć Karol Wielki, kiedy walczył z Sasami o możliwość utrwalenia w swej monarchii cywilizacji chrześcijańskiej. I Kościół katolicki zaliczył go w poczet świętych.

---

Czuję już, jak oburzenie rozpieiera pierś czytelnika. Proszę tu nie wyjeżdżać z średniowieczem, bo tu nic nie ma do rzeczy! Inni byli ludzie, inne warunki, inne czasy, inne do nich musi się stosować kryteria. Tenże Karol Wielki miał kolejno cztery żony ślubne, trzy żony nieślubne, a przez cały czas szereg nałożnic, których dzieci wychowywały się razem z dziećmi ślubnymi, a wcale z tego nie wynika, żeby dziś propagować wielożeństwo. Ta sztuczka z Karolem Wielkim służy po prostu do zamaskowania apoteozy zbrodni i bezprawia. Wstyd!

Za pozwoleniem! – jak mawiało się w starych powieściach. Ani mi w głowie apoteozować zbrodnię i bezprawie. Dość ich zawsze na świecie. Ale myślę, że przerost prawa nad sumieniem zwiększa ilość zbrodni i bezprawia, osłabiając poczucie odpowiedzialności. Obciążyć odpowiedzialnością sumienie znacznie ciężiej przychodzi człowiekowi, niż obciążyć odpowiedzialnością prawo. To hamulec, a nie oswobodzenie. Nie tylko hamulec lęku przed zdaniem sprawy ze swych czynów poza kresem życia, lęku, który podświadomie działa w duszy najzagorzalszego nawet materialisty, ale także hamulec obawy wobec doczesności. W życiu publicznym stawką jest tu dylemat: znieawidzony tyran, czy wódz utwierdzający nowe wartości cywilizacyjne. Kaligula, czy Cezar; w życiu prywatnym: niepewny dnia i godziny zbir, czy obywatel związany z zbiorowością.

I myślę, że bardziej można zawierzyć twórczemu działaniu sumienia, niż prawa. Zaprawianie do wsłuchiwania się w głos przymusu wewnętrznego więcej jest warte, niż mechaniczne stosowanie przymusu zewnętrznego. Prawo trzeba mieć w duszy, wtedy znaczy ono coś i na papierze. Fetyszyzm praworządności formalnej – to hodowla społeczeństwa krętaczy i kauzyperdów.

# PODRÓŻ MIĘDZYPLANETARNA

Starsi panowie, panowie z XIX-go wieku, ci, którzy w *curriculum vitae* wpisana mają datę urodzenia, zaczynającą się od cyfr 18..., ogromnie lubią rozprawiać długo i uczenie o kryzysie i dnie kryzysu, o równaniu w dół i nakręcaniu koniunktury, o deflacji i inflacji. Nam, ludziom XX-go wieku, wydają się te ekonomiczne rozrywki umysłowe po prostu zabawne. Kryzys? Bardzo zgrabne słówko, bo napawające otuchą, że się przecież kiedyś skończy (zwłaszcza, że już dno pokazał), i że powoli, powoli, na automatycznej taśmie deflacji lub inflacji (co kto woli), powrócą dawne, dobre czasy. Nam, może dlatego, że do tych dawnych, dobrych czasów nie tęsknimy, nie bardzo chce się jakoś wierzyć w kryzys. Wydaje się nam raczej, jesteśmy nawet tego pewni, że przeżywamy zjawisko znacznie większej skali, niż taki zwykły, oklepany kryzys ekonomiczny. Że to po prostu katastrofa kapitalistycznego ustroju gospodarczego, w jaki świat zagrzał przez szereg wieków. I że już tej zmurszałej budowli podstemplować się nie da, ani nie ma po co. Więc też interesuje nas budowa nowego ustroju.

Starsi panowie o inflacji i deflacji – a my o koncentracji i dekoncentracji, o kolektywizmie i o upowszechnieniu warsztatów, o produkcyjnym i prawie do twórczości.

Powinienem odpowiedzieć na artykuł polemiczny Zbigniewa Byrskiego „Drobny warsztat, czy kółko w maszynie” (Prosto z Mostu, nr 42) artykuł, który jest jednym z ogniw w tej naszej dyskusji. Powinienem odpowiedzieć, tym bardziej że artykuł Byrskiego jest rzadkim (niestety!) przykładem stuprocentowej rzetelności polemicznej. Autor, wytaczając ze swego kolektywistycznego stanowiska zarzuty przeciw tezm dekoncentracji gospodarczej, z całą sumiennością i bezstronnością streścił poglądy przeciwnika, nigdzie ich nie naciągając dla łatwiejszego zwycięstwa polemicznego, ani tym bardziej nie przeinaczając. Jeśli w kilku punktach wyciągnął z moich artykułów wnioski opaczne – to tylko moja w tym wina. Wina pozostawienia pewnych luk w szkicowym z konieczności traktowaniu sprawy w ramach doraźnych artykułów. Te luki wypadnie dziś przede wszystkim uzupełnić.

Ale wprzód jeszcze mała dygresja terminologiczna. Chodzi mi o nieszczęsne słówko: „drobnomieszczaństwo”, które jest dla Byrskiego synonimem dekoncentracji. Słówko wywołujące masę niepotrzebnych nieporozumień, bo posiada swój określony sens historyczny, sens, pomimo pozornej zbieżności z nowoczesnymi hasłami dekoncentracji – zupełnie różny. Mówiąc o dekoncentracji gospodarczej nie mam bynajmniej na myśli jakiegoś procesu uwsteczniającego, cofania się do epoki średniowiecznego rzemiosła, czy drobnomieszczaństwa z okresu Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Nie jestem bynajmniej zwolennikiem naiwnego, ruskinowskiego maszynoburstwa, ani równie naiwnego powrotu do natury Jana Jakuba Rousseau, ani nawet nowego średniowiecza Bierdiajewa. Epoki historyczne są niepowtarzalne.

Człowiek nie wróci do jaskini, nie zmieni pługu na sochę, nie wyrzeknie się samolotu dla zdrowotnego spaceru *per pedes apostolorum*<sup>7</sup>. To byłyby wszystko śmieszne i zbędne utopie. Sądzę natomiast, że rozwój nowoczesnej techniki wykazuje wyraźne tendencje dekoncentracyjne, że jak maszyna parowa wywołała konieczność koncentracji przemysłu, tak silnik spalinowy i elektryczność stwarzają perspektywy rozproszenia produkcji przemysłowej. Te nowe warunki techniczne będą się musiały wyrazić w nowej strukturze społecznej, która jednak bynajmniej nie będzie ani feudalną, ani drobnomieszczańską. Dlatego zaś przede wszystkim nie drobnomieszczańską, że los miast wobec rozwoju nowoczesnej komunikacji stoi pod wielkim znakiem zapytania.

Muzyka odległej przyszłości? Być może, ale wynalazki idą tak szybko w tym kierunku, że trudno się z nimi nie liczyć, jeśli chce się budować nie na miesiące i lata – ale na epokę. Gdym pisał przed kilku miesiącami artykuł „Latający dywan”, zwracający uwagę na możliwości komunikacyjne szybowców, ani się spodziewałem, że jesteśmy tak blisko przełomu w lotnictwie, czego widowym znakiem jest choćby francuski samolocik „*Pou du ciel*”, jeszcze silnikowy, ale już tak prosty, że jak powiada wynalazca Mignet, każdy może go sobie zbudować z zwykłej skrzyni drewnianej<sup>8</sup>.

Rozwój techniki z jednej strony, z drugiej zaś bunt człowieka przeciw niewolnictwu wobec starej maszyny, w które poddał go ustrój kapitalistyczny – oto dwie przesłanki na których opiera się możliwość realnego postawienia prawa do twórczości.

Zbigniew Byrski rozróżnia twórczość w zakresie produkowania dóbr materialnych i twórczość w zakresie dóbr duchowych. Jest to właśnie podział, który wydaje mi się z gruntu przestarzały i fałszywy. Stworzył go ustrój kapitalistyczny aby zepchnąć robotnika do roli mechanicznego wytwórcy, aby zubożyć proletariat nie tylko materialnie ale i duchowo, aby go uzależnić nie tylko od kapitału, ale i od monopolu na myślenie warstw posiadających, aby go możliwie odczłowieczyć.

Twórczość duchowa nie może istnieć bez równoczesnego wyprodukowania tzw. dobra materialnego, jak na odwrót, produkowanie dóbr materialnych, wyzute z wszelkiej twórczości duchowej, sprowadza człowieka-producenta do roli robota.

---

<sup>7</sup> [łac.] „Na wzór apostołów” [redakcja]

<sup>8</sup> Francuski przemysł lotniczy domagał się oczywiście wydania natychmiastowego zakazu budowy tych samolocików, niekontrolowanych przez fachowców, a więc „zagrożających życiu ludzkiemu”. Minister lotnictwa oparł się temu żądaniu. Dziś we Francji jest już 150 samolotów tego typu, propagator idei „pouducielowskiej” Mignet został odznaczony Legią Honorową, a ruch „pouducielowski” ogarnął już Anglię, Niemcy, Szwajcarię, Hiszpanię, Stany Zjednoczone, Japonię, Argentynę, Chile, nawet północną Afrykę, gdzie powstał klub „pouducielistów”. Zaś Rosja sowiecka przystępuje do... seryjnej produkcji samolotów typu Migneta, wypaczając zresztą myśl twórczy, któremu właśnie chodziło oto, aby człowiek sam mógł sobie zbudować samolot. Bliższe szczegóły patrz w „Skrzydlatej Polsce” nr 5, 1936. (Przypisek podczas druku książki).



Przykłady, podane przez Byrskiego, uzmysłowią to doskonale:

*„Twórczość wartości duchowych – powiada Byrski – jest z natury rzeczy jednolita. Piasecki jest jednocześnie twórcą i wytwórcą wartości duchowych. Inaczej podział na twórcę i wytwórcę nie ma tutaj żadnego sensu, ponieważ z chwilą pomyślenia proces wyprodukowania tej wartości duchowej został ukończony”.*

Otóż nie. Z chwilą pomyślenia proces wyprodukowania wartości duchowej bynajmniej nie został ukończony, ale dopiero zaczęty. Pomyślenie – to jest tylko pomysł wartości duchowej. Kształt realny przybiera ona – w danym wypadku dopiero pod piórem, w połączeniu z fizyczną pracą pisania, gdy powstaje zarazem pewne dobro materialne. Podział na dobra duchowe i materialne jest równie sztuczny, jak podział na pracę umysłową i fizyczną. Pisanie artykułu nie jest wcale mechanicznym przenoszeniem myśli na papier, jest psychofizyczną pracą formułowania myśli w konkretne zdania, pracą, w której wysiłek psychiczny łączy się w przedziwny sposób z wysiłkiem fizycznym ręki, wodzącej pióro po papierze. Wie o tym doskonale każdy, kto np. przeuczał się z pisania piórem – na pisanie artykułów na maszynie. Wytwarza się wówczas jakiś zupełnie) nowy związek psychofizyczny, wymagający dopiero opanowania.

Mógłby tu oczywiście rzucić ktoś, z głupi frant, peszący *Zwischenruf*: „A jeśli pisarz dyktuje artykuł? A jeśli chodzi nie o pisarza, tylko o mówcę?” Formułowanie myśli w zdania mówione, formułowanie odpowiedzialne, jest tak samo pracą fizyczną, jak pisanie. Autor dyktujący odczuwa taki sam wysiłek fizyczny, jak autor piszący, a jeśli ten wysiłek będzie mniejszy, ze względu na krótszy czas pracy, to i zadowolenie z ścisłości sformułowania swej myśli zmniejszy się odpowiednio. Zaś mówca schodzi z trybuny złany potem nie tylko dlatego, że głos natężył, albo że na sali było gorąco, ale przede wszystkim dlatego, że przebył olbrzymi wysiłek fizyczny konieczności błyskawicznego budowania pomysłu w wykład.

Pomysł twórczości nie jest jeszcze twórczością ani wartością duchową jeśli przez wartość rozumiemy coś, co także inni ocenić mogą, a tylko w tym znaczeniu słowo wartość posiada jakikolwiek sens. Pomysł – jeśli się rodzi – rodzi się zazwyczaj lekko i bez wysiłku. Więcej ma w tym udziału podświadomość, niż- świadomość. Pomysł – to najczęściej zjawisko psychiczne z rzędu tych, które wielki matematyk francuski, Henri Poincare, zanalizował na słynnym przykładzie swego odkrycia w dziedzinie rachunku różniczkowego i całkowego. Przez długie tygodnie pracował nad tymi zagadnieniami i nie mógł dojść do niczego. Aż nagle, wezwany na ćwiczenia wojskowe, stawiając nogę na stopień dyliżansu, znalazł w mózgu, błyskawicą myśli, podstawowe rozwiązanie. To rozwiązanie stało się konkretną wartością przez żmudne opracowanie go po powrocie z ćwiczeń, i przez pracę, wykonaną przedtem. Stworzenie wartości składa się bowiem zawsze z pomysłu i pracy, które łączą się z sobą nierozdzielnie. Odkrycie Poincarego stało

się wartością duchową, wymiarną przez innych wtedy, gdy zarazem stało się dobrem materialnym w postaci rękopisu książki.

My, ludzie z warstw posiadających... prawo do twórczości, my, posiadający to prawo choćby w najskromniejszym zakresie np. publicystyki, wiemy dobrze, jak męka fizycznej pracy ślęczenia nad biurkiem z obolałymi od zmęczenia mięśniami, z opadającymi po całonocnym pisaniu powiekami, staje się rozkoszą, gdy jest równocześnie urzeczywistnieniem twórczego pomysłu, tworzeniem wartości duchowo- materialnej. I tej rozkoszy tworzenia, stanowiącej istotę człowieczeństwa, nie wolno odbierać nikomu.

Odebrał ją masom proletariackim ustrój kapitalistyczny, który nie tylko zachował dawny, feudalny podział na bogatych i biednych, ale dodał jeszcze do niego, w imię produkcjonizmu, podział na twórców i wytwórców. Komunizm sowiecki, zniósłszy zasadniczo nierówność rozdziału bogactw, przejął z ustroju kapitalistycznego zasadę produkcjonizmu z jej podziałem na twórców i wytwórców.

Zbigniew Byrski, rozwijając przykład z pisarzem, który jest „jednocześnie i twórcą i wytwórcą wartości duchowej”, taką dalej snuje konstrukcję roli proletariatu:

*„Nie możemy np. uważać za wytwórcę wartości duchowej robotnika drukarskiego. Bierze on tylko udział w udostępnianiu wyprodukowanej wartości duchowej dla szerokiego ogółu.*

*Przetwarza on wartość duchową w społeczne dobro. Całkowity zatem proces tworzenia wartości duchowych łącznie z pracą fizyczną, dokonaną celem udostępnienia ludziom danej wartości duchowej, nazwiemy procesem produkowania społecznego dobra duchowego”.*

Robotnik drukarski sprowadzony jest więc do roli mechanicznego powielacza wartości duchowych, a za całe zadowolenie starczyć mu musi, że swą mechaniczną ośmiogodzinną pracą, przyczynia się do „udostępnienia dobra duchowego”. Nie inaczej było i jest w ustroju kapitalistycznym, z tą bodaj jedną różnicą, że tam zysk z tego produkowania szedł do kieszeni kapitalisty, w ustroju kolektywistycznym zaś zysku kapitału nie ma, został on uspołeczniony. To niewątpliwie dużo – ale czy to nawet najbardziej uspołecznionemu człowiekowi przyszłości zdoła wynagrodzić zduszenie w nim instynktu twórczego?

Myślenie kolektywistyczne jest tak dalece zarażone kategoriami produkcjonizmu kapitalistycznego, że wnikliwy umysł Byrskiego nie dostrzega nawet w przytoczonym przykładzie drukarni możliwości zaspokojenie potrzeb twórczości duchowej robotnika. Przetworzenie rękopisów w książkę, czy w czasopismo jest niewątpliwie pracą wtórną, udostępnianiem ogółowi dorobku pisarza. Ale jest też nowym aktem twórczym: powstaje książka. Zecer, metrapaź i maszynista tworzą, niezależnie od powielania cudzej

twórczości pisarskiej, dzieło własne, którego wartość zależy od doboru czcionki, złamania kolumn, precyzji tłoczenia.

Ale i tu już wdziera się produkcyjna tendencja odgradzania robotnika od wszelkiej pracy twórczej. Zasadą produkcyjności jest sztuczne rozgraniczenie pracy fizycznej i umysłowej. Robotnik nie powinien tracić czasu na faramuszkę, tylko składać „satz”, łączyć kolumny i drukować. Od komponowania drukarskiego książki, czy od układu graficznego afisza jest spec, inteligent, artysta, który wyda wskazówki czarnoroboczym, fizycznym pracownikom, co i jak mają wykonać. Ile to produkcyjnych „nastawień” narobiło szkód w naszych małych nawet drukarniach, wie każdy, co ma z drukarstwem do czynienia.

Spodziewam się, co mi na to mogą odpowiedzieć kolektywiści: Małe drukarnie, w których zecer może rozwijać swe uzdolnienia artystyczne – to już formacje szczątkowe. Przy wielkiej maszynie rotacyjnej, przy linotypie z standardowymi typami czcionek nie ma miejsca na roztkliwienie się nad ginącym typem rzemieślnika-artysty. A czy mamy się wyrzec rotacyjnego druku, możliwości o tyle szybszego rozpowszechniania słowa drukowanego, milionowych nakładów pism codziennych? Trzeba więc w robotniku drukarskim rozbudzić poczucie ważności społecznej jego ogłupiającej, mechanicznej pracy – i koniec.

Nie chcę snuć fantazji na temat technicznych możliwości zdekoncentrowania przemysłu drukarskiego. Ale myślę, że jeśli zajdzie tego potrzeba (ta potrzeba, która jest przysłowiową matką wynalazków), to technika da sobie z tym problemem radę. A że taka potrzeba już powstaje, tego uczy nas nie kto inny, jak Rosja sowiecka. Pamiętacie z beletrystyki sowieckiej te lotne propagandowe brygady (czy jak się to tam zwie) komsomolców, które dla dopingowania robotników tej, czy innej budującej się fabryki, drukują w wagonach kolejowych na małych drukarkach pisma lokalne, poświęcone podnoszeniu zasług dzielnych a wykpiwaniu nieróbstwa niedorajdów? Nawet w ustroju kolektywistycznym konieczna się okazuje dekoncentracja prasy...

Ale bo też w Rosji sowieckiej mniej jest doktrynerstwa i więcej liczenia się z wymogami rzeczywistości, niż w głowach naszych rodzimych marksistów. Tam już dawno wrócono do zasad surowości obyczajowej (bardzo... drobnomieszczańskiej), gdy u nas talmudyści komunizmu zachłystywali się jeszcze hasłami swobody płciowej. Tam odbywa się na wielką skalę przełom ku psychologizmowi w traktowaniu spraw społecznych, gdy w polskich agitkach komunistycznych pełni się w najlepsze suchy i tępy doktryneryzm ekonomiczny. Stalin rzucił już hasło: „frontem do człowieka”, a jeśli będzie konsekwentny, i pójdzie w tym kierunku dalej, to i niedługo usłyszymy coś niecoś o zahamowaniu pędu do koncentracji gospodarczej. Wtedy i nasi marksiści będą na gwałt zmieniać zdanie.

My, narodowcy polscy, nie mamy potrzeby oglądać się na światło ze wschodu i według niego się orientować. Nie wydaje się nam konieczne przejście przez okres sowieckiego powtarzania błędów ustroju kapitalistycznego i amerykańskiej. Wolimy od razu zacząć od tego punktu, z którego trzeba zaczynać: od człowieka. Człowiek zaś nie może się czuć szczęśliwy w ustroju, w którym poddano go niewoli produkcyjnej, w którym odebrano mu radość tworzenia, a pozostawiono tylko fizyczny trud powielania cudzej twórczości, twórczości nowych panów.

Oczywiście, przyjęcie humanistycznej zasady dekoncentracji gospodarczej, realizowanej w miarę, jak na to pozwoli rozwój nowoczesnej techniki, stwarza szereg problemów do rozwiązania. Jednym z takich problemów jest problem wymiany handlowej, na który słusznie zwrócił uwagę Zbigniew Byrski w swym artykule polemicznym, niesłusznie jednak przypuszczając, że zasada prawa do twórczości prowadzi z nieuchronną koniecznością do zachowywania handlu w dzisiejszej jego formie i znowu słusznie wywodząc, że „prawo do twórczości” jest w takim handlu, niestety, prawem koncentracji kapitału.

Pozwolę tu sobie jedynie wprowadzić pewną poprawkę: zamiast „jest” – „byłoby”. Byłoby, gdyby w handlu w ogóle mogła być mowa o prawie do twórczości, o pracy twórczej. Handel zaś, jak w ogóle wszelkie pośrednictwo, jest typowym zajęciem nieprodukcyjnym, nietwórczym. Jest pasożytnictwem na cudzej pracy i cudzej twórczości. To już powiedział stary Arystoteles. Toteż w ustroju twórczości narodowej na handel w dzisiejszej jego formie, koniecznej w dzisiejszym ustroju, w ogóle nie ma miejsca. Handel musiałby być upaństwowiony, uspołeczniony czy unarodowiony (każde z tych trzech słów ma swoje niedostatki terminologiczne – ale treść w gruncie rzeczy tę samą).

Handel bowiem odgrywałby w zdekoncentrowanym ustroju gospodarczym niesłychanie doniosłą rolę regulatora. Ustrój dekoncentracji nie ma być przecież anarchią, tylko wyższym od kolektywu typem uspołecznienia produkcji, zorganizowanej w małych warsztatach. Kontrolowanie i kształtowanie tej produkcji należałoby z natury rzeczy do handlu, nie obliczonego na zysk, ale kierującego się celem społecznym i utrzymywanego przez państwo. Zawód kupca, z natury nietwórczy, stałby się w ten sposób twórczym społecznie, jak twórczym jest społecznie zawód urzędnika przez swój cel kształtowania społeczeństwa.

Upaństwowienie handlu jest oczywiście przedsięwzięciem nierównie trudniejszym od upaństwowienia produkcji, już przygotowanej przez ustrój kapitalistyczny do łatwego, mechanicznego przejęcia ze zmianą jedynie – tytułu własności i zachowaniem całej antyhumanistycznej organizacji. Upaństwowienie, uspołecznienie czy unarodowienie handlu wymaga przede wszystkim wytworzenia typu człowieka ideowego, takiego typu jakim stały kooperatywy w Poznańskim i jakim stoją obecnie kooperatywy ukraińskie: człowieka, dla którego działalność gospodarcza jest służbą

narodową, człowieka, który jest antytezą zarówno kombinatora, jak biurokraty. A taki typ tworzą wszystkie wielkie ruchy ideowe.

Utarło się nazywać hasła kolektywistyczne hasłami rewolucyjnymi, a narodowców uważać za ewolucjonistów. W istocie jest wręcz przeciwnie. Kolektywizm sowiecki – to ewolucjonizm najczystszej wody, to dalszy ciąg ustroju kapitalistycznego z wyrównaniem

nierówności w podziale dochodu społecznego. Ewolucyjny charakter kolektywizmu został zaciemniony przez to, że realizacja haseł kolektywistycznych nastąpiła w uwstecznionej pod względem rozwoju kapitalizmu Rosji i przeto musiała przejść przez ostrą fazę rewolucyjną – ale czyż piatiletka<sup>9</sup> nie jest po prostu doganianiem najbardziej w rozwoju kapitalizmu zaawansowanej Ameryki?

Idealy obyczajowe i gospodarcze kolektywizmu są na wskroś amerykańskie. Uświadomiłem to sobie jaskrawo podczas bardzo interesującego odczytu autora „Pawich piór”, Leona Kruczkowskiego, o nowej obyczajowości. Jest to pisarz, któremu obcy jest pusty frazes socjalistyczny, prawdziwa klasa wśród naszej lewicy literackiej, mózg, pracujący z imponującą precyzją, a przy tym odwaga przemyślenia zagadnień do dna. Przeciwnik, z którym dyskusja jest naprawdę pożyteczna przez konieczność okopywania coraz to nowymi argumentami swego stanowiska.

Ów Kruczkowski w odczycie swym podkreślił wyraźnie, czym kolektywiści zazwyczaj ze względów oportunistycznych nie lubią się chwalić, że ustrój kolektywistyczny przejmuje z ostatniej fazy rozwoju ustroju kapitalistycznego szereg form obyczajowych i gospodarczych. Oczywiście, nabierają one w nowym ustroju nowej treści: kolektywistycznej. Rozróżnienie na formę i treść wydaje mi się jednak tak samo zawodne, jak przedyskutowane na początku tego artykułu rozróżnienie na pracę fizyczną i umysłową, lub na dobra materialne i duchowe. Forma i treść ściśle się ze sobą wiążą i są współzależne.

Oklepana metafora z pucharem (formą), do którego wlewa się wino (treść) według wyboru, jest zupełnie bzdurna. Takie to proste nie jest.

Myślę, że robotnik, stojący przy taśmie automatycznej i powtarzający do ogłupienia jeden i ten sam ruch, ma słabą pociechę z tego, że się ogłupia nie dla zysku kapitalisty, ale dla dobra społecznego. Dziwne to jakieś dobro społeczne, które każe się członkom społeczeństwa ogłupiać. I jestem gotów bardziej współczuć temu robotnikowi, niż owej gospodyni drobnomieszczańskiej, smażącej w kuchni kotlety, z którą tak

---

<sup>9</sup> Potoczna nazwa pięcioletniego planu rozwoju gospodarczego i społecznego ZSRR, forma systemu centralnego planowania gospodarczego i jedna z metod zarządzania państwem sowieckim, stosowana po 1945 także w państwach bloku komunistycznego i niektórych krajach rozwijających się. [redakcja]

współczuł Kruczkowski w swoim odczycie. Ta przynajmniej ma możliwość rozwinięcia inwencji kulinarnej, tamten jest skazany na wiecznie to samo.

Cięty polemista Zbigniew Byrski powiada na to: pięknie, ale wynalazków, umożliwiających całkowitą dekoncentrację przemysłową, niema dotąd, trudno zaś powracać do średniowiecznych metod produkcji, które nie pozwoliłyby na zaspokojenie nawet 10% potrzeb ludności. Co warta byłaby np. próba rozwiązania kryzysu, przyjmująca jako jedną z przesłanek, realizację podróży międzyplanetarnych, co nie jest przecież ani dalekie, ani niemożliwe?

Zgoda. Taka próba rozwiązania kryzysu byłaby diabła warta. Ale tu chodzi o rozwiązanie sprawy wieczniejszej, niż tzw. kryzys: sprawy człowieka. Droga przed nami daleka? Tym bardziej trzeba ją raz zacząć, a nie iść w odwrotnym kierunku. Przejęcie przez państwo aparatu gospodarczo-technicznego, stworzonego w ustroju kapitalistycznym dla wyzysku i pognębienia człowieka, jest rzeczą łatwą. Idzie ku temu na całym świecie. I ku triumfowi socjalistycznej idei wyrównania niesprawiedliwości rozdziału dochodu społecznego też idzie. To będzie wielka zdobycz historyczna socjalizmu, zdobycz bezwartościowa jednak, gdy się ją obciąży bagażem kapitalistycznego systemu technicznego gospodarki. Choćby się rozpałiło wyobraźnię nowoczesnego człowieka przekonaniem, że odtąd już pracować będzie dla dobra społecznego w uspołecznionym państwie, ten człowiek ocknie się prędko i powie; do luzu z takim dobrem społecznym, które mi odbiera człowieczeństwo!

Zamiast wprzęgać się bez zastrzeżeń w gotowy kierat wielkoprzemysłowego produkcjonizmu, trzeba tworzyć formy nowe wszędzie tam, gdzie to już jest możliwe i przyspieszać ich powstawanie. Trzeba kształtować stosunki według własnej idei, a nie dawać się im kształtować w kierunku, w jakim pchnął je ustrój, oparty na wyzysku. Trzeba rewolucjonizować świat, a nie czekać, aż rewolucyjnie dojdzie do naszego ideału.

## SŁOWO I TREŚĆ

Trudno, bardzo jest trudno dogadać się nacjonałiście z socjalistą, jeśli już do takiej pogawędki – polemicznej oczywiście – dojdzie. Mówią innymi językami, operują innymi pojęciami. Stąd tyle w każdej takiej dyskusji nieporozumień, które wprzód mozolnie trzeba pousuwać, aby polemika o sprawy istotne i ważne, nie stała się sporem o słowa źle zrozumiane, aby argumenty biły w siebie, a nie rozmijały się, pędząc w próżnię.

Marksizm jest doktryną. Nacjonalizm nie jest doktryną. To stwierdzenie pierwsze i zasadnicze. Bez tego ani kroku naprzód. Uprzytomnienie sobie tej zasadniczej różnicy, dlatego jeszcze jest niezbędnym, że słowa: „marksizm” i „nacjonalizm”, z ową jednobrzmiącą, nieszczęśliwą końcówką „izm”, stwarzają zewnętrzny pozór jakiejś jednopłaszczyznowości pojęciowej. Chętnie już nieraz wyrzeklibyśmy się słowa „nacjonalizm”, aby położyć kres fałszywym asocjacji „izmowym”, gdyby przekora i duma nie kazała go nam podtrzymywać: właśnie dlatego, że jest takie zohydżane, właśnie dlatego, że zrobiono zeń straszaka, właśnie dlatego, że na nie napadają. Uciekanie od słowa, choćby niefortunnego, jest tym samym, czym opuszczanie sztandaru. Nie opuszcza się sztandaru w walce. Można go zamienić i oddać do muzeum w czasie pokoju.

Pozostajemy więc przy słowie nacjonalizm, tylko proszę zapomnieć o jego końcówce „izm”. Znaczy ono bardziej po prostu; miłość ojczyzny. To nie jest słowo określające pewną doktrynę, to słowo stwierdzające pewien stan rzeczy oczywisty i odwieczny: związek człowieka z ojczyzną.

Stąd pierwsze sprostowanie artykułu Leona Kruczkowskiego „Bezdroża nacjonalizmu i socjalistyczne ideały”<sup>10</sup>. Nacjonalizm nie jest „ideologią mieszczańską, przez mieszczaństwo w XIX-tym wieku wprowadzoną do historii”. Nacjonalizm jest starszy zarówno od XIX-go wieku, jak i od mieszczaństwa. Zaś triumfy nacjonalizmu w XIX-tym wieku są właśnie najklasycywniejszym dowodem zwycięstwa rzeczywistości narodowej nad doktryną klasową.

Jakiż bowiem fakt historyczny stał się zaczątkiem owego „wprowadzenia nacjonalizmu do historii XIX-go wieku”? Wielka Rewolucja Francuska, ta rewolucja, która według doktryny klasowej miała być rewolucją uświadomionego klasowo mieszczaństwa przeciw tyranii i klas wyższych – a w perspektywie historycznej rysuje się nam dziś jako rewolucja narodowego mieszczaństwa przeciw skosmopolityzowanym warstwom górnym.

Podobne zjawisko historyczne tylko na jeszcze większą skalę, dzieje się w naszych oczach w Rosji sowieckiej. I tu rewolucja rozegrała się pod hasłami klasowymi; wywołana

---

<sup>10</sup> „Prosto z Mostu” nr 59.

została przez marksistów; miała się stać sprawdzianem słuszności doktryny. A z każdym dniem staje się bardziej widoczne, że rzeczywistość narodowa przewyższa doktrynerstwo inspiratorów rewolucji. Odsunięto od władzy skosmopolitowane warstwy górne i kosmopolityzujące się mieszczaństwo – do głosu politycznego doszły masy ludowe i ich żywe instynkty narodowe, Z klasowej rewolucji – wyłania się powoli narodowy kształt nowej Rosji. Wyklęte słowo „ojczyzna” powróciło do słownika, tylko z innym przymiotnikiem: zamiast ojczyzny rosyjskiej – ojczyzna sowiecka.

Ta zmiana przymiotnika wskazuje na jeszcze ciekawszy proces: proces wykorzystania przez instynktowny, podświadomy nacjonalizm rosyjski, nawet międzynarodowych haseł doktryny komunistycznej do swych celów. Czego nie udało się dokonać caratowi przez rusyfikację różnoplemiennych elementów, zamieszkujących imperium rosyjskie, dokonywa czerwona Rosja przez sowietyzację imperium. Oczywiście, powstający naród sowiecki nie będzie tym samym, czym był naród rosyjski. Rosyjskość będzie w nim tylko wysoki procent, w każdym razie ponad 50. Na resztę nowego amalgamatu narodowego złożą się pierwiastki etniczne innych narodowości, zamieszkujących ZSRR. Ale zawsze w historii tak jest, że powiększenie narodu dokonuje się za cenę wyrzeczeń na rzecz innych.

Specyficzna struktura etniczna i gospodarcza imperium rosyjskiego sprawiła, że marksizm, wyhodowany na zachodzie Europy, wbrew wszelkim teoretycznym przypuszczeniom jego twórców, właśnie w Rosji znalazł grunt podatny. Nie w Stanach Zjednoczonych, które w myśl doktryny komunistycznej, powinny były przede wszystkim przejść przez rewolucję, bo tam najdalej już jest posunięta koncentracja kapitału i znów – teoretycznie – najprostsze przejęcie produkcji przez proletariat, ale właśnie w uwstecznionej w rozwoju przemysłowym Rosji. Gdy dziś obserwuje się, jak w Sowietach gigantyczna rozbudowa przemysłu odbywa się pod hasłem dogonienia i przegonienia Zachodu, nie sposób oprzeć się myśli, że i tu działał podświadomy instynkt narodu: tylko poprzez rewolucję, tylko poprzez entuzjazm wyzwolonych mas, tylko poprzez uwznioślenie wewnętrznej pracy, zewnętrznie niewolniczej – mogła Rosja porwać się na ten wyścig niezbędny dla potęgi narodu, konieczny dla odrobienia swojego zacofania.

Tak się złożyło, że sucha, bezduszna doktryna marksizmu, w danym momencie historycznym, stała się pożytecznym narzędziem dla narodu rosyjskiego, W praktycznym zastosowaniu na terenie ZSRR nabrała zupełnie innego sensu wewnętrznego, często wręcz sprzecznego z założeniem twórców.

Międzynarodowość komunizmu, będąca niewątpliwie owocem wkładu myślowego w kształtowanie się doktryny komunistycznej Żydów, których forma życia w diasporze musi czynić zwolennikami internacjonalizmu – ta międzynarodowość, w skomplikowanej strukturze narodowościowej Rosji, nosi już dziś charakter na wskroś



narodowy; jest kitem spajającym nową, sowiecką ojczyznę<sup>11</sup>. Wewnątrz ZSRR działa całkująco; na zewnątrz stwarza możliwości dalszych podbojów (chwilowo zresztą nieprzewidywanych, bo dość jest do roboty w granicach dzisiejszych), nadto zaś oddaje Sowiecom olbrzymie usługi w dyplomatycznej grze światowej: w każdym kraju są oddani Kominternowi miejscowi ludzie, gotowi poprzeć manifestacją potrzeby sowieckiej polityki zagranicznej.

Kolektywizm umożliwia Sowiecom doganianie gospodarcze innych państw przez zmasowanie sił roboczych i zużytkowanie ich takie, jakie w ustroju kapitalistycznym musiałyby uchodzić za najstraszliwszy wyzysk. Jest to oczywiście praca dla sowieckiej ojczyzny, a nie dla kapitalisty; to jej nadaje inny charakter. Ale właśnie dlatego umożliwia Rosji doganianie Fordów i Kruppów.

Ba, nawet komunistyczna walka z religią na ziemiach rosyjskich, wobec rozkładu cerkwi prawosławnej, sekciarstwa i rasputinowskich tradycji, ma sens mocno odmienny, niż miałyby go gdzieindziej. Kto wie, czy nie będzie ona oczyszczeniem gruntu tylko; gdzie się już zjawiało słowo: ojczyzna, tam i słowo: Bóg, nie jest takie dalekie.

Zgoda więc z Leonem Kruczkowskim, że istotna treść socjalizmu (czy komunizmu) jest narodowa— ale w Sowietach. Ponieważ zaś właśnie tam stała się narodowa, ściślej: narodowo – sowiecka (jeszcze jedno zwycięstwo rzeczywistości narodowej nad doktryną klasową), to u nas równocześnie musi być antynarodowa, bo w konsekwencjach – antypolska. Socjalizm, a raczej komunizm, jest już dziś narodowym wyznaniem wiary – sowieckim. Kto przechodzi na to wyznanie – tym samym wynaradawia się. Stolicą jego ojczyzny staje się czerwona Moskwa. Po rozłamie na stalinowców i trockistów, nie ma już chyba takich naiwnych, którzy by wierzyli, że Kreml Stalina dąży serio do rewolucji światowej i do utopijnego Związku Socjalistycznych Republik Rad Świata. Kreml dąży do zbudowania potężnego państwa sowieckiego w Rosji, państwa, które można by oczywiście jeszcze zaokrąglić przez połknięcie najbliższych sąsiadów, jeśli dałoby się ich zaagitować dla sowieckiej narodowej wiary.

Otóż, po prostu, nie chcemy być połknięci. Walka na świecie rozgrywa się między narodami. Narody korzystają z doktryn, nawet cudzych i przetwarzają je dla swoich celów (tak jak obecnie w Sowietach, tak jak w średniowieczu świat germański posługiwał się doktryną rzymską: cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego), doktryny są potężną bronią w walce narodów, ale tylko bronią. Treścią będzie zawsze naród, jego potrzeby i interesy.

---

<sup>11</sup> Dodajmy: zaczyna nawet nabierać cech antysemitycznych. Birobidżan – to coś w rodzaju ławek żydowskich na polskich uniwersytetach, a rozprawienie się z trockistami (międzynarodowcami i zwolennikami rewolucji światowej) miało podłoże znacznie bardziej skomplikowane, niżby się to na pozór wydawało.

Na tym gruncie może się jednak dogadamy z Leonem Kruczkowskim, bo dla niego (co wśród ludzi jego obozu rzadkie), pojęcie interesów narodu nie jest pustym dźwiękiem. To właśnie określenie: „interesy narodu”, znalazłem w artykule Kruczkowskiego, co świadczy, że pod pokostem doktrynerstwa socjalistycznego, jest w rozumieniu Kruczkowskiego zdrowy sens... tak, tak!... nacjonalistyczny. Owo zdanie z artykułu Kruczkowskiego brzmi:

*„Nacjonałiści nie reprezentują interesów narodu; wręcz przeciwnie, wyrażają interes swej klasy, sprzeczny z interesami mas ludowych”.*

Typowy spór o słowa. Jasne jest bowiem, że przez nacjonalistów, rozumie tu po prostu Kruczkowski skosmopolityzowane, antynarodowe, tzw. warstwy wyższe, uzurpujące sobie prawo przemawiania w imieniu narodu, a reprezentujące w istocie egoizm kapitalistyczny. Przeciw takim „nacjonalistom” gotowym pójść ramię w ramię z socjalistą Kruczkowskim. W obronie interesów narodu.

Ale jak z jednej strony trzeba bronić narodu przed wyzyskiem kapitalistycznej międzynarodówki, tzw. klas posiadających, tak z drugiej nie można go oddawać na połknięcie sowieckiemu narodowi proletariackiemu. Trzeba mieć ambicję przebudowy ustroju narodowego własnymi siłami. Nie dlatego, że jak powiada Korolec: „każdy naród uważa swój typ życia, ideę przez siebie reprezentowaną, za najlepszą”. To rzeczywiście jest megalomania narodowa. Natomiast każdy naród, wart miana narodu, powinien mieć ambicję stworzenia typu życia, który byłby najlepszy.

Typ życia, stworzony przez Sowiety, ma z pewnością wiele cech lepszych od istniejącego w tej chwili w Polsce, a bynajmniej nie pociągającego bałaganu liberalno-kapitalistyczno-faszystowskiego. Osiągnięcia sowieckie w dziedzinie sprawiedliwości rozdziału dochodu społecznego są tak oczywiście słuszne, że każdy Miedziński dziś o tym w Sejmie gada. Te zdobycze socjalizmu muszą się upowszechnić na całym świecie. Natomiast całokształt typu życia, tworzony przez Sowietów budzić może i powinien poważne wątpliwości. Mści się na nim grzech pierwotny: grzech doktryny materialistycznej.

Oto jesteśmy przy drugim zasadniczym punkcie sporu: materializm – idealizm. Nie twierdzę i nie twierdziłem, aby socjalizm nie miał swoich ideałów. Oczywiście, ma je, czego wcale nie trzeba dowodzić przykładami heroizmu w walkach socjalistycznych, jak to czyni Kruczkowski. Wielcy konkwistadorzy i mali kolonialni agenci kapitalizmu też mają piękne karty heroizmu w swych dziejach, z czego nie wynika jeszcze wcale, aby byli ideowcami; wystarczy, że byli sportowcami.

Ideały socjalistyczne są niewątpliwe i znane, ale są to ideały materialistyczne, właśnie owe postulatory sprawiedliwości w zakresie rozdziału dochodu społecznego. Sprawa ważna, bardzo ważna. Konieczna do zrealizowania, ale wyczerpująca w najlepszym razie połowę potrzeb ludzkich. Ta druga połowa: potrzeby duchowe,

traktowana jest w ustroju socjalistycznym jako nadbudowa. Luksus. Dodatek w godzinach wolnych po pracy. Cały system produkcji kapitalistycznej, obliczonej na wyzucie człowieka z człowieczeństwa i upodobnienie go maszynie, aby nie myślał i nie buntował się – przejmuje socjalizm bez zmian, zapewniając tylko robotnikowi sprawiedliwy udział w zysku. Nie może mieć prężności rozwojowej ustrój oparty na takim systemie. Po najbardziej oszałamiających doraźnych sukcesach doganiania i przegania „zgniłego Zachodu” – musi się załamać. Załamać w psychice niewolników produkcji.

Otóż budowanie ustroju, który by pogodził postulaty zaspokajania potrzeb materialnych i duchowych, który by zerwał z podziałem na konieczność i przyjemność, który by przez przywrócenie pracy ludzkiej charakteru twórczego zapewnił każdemu największe dobro: rozkosz tworzenia – to zadanie, które stawiamy polskiej ambicji narodowej. Zadanie o wiele bardziej porywające niż potulne przyłączenie się do sowieckiej gigantycznej maszyny ustrojowej.

## SPRAWA NAJWAŻNIEJSZA W WAŻNYCH

Sprawa jest najważniejsza z ważnych. Decydująca i rozstrzygająca o przyszłości Rzeczypospolitej. Stanowiąca o tym, jakim mamy być narodem: małym, ściśniętym w etnograficznych granicach narodowości polskiej, wiecznie broniącym się a nigdy zdobywczym, przyłączającym co najwyżej na pobrzeżach państwa skrawki terytorialne z tzw. mniejszościami narodowymi w ilościach „możliwych do strawienia” – czy też: narodem wielkim, o horyzontach rozległych, sięgających od morza do morza, z ambicjami tworzenia całości coraz większej, a bez lęku ludzi małych, że się w tym zatracić można? Zdobywa się zawsze za cenę jakichś wyrzeczeń.

Przyszedł czas, że trzeba wybierać pomiędzy minimalizmem i maksymalizmem narodowym.

Minimalizm narodowy – to ideologia z czasów rozbiorów. Łatwo zrozumieć jej rodowód i zrozumiawszy, nie ciskać na nią gromów. Tak musiało być. Dla Polski niewolnej ideałem było państwo własne, małe państwo, jak najbardziej polskie i przez to jak najbardziej własne. Z takim więc ideałem państwa jak najbardziej własnego przystąpiło pokolenie rozbiorowe do odbudowania Rzeczypospolitej w burzliwych dniach wielkiej jesieni 1918-go roku.

Dwa były programy polityczne realizowania tego ideału. Jeden – to program Polski etnograficznej, zwróconej frontem ku zachodowi, bo tam jeszcze jest do odebrania to, co Polsce wydarte i wynarodowione, co odnarodowić można; Polski etnograficznej, ale gwoli mocarstwowości zaokrąglonej na łatwiejszym wschodzie terytoriami z obcą przewagą narodowościową; broń Boże jednak nie większymi, niż się da (teoretycznie) spolszczyć. Drugi program – to program Polski etnograficznej, zwróconej frontem ku wschodowi, aby tam na wielką skalę powetować, co się przez tysiąc lat traciło na zachodzie. I w tym planie połączanie rozległych terytoriów wschodnich dawnej Rzeczypospolitej uznano za nierealne. Stąd podstępna koncepcja utworzenia na wschodzie państw buforowych, związanych z nami federacją, które za podarunek wywalczonej polskimi bagnetami niepodległości, miały się stać wasalami okrojonej na ich rzecz Polski.

Nie udało się jednak zrobienie tego podarunku. Polskie bagnety, skrwawione walką o utwierdzenie niepodległości własnego państwa, nie miały dość siły, aby wywalczyć jeszcze niepodległości cudze. Tam zaś, gdzie się to na niewielką skalę powiodło, gdzie zrobiliśmy maleńki prezencik Łotwie, rezultaty nie dały długo czekać na siebie. W oddanych Łotwie gminach rozpoczął wkrótce rząd łotewski najostrzejszą politykę eksterminacyjną wobec Polaków. Pouczający przykład, co by się było działo w sfederowanych, „wasalnych” państwach ukraińskim i białoruskim, gdyby powstały. A że działałoby się nie inaczej, nie byłoby w tym nie było dziwnego ani niezrozumiałego. I śmieszni byłiby ci Polacy, którzy by ronili łzy zawiedzionych nadziei na wdzięczność.

Ukraińcy i Białorusini, ze swego, narodowego punktu widzenia, mieliby zupełną słuszość. Ba, nawet przy pierwszej okazji, po wzmocnieniu swoich państw musieliby się rzucić zbrojnie na Polskę, aby się wyzwolić z wasalnej zależności. To byłby ich elementarny obowiązek narodowy.

Koncepcja federacyjna, wraz z jej łatwymi do przewidzenia konsekwencjami, na szczęście, nie została zrealizowana. Na placu ostał się, niestety, z braku innego, program państwa polskiego z 30-tu, broń Boże więcej, procentami mniejszości narodowych, program urzeczywistniony w bezmińskim traktacie ryskim. Ten program załamuje się w naszych oczach, jak i tamten byłby się załamał po urzeczywistnieniu. Bo oba są minimalistyczne.

---

30 procent objętych granicami państwa polskiego mniejszości narodowych, to była dawka, którą według obliczeń speców, naród polski, starszy cywilizacyjnie i przeto atrakcyjny dla młodszych, miał dość łatwo w ciągu kilkudziesięciu lat zasymilować. Tylko, że w tym rachunku polonizacyjnym popełniono parę kardynalnych błędów. Błędów anachronistycznego myślenia.

Było w tym przede wszystkim sporo szlacheckiej fantazji i sugestii łatwości, z jaką dawna Polska szlachecka wcielała w organizm Rzeczypospolitej obconarodowościowe obszary. Bo Polska przedrozbiorowa była państwem narodu szlacheckiego. Spolonizować – to znaczyło po prostu pokryć kresowe ziemie siecią polskich dworów. Operacja nietrudna zarówno ilościowo, jak i pod względem odporu na asymilację ułatwiona. Ruski bojarzyn i kniaź, czy litewski panek, więcej czuł wspólnego z polskim szlachcicem, który go dopuścił do swojego herbu, niż z chłopem ukraińskim lub litewskim. W warstwach odgórnich odporność narodowa zawsze jest mniejsza, kosmopolityzm większy, a ciężenie ku słońcu królewskiego dworu (w tym wypadku w Krakowie, a potem w Warszawie) naturalne. Pomieszały się więc prędko rody polskie, litewskie i ruskie, spokrewniły, wykrzyżowały, spolonizowały. Była Polska szlachecka od morza do morza. Po wierzchu, a od spodu chłop. Na ziemiach ukraińskich – ukraiński, w etnograficznej Polsce – polski. Chłop pańszczyźniany, który się nie liczy, który orze, bronuje, sieje pszenicę i żyto, zwozi zbiory do pańskich gumien, któremu za Dniestrem stawia się cerkiewki i mówi się do niego po rusku, a któremu bardziej na zachód wznosi się kościółki i zwraca się do niego po polsku. To przecież nie ma żadnego znaczenia. Chłop – to tylko chłop. Sienkiewiczowski cham. Polska nosiła się dumnie w delii, połyskiwała szabelką, chrzęściła husarskimi skrzydłami.

Krwawo zapłaciła Polska szlachecka za tę krótkowzroczność narodową, za to łudzenie się, że cieniutka warstwa górna może się identyfikować z narodem. Zapłaciła toporom i kosom Gonty, Żeleźniaka, Szeli, zapłaciła abstynencją chłopską w 31-ym i 63-cim roku. Za późno włożył naczelnik Kościuszko sukmanę i zbyt teatralnie, na pokaz. Za

późno zrozumiano, że naród – to cały naród, i kiedy po wielkiej wojnie odradzała się nowa Polska – na północy oderwała się od niej chłopska Litwa, a na południu budzić się zaczęła chłopska Ukraina. Nie sposób już było wskrzesić Rzeczypospolitej w dawnych, przedrozbiorowych granicach.

Ale jeszcze w tej nowej, okrojonej, wytyczano na mapie kresowych obszarów punkciki z biało-czerwonymi chorągiewkami, punkciki zasięgu polskich dworów, które już coraz mniejsze miały znaczenie i które tracą je z dnia na dzień. Więc też równocześnie sięgnięto do wzorów, wykształconych w XIX-tym wieku u zachodniego sąsiada, w Niemczech, gdzie zaborcza polityka liczyć się już nauczyła z nowoczesną strukturą narodu. Nie wystarczy obsadzić dobra ziemskie junkrami; trzeba kolonizować ziemię chłopską.

Kolonizacja! To było (i jest) wyznanie wiary minimalistów narodowych typu niefederacyjnego; weźmiemy w granicę Polski tyle, ile zdołamy skolonizować i w ten sposób spolszczyć. W XIX-tym wieku ta bismarckowska zasada dała Niemcom wcale dobre rezultaty. Tylko że w XX-tym wieku a zwłaszcza po przełomie wielkiej wojny, już ta metoda nie chwyta. Masy zbyt się unarodowiły, a uczucia narodowe zbyt pogłębiły, aby mechanicznymi środkami można z nimi podjąć walkę. Osadnicy na ziemi obconarodowej – to przede wszystkim widoczny znak krzywdy, to argument propagandy narodowej wśród krzywdzonych, to w konsekwencji – wóz Drzymały, który sam jeden zrównoważył setki niemieckich kolonistów, osadzonych przez komisję kolonizacyjną w Poznańskim.

Nie na wiele się dziś zdaje arytmetyka kolonizacyjna, obliczanie, że w tym a w tym powiecie już jest osadników więcej, niż miejscowych, że za rok będzie ich jeszcze więcej itd.

Spraw narodowych nie rozstrzyga liczba. To są sprawy natury duchowej, niewymierne statystycznie. Gdzie choć jeden Polak został, tam jeszcze Polska. Jeśli sami w to wierzymy, dlaczego nie chcemy rozumieć, że to samo może być wiarą innego narodu? I wiarą, przy dzisiejszym, nowoczesnym napięciu uczuć narodowych, skuteczną.

Toteż konsekwentny program eksterminacyjny w XX-tym wieku, to tylko ten, który zastosował Kemal Pasza wobec Ormian w Turcji. Wyrznął ich do nogi. Ale wątpię, czy znalazłby się choć jeden Polak, który by ten turecki system mógł nawet na jedną sekundę dopuścić w rozumowaniu.

---

Współczesna ideologia narodowa tak, jak ją rozumiemy i czujemy w Europie, różni się bardzo znacznie od tego, co chrzci się mianem szowinizmu, czy też bardziej nowocześnie: megalomanii narodowej. Być narodowcem, to nie znaczy wcale uważać, że mój naród jest na świecie czymś jedynie najlepszym i najwyższym; jest natomiast czymś najdroższym i najbliższym sercu. Stąd płynie szacunek narodowca dla idei narodowej

każdego innego narodu, co różnym głupkom daje okazję do kiepskich dowcipów na temat międzynarodówki nacjonalistycznej. Ta „międzynarodówka” jest po prostu poczuciem wspólności pewnego typu psychicznego. Będąc narodowcem muszę szanować uczucia narodowe innych. Wiem, że rodzą się one z tych samych pobudek moralnych. Nie ma takiego dobrego prawa, które by mi pozwoliło zwracać się przeciwko temu u obcych, co dla mnie samego jest najdroższe,

Ale nacjonalizmy różnych narodów, zwłaszcza sąsiedzkich, zwłaszcza zachodzących na siebie na pogranicznych terenach mieszanych, mają sprzeczne interesy. I tu się zawiązują konflikty tragiczne. Nacjonalizmy dawnego szowinistycznego typu rozwiązywały je wilczym prawem silniejszego. Kto kogo zmoże, kto kogo wytrzebi, kto potrafi więcej cudzej ziemi skolonizować. Nacjonalizm nowoczesny rozwiązuje te konflikty inaczej: tworzeniem idei całkującej. Taką ideę znalazły np. Niemcy hitlerowskie w nordyzmie, w wizji przyszłego imperium nordyckiego, ogarniającego narody, które da się dla koncepcji nordyzmu pozyskać i stopić w jeden wielki nowy naród.

Narody, które nie stworzą swojej wielkiej idei, wybiegającej poza programik zachowania narodowości i zaokrąglania swych terytoriów kresową kolonizacją, coraz mniej realną w dzisiejszych warunkach, bo nieznajującą żadnego oparcia moralno-narodowego, staną się łupem propagandy ideowej tworzących wielkie koncepcje dziejowe sąsiadów.

Polska, z natury swego położenia geograficznego, znajduje się w położeniu szczególnie groźnym, ujęta w kleszcze imperializmu nordyckiego Niemiec i imperializmu komunistycznego Rosji sowieckiej. Ale nie tylko Polska. W jeszcze groźniejszym położeniu znajduje się Ukraina. Ta, której nie ma na mapie, ale która przecież jest jako naród ukraiński.

Właśnie my, narodowcy polscy, mamy obowiązek mówić o tym najgłośniej, że jest naród ukraiński, że żyje i walczy o swe prawo do życia. Bo my to najlepiej zrozumiemy i odczuć możemy. My, którzy dumni jesteśmy z odporności narodu polskiego w stukilkudziesięciu latach rozbiorów, my, którzy dożyliśmy powrotu na łono ojczyzny polskiego Śląska przez sześćset lat niewoli niestrawionego przez Niemców – my właśnie musimy rozumieć i cenić heroiczny wysiłek narodu ukraińskiego, od setek lat nieposiadającego własnej państwowości, rusyfikowanego, polonizowanego, rozdartego, a trwającego.

I niech nam nie zasłania tej oczywistej prawdy tragiczny splot narodowościowy w Małopolsce Wschodniej. Ten splot jeszcze się kiedyś szczęśliwym i dla nich i dla nas okaże. I nie starajmy się sprowadzić zagadnienia do terminu: „sprawa ruska w Galicji”. To termin ukuty w czasach naszego minimalizmu narodowego, to pojęcie zaczerpnięte z dziewiętnastowiecznego nacjonalizmu, który uległ sugestii skuteczności bismarckowskich metod kolonizacyjnych w rozwiązywaniu problemu terytoriów

mieszanych. I skończmy z bajeczką, stworzoną: w najlepszej wierze przez naszych ojców, że Rusini, to jakiś podszczep polski, posługujący się gwara, pozostającą w takim stosunku do polszczyzny, jak np. gwara kaszubska. To nieprawda. To naród z własnym językiem. I dajmy wreszcie spokój tej małostkowości w nazywaniu ich Rusinami, kiedy oni sami chcą się nazywać Ukraińcami. To ich rzecz, choć mnie osobiście może się zdawać, że Ruś Jarosławów i Świętopełków ma znacznie wspanialsze i starsze tradycje historyczne, niż Ukraina Chmielnickich i Nalewajków.

Przede wszystkim jednak zacznijmy myśleć o sprawie ukraińskiej nowocześnie. To wielka sprawa. I dla nich i dla nas. A zrozumieć ją można tylko wówczas, gdy się wprzód pomyśli o niej kategoriami nowoczesnego Polaka, a potem skontroluje siebie samego rozumowaniem: co bym myślał i czuł, gdybym był Ukraińcem, gdybym był nacjonalistą ukraińskim.

---

Ale jeszcze przedtem wspomnienie z dzieciństwa:

Był u nas kiedyś w domu (jak chyba w każdym domu inteligenckim przed wojną – taka była moda) pękaty album z pocztówkami. Ojciec, który dużo podróżował, przywoził zawsze ze sobą z kraju i z zagranicy kolekcję widokówek, którą przy asyście całej naszej dziecinnej gromadki, wkładał do owego albumu. Z tego albumu uczyłem się pierwszych wiadomości z geografii, jak z drugiego albumu, zawierającego pocztówki z reprodukcjami dzieł malarzy polskich i obcych, uczyłem się początków historii sztuki.

Raz jakoś wypadła ojcu droga przez Mysłowice. Przywiózł stamtąd pocztówkę, której każdy szczegół pamiętam po dziś dzień. Pośrodku widoczek, zdjęcie fotograficzne zbiegu ówczesnych granic Rosji, Niemiec i Austrii. *Drei-Kaiser-Ecke*. U góry trzy owale z podobiznami cesarskimi: bokobrody Franza Josepha, iglaste, wyszwarcowane wąsiki Wilusia, melancholijna bródka Mikołaja. U dołu pocztówki fantazyjnie wygięta wstążka białego, niezadrukowanego miejsca na wypisywanie pozdrowień.

Wpisał tam ojciec przy nas dwuwiersz własnej kompozycji:

*Gdy Polak dobędzie szabli,  
To wszystkich trzech wezmą diabli.*

Z tym napisem pocztówka powędrowała do albumu. Ileśmy się strachu najedli jako dzieci, żeby jakaś rewizja austriacka nie wykryła tego oczywistego dowodu zdrady głównej! Ale tym bardziej wierszyk na pocztówce wrył się nam w pamięć. Pamiętałem go w chwili wybuchu wojny światowej, stał mi przed oczyma pod jej koniec, gdy ziścił się w cudowny sposób. Potem już nie powracałem do niego myślą. Stare wspomnienie zgasło.

Aż tego roku, podczas krótkich wakacji w Zaleszczykach, widokówka z *Drei-Kaiser-Ecke* znowu, rykoszetem myślowym, przypomniała się pamięci.



Sprawiły to, pobliskie Zaleszczyk, Okopy św. Trójcy. Zawsze dotąd kojarzyły mi się raczej z Nieboską Komedią. Tam na miejscu uświadomiłem sobie ich nową, dzisiejszą treść: zbieg granic Polski, Sowieców i Rumunii.

A poza trzema kordonami ten sam chłop ukraiński, w takim samym wyszywonym kożuszku, w takich samych łapciach, tym samym mówiący językiem, tak samo po ukraińsku czujący. Rozdarta na trzy części Ukraina. Nie, na cztery. Bo jeszcze niedaleko, za sinem pasmem Karpat, czechosłowacka Ruś zakarpacka. Poćwiartowany naród.

-----

– Stop! Ani słowa więcej. Domyślamy się już, do czego to zmierza! Wstyd! To podstępne wygrywanie uczuciowych wspomnień z czasów naszych rozbiorów – dla propagandy niepodległej i zjednoczonej Ukrainy. Więc może mamy oddać Małopolskę Wschodnią i Lwów?

Oddać? Lwów? Nigdy! Nic nie mamy do oddania, jeśli zaś w szczególności o Lwów chodzi, ja byłbym ostatnim, który by taką myśl dopuścił. Urodziłem się we Lwowie. To mój kraj rodzinny. Najściślejsza ojczyzna. Nie, Lwowa nie możemy oddać za nic. Ale właśnie dlatego, że Lwów tak mi jest drogi, rozumiem, że i oni wyrzec się go nie mogą. Bo sędzę, że stojąc na Wysokim Zamku i chłonąc z bijącym sercem cudowny, najdroższy widok spowitego w mgły miasta, mamy te same uczucia, ja i ten narodowiec ukraiński, w którego wczuć się trzeba, aby problem ukraiński przemyśleć do dna. Innych może tylko wypatrujemy punktów w kamiennej sylwecie miasta: ja smukłej wieży katedry, on masywu cerkwi św. Jura. Tej cerkwi, która będąc *sacrosanctum* zachodniej Ukrainy, jest zarazem jednym z najpiękniejszych zabytków polskiego baroku. Tak się tu wszystko dziwnie plecie i zazębia o siebie na tej ziemi,

Nie sposób nie zrozumieć z kwestii ukraińskiej, jeśli sobie nie uświadomić, że narodowcy ukraińscy tak samo czują i myślą po ukraińsku, jak my czujemy i myślimy po polsku. I choćby nawet można było mieć pewne wątpliwości, czy świadomość narodowa jest w narodzie ukraińskim dostatecznie szeroko rozbudzona, choćby nacjonalistów ukraińskich uważać za garstkę, to napięcie ofiarności, poświęcenia i bohaterstwa tej garstki jest tak oczywiście wielkie, że wystarczy nie tylko do wskrzeszenia, ale nawet do stworzenia narodu. To jest pewnik w XX-ym wieku, wieku budzenia się narodów, wieku powstawania państw narodowych, wieku, którego symbolem jest Irlandia.

Na początku tego wieku, na terytorium mieszanym, w naszej Małopolsce Wschodniej i w ich Zachodniej Ukrainie, musiało dojść do konfliktu między nacjonalizmem polskim i nacjonalizmem ukraińskim. Myśmy musieli bronić Lwowa – i oni musieli próbować stworzyć pod koniec zawieruchy wojny światowej niezależne państwo ukraińskie. To był naturalny bieg rzeczy. I oni się nie mogą tej myśli wyrzec, a my im nie możemy nic darować.

---

Możemy tylko – pójść razem.

Wiem, że brzmi to w tej chwili fantastycznie i utopijnie. Za dużo się po obu stronach nagromadziło nienawiści, wzajemnych słusznych pretensji, bólów i zadr. Czy mogą iść razem – wrogowie? Zwłaszcza, gdy my, Rzeczpospolita, jesteśmy silni i mocni, trzymamy ich w garści – a oni, mają poczucie narodu wziętego w niewolę? Jakie elementy w społeczeństwie ukraińskim mogą w tych warunkach współdziałać z Rzeczpospolitą?

## **SKONFISKOWANE**

### **NAKAZ KONFISKATY**

„Do p. St. Piaseckiego, Nowy Świat 24.

Upatrując w treści art. pt. „Sprawa najważniejsza z ważnych od słów „To też wszelkie” do słów „szacunek dla siebie” i od słów „Rzecz prosta” do słów „urzeczywistnić mogą” zamieszczonego w N-rze 50 czasopisma „Prosto z mostu” cechy przestępstwa w art. (brak określenia artykułu – przyp. red.) KK przewidzianego na zasadzie art. 27 dekretu z dnia 7.11.1919 r w przedmiocie tymczasowych przepisów prasowych (Dz. Pr. 1919 r Nr, 14 poz. 186) obłożyłem aresztem w dniu 5.XII.1935 r. wymienione czasopismo, przy równoczesnym skierowaniu sprawy do Pana Prokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie.

*Za Komisarza Rządu  
(podpis nieczytelny)”*

(Konfiskacie uległy dwa ustępy artykułu. Były to ustępy tak istotne dla rozumowania, że autor musiał się zdecydować na usunięcie całej końcowej części artykułu, która w tych warunkach mogłaby nabrać innego sensu).

Konfiskata została następnie zatwierdzona na posiedzeniu niejawnym Sądu Okręgowego (Wydział VIII) w Warszawie.

## ODZEW

Jakaż to radość dla publicysty, gdy poruszywszy sprawę z rzędu tzw. niebezpiecznych, a więc pomijanych i przemilczanych, sprawę, którą uważa w danym momencie za "najważniejszą z ważnych", stwierdzić może z korespondencji redakcyjnej i rozmów, że się nie mylił w odczuciach, że nie jest bynajmniej w swoich poglądach sam, że nie jest odosobniony, że wielu, wielu myśli tak samo, że słowa artykułu są sformułowaniem zapatrywań nie tylko osobistych.

Zwłaszcza te słowa, które były próbą określenia obecnego stanu sprawy ukraińskiej. Dalsze, które próbowały naszkicować drogi wyjścia, jedyną realną możliwość rozwikłania tragicznego splotu, uległy konfiskacie. Żalą się na to czytelnicy w listach.

Pisze pan B.P z Warszawy:

*„Sprawa najważniejsza z ważnych. Całkowita zgoda do ostatnich kresek pod białą plamą. Tak myślałem już wtedy, gdy walczyłem z Ukraińcami w Galicji Wschodniej, a więc przed 16 laty. Nie wierzę jednak w kompromisowe wyjście. Zawsze będzie źle. „Możemy tylko pójść razem”. Ciekaw jestem, jak to sobie p. Redaktor wyobraża. Ale właśnie tu biała plama...”*

Lub w liście p. K.L.K. z Zakopanego:

*„Może by się dało wyjaśnić, jakie było zakończenie skonfiskowanego artykułu, a przynajmniej najważniejsze, o co chodziło! Bo sprawa jest istotnie najważniejsza z najważniejszych, a Pański paradoksalnie szczery tok rozumowania stawia przed czytelnikiem wielkie i groźne zagadnienie. I oto w miejscu, gdzie Pan, zdaje się, chce dać pozytywną odpowiedź na te kwestie, które Pan niebezpiecznie analizuje – w tym miejscu biała plama! Nie wiem, co tam było, ale myślę, że właśnie bez zakończenia, którego brakło, artykuł jest groźny! Z chęcią, znając intencje zakończenia artykułu, wziąłbym udział w dyskusji, która się niewątpliwie wywiąże, choćby dlatego chętnie, że i sam jestem Lwowiak”*

A oto drugi list od Lwowiaka, list wprost ze Lwowa. List od młodego narodowca, korporanta i działacza akademickiego. List najradośniejszy, że właśnie tam, we Lwowie, gdzie najtrudniej myśleć o sprawie ukraińskiej obiektywnie, bo jest się nieustannie na froncie walki, takie panują poglądy:

*„Naród ukraiński przestał już być narodem nietwórczym, wytworzył już swą inteligencję, rozległe tereny działalności kulturalnej. My (nie wszyscy) wciąż widzimy w nich „hajdamaków”, dlatego, że ich twórczość duchowa, ze*

względu na odmienność alfabetu i traktowanie zagadnień wyłącznie prawie wewnętrznym (co w początkach jest zawsze) ogółowi społeczeństwa polskiego jest nieznaną i stanowi ich własny świat zamknięty”.

„Przypuszczam w jaki sposób Pan Redaktor doszedł do swych wniosków – był Pan obecny na procesie (tu następują słowa, które ze względów cenzuralnych, lepiej opuścić). Panie Redaktorze! Rozumiem Pański ogólny tok myśli i z nim się zgadzam, ale zarazem zauważam, że był Pan zbyt mało ostrożny. W dyskusji publicznej przeciwnicy nie wchodzi w zupełności tok myślenia całości, ale chwytają się jednego zdania, jednego słówka i obracają nie bezlitośnie, starając się zburzyć całość”.

Te ostatnie słowa odnoszą się do artykułu polemicznego, jaki w dogorywającym „Kurierze Lwowskim” (już obecnie nieistniejącym) zdążył jeszcze zamieścić p. Klaudiusz Hrabyc, były narodowiec, a obecnie państwowo-narodowiec z uszanowanego ZMN<sup>12</sup>-u. Artykuł p. Hrabycy, w którym po krakauersku stale jestem traktowany *per* „warszawski znawca problemu”, składa się właśnie z takich powyrywanych zdań z mojego artykułu, spreparowanych odpowiednio dla tym łatwiejszego pogrążenia przeciwnika i z tępego powtarzania starych endeckich argumentów antyukraińskich i filoruskich, zrozumiałych historycznie, nieuchronnych w pewnym, już minionym etapie rozwoju polskiego ruchu narodowego, ale dziś, w nowych warunkach, zupełnie przestarzałych.

P. Hrabyc i jego towarzysze, to właśnie ludzie, którzy nie umieli podążyć za rozwojem nowoczesnej idei narodowej. Zatrzymali się w miejscu. Dlatego znaleźli się w obozie sanacyjnym, który ich dogonił. Bo przecież dzisiejsza sanacja to wypisz wymaluj przedwojenna endecja, z jej wszechstanowością (książęta i wielkie ziemiany pospołu z patriotycznymi, pokazowymi kmiotkami), z jej wiarą w niezmiennie prawidła ekonomii kapitalistycznej, z liberalnym poglądem na kwestię żydowską i bismarckowskim zamaskami w kierunku mniejszości słowiańskich – tylko bez żelaznej i twórczej konsekwencji w sprawach polskiej polityki zagranicznej.

Nowoczesny ruch narodowy w Polsce, który tej dawnej endecji ma dużo do zawdzięczenia w sformułowaniu pewnych prawd trwałych („Jestem Polakiem” – Dmowskiego), przetworzył się wewnętrznie, idzie ciągle naprzód. Staje się ruchem narodowym w pełnym tego słowa znaczeniu. Na miejsce dawnej wszechstanowości stawia zasadę bezstanowego narodu. Narodu, którego gospodarzami nie są możni, utytułowani, posiadający *safes’y* w bankach, poklepujący po plecach kmiotków, wyzyskujący najemną pracę robotniczą – ale narodu równych praw i równych

---

<sup>12</sup> Związek Młodych Narodowców – odłamowy rozłam Ruchu Młodych Obozu Wielkiej Polski, dążący do sojuszu pomiędzy narodowcami a władzami sanacyjnymi. [redakcja]

obowiązków dla wszystkich. Nacjonalizm starego typu wierzył w przyrodzone prawa zasłużonych dla narodu, potrafił uzasadniać uprzywilejowane stanowisko tzw. warstw górnych ich ofiarą krwi i mienia w dziejowej drodze narodu. Nacjonalizm nowoczesny uważa zasługi narodowe za prosty obowiązek, którego się nie dyskontuje w brzęczącej monecie, ani w przywilejach. Przeciwnie: te przywileje i te wybujałości majątkowe wynaradawiają warstwy posiadające, kosmopolityzują je, czynią dla narodu szkodliwymi. Tak powstała warstwa, która przez długie lata utożsamiała się z narodem, paplając jednocześnie po francusku i snobując się, że stolica Polski jest... małym Paryżem.

Tak powstała warstwa, pomiatająca na co dzień „chamem” polskim i zdumiona tragicznie, gdy ten cham nie kwapił się do walk niepodległościowych, a natomiast w momentach decydujących słuchał Szeli. Tak powstała warstwa, która nawet wówczas, gdy krwawiła się o Polskę, stwarzała niepewność: ile w tym porywie bohaterstwa było miłości ojczyzny, a ile walki o przywileje stanowe, wyrosłe kiedyś z zasługi, a potem oparte na krzywdzie nierówności społecznej i gospodarczej.

Nowoczesna idea narodowa, idea narodu bezstanowego, nie może się ograniczyć do papierowego zagwarantowania w konstytucji równości obywateli i równie papierowego zniesienia tytułów czy przywilejów. Nowoczesna idea narodowa – to przebudowa ustroju społeczno-gospodarczego, to obalenie faktycznej stanowości, mieszczącej się w swobodnym żerowaniu na żywym ciele narodu – kapitalizmu. W bezstanowym państwie narodowym znajdzie się miejsce dla zdrowych, niezgangrenowanych, niewynarodowionych psychicznie jednostek z tzw. warstw górnych, dla jednostek, które będą się umiały przystosować do nowych warunków równości społeczno-gospodarczej, ale oczywiście państwo to oprze się przede wszystkim o masę narodu, o tych, którzy stanowią dziś miąższ narodu: o chłopą, o robotnika, o drobnomieszczanina, o inteligenta.

Taka jest nowa treść społeczna nacjonalizmu.

Ale przez lata ostatnie przetworzył i przetwarza się nacjonalizm także w poglądach na kwestie narodowościowe. Gdy w latach przedwojennych każdy patriota cieszył się z asymilacji Żydów, gdy w Stronnictwie Demokratyczno-Narodowym nie brakło tzw. Polaków mojżeszowego wyznania – dziś młody nacjonalista polski raczej cieszy się z rozwoju nacjonalizmu żydowskiego, w tym jego młodym, zdrowym dążeniu do stworzenia własnego państwa narodowego w Palestynie<sup>13</sup>. Asymilacja bowiem, próba symbiozy dwóch tak różnych etnicznie i historycznie narodów, dała tylko rezultaty tragiczne. Tragiczne dla masy żydowskiej, która wnosząc w życie polskie obcy i nie do przyjęcia zasób pojęć, odczuć i cech narodowych, wykształconych przez długie lata

---

<sup>13</sup> Polecam i nie przestanę polecać przy każdej okazji broszury młodego nacjonalisty żydowskiego Manesa Fromera.

historii na podłożu etniczno-religijnym, musiała wywołać w konsekwencji reakcję w postaci antysemityzmu. Tragiczne dla jednostek, które odszedłszy od żydostwa, dla swoich stały się renegatami, a przez społeczeństwo polskie nigdy nie zostały przyjęte całkowicie. Ten splot nieszczęsny rozwiązać mogą tylko nacjonalizmy: polski, przypominający nieustannie odgraniczaniem się, że sprawy żydowskiej nie da się załatwić łataniną, dojrzałostwem, frazesami humanitarnymi; i żydowski, czerpiący stąd argumenty do walki z swoimi skosmopolityzowanymi bankierami, którym nie pilno do dobrowolnej emigracji narodowej i z tymi elementami w żydostwie, które zdrowej, heroicznej koncepcji odbudowania narodowego państwa żydowskiego, przeciwstawiają wygodnisiowskie trwanie w pasożytniczym rozproszeniu. Nacjonalistyczne rozwiązanie sprawy żydowskiej jest jedynym rozwiązaniem trwałym. Jest to operacja ciężka, wymagająca nie byle jakiego wysiłku, możliwa do wykonania tylko w skali międzynarodowej i obliczona na długie lata stanowczości i żelaznej konsekwencji. Wiem, że zrodzi ona dla współczesnych niejedyn tragizm – ale usunie go raz na zawsze dla przyszłych pokoleń, a to najważniejsze.

Jak zmieniły się, pogłębiły i rozszerzyły w perspektywach historycznych poglądy ludzi narodowo myślących na sprawę żydowską, tak również uległy i ulegają zmianie prymitywne, nieodpowiadające nowoczesnemu charakterowi nacjonalizmu zapatrywania na sprawę tzw. mniejszości słowiańskich w Polsce. Tu programowi asymilacji nic teoretycznie nie stoi na przeszkodzie; pokrewieństwo etniczne czyniłoby ją zarówno pożądaną, jak i możliwą. Ale... Otóż to właśnie „ale” praktyczne, którego nie przeskoczy się starymi nałogami myślowymi. Patriota dawnego pokroju wyobrażał to sobie bardzo prosto i nieskomplikowanie: oczywiście, nie ma żadnego narodu ukraińskiego, tylko są ciemne kmiotki ruskie, których starsi bracia Polacy poprowadzą jak zechcą na swoje podwórko. Perswazją i kijem na przemian, po szlachecku. Tymczasem z owych „ciemnych kmiotków” wyłoniła się inteligencja ukraińska o świadomości narodowej tak mocnej i napięciu ideowym tak silnym, że już tu mohortowskie metody wydają się być wątpliwe w skuteczności. Nawet, gdyby się je chciało stosować.

Rzecz prosta, nowoczesny, polski ruch narodowy, ten, który grubo wyprzedził p. Klaudiusza Hrabycę, ani myśli ich stosować, nie ze względu na nieskuteczność. Z powodów zasadniczych. „Ciemne kmiotki” bowiem (pewna ziemianka z Wołynia starała się mnie przekonać w liście, pełnym maskowanego oburzenia dla „dziecinnych” też artykułu „Sprawa najważniejsza z ważnych”, że prosty chłop kresowy nie jest właściwie myślącym człowiekiem, i że moje „podejście” do spraw narodowościowych jest zanadto... ludzkie!), owóż te właśnie „ciemne kmiotki” są dla prawdziwego nacjonalisty, jak się to już powiedziało wyżej – mięszem narodu. I choćby to mogło wyglądać na paradoks, o przetrwaniu narodu ukraińskiego i polskiego zdecydowały nie tylko boje i akcje polityczne warstw górnych, ale przede wszystkim chłopska nieuległość i osiadłość. Myśmy odbudowali państwo polskie, ukraińska inteligencja walczy o państwo ukraińskie, ale naród utrzymali chłopci, nieraz na przekór skosmopolityzowanym warstwom górnym.

Utrzymali swoją siłą trwania, która przemienia się już z siły potencjalnej w kinetyczną, w siłę najbardziej narodowej walki z międzynarodówką nadbudowy kapitalistycznego wyzysku, wszystko jedno czy prywatnego, czy państwowego.

W tej walce rolnik, robotnik i inteligent ukraiński spotka się z rolnikiem, robotnikiem i inteligentem polskim. W tej walce naród ukraiński spotkać się musi z narodem polskim. W tej walce mogą pójść razem. Z tej walki, przy wzajemnym, wrodzonym każdemu prawdziwemu nacjonalizmowi szacunku dla cudzych uczuć narodowych, wynieść mogą poczucie wspólności idei, idei tak mocnej, że starczy za kit unii narodowej. Zwłaszcza, gdy bytowi obu narodów zagrażają od zachodu imperializm nordycki Niemiec, sposobiący się do podboju ideowego Polski, a od wschodu imperializm sowiecki Rosji, który pod płaszczykiem potrzeb kolektywizacji rozbija naród ukraiński przez masowe wysiedlanie Ukraińców w głąb Imperium.

Dla p. Klaudiusza Hrabyka to zapewne „banialuki goniących za sensacją publicystów”. P. Hrabyk nie wierzy bowiem w twórcze działanie idei narodowej, która ma moc całkującą. P. Hrabyk wierzy w państwo, w rząd silnej ręki, w kolonizację, w trzymanie za mordę i w cenzurę. W nieomyślność cenzury p. Hrabyk wierzy tak dalece, że przychwała gorąco cenzorowi konfiskatę części artykułu. „Sprawa najważniejsza z ważnych”, choć nie wie, oczywiście, co zostało skonfiskowane:

*„W jaki sposób Obrońcy Lwowa i OUN. – uważająca się za dalszy ciąg armii ukraińskiej z 1918/19 r. – mają wspólnie pracować, o tym się już nie dowiadujemy, gdyż nawet cenzor warszawski wkroczył – na całe szczęście – w całą ekwilibrystkę p. Piaseckiego i ściął mu w całości jego ostateczne wnioski.”*

Ścięcie przez cenzurę ostatecznych wniosków nie przeszkadza jednak p. Hrabykowi w polemice z... białą plamą, w podsuwaniu mi usłużnym „konceptji współpracy z Konowalcem”, choć właśnie na miejscu białej plamy było kilka słów, poświęconych zarówno pułkownikowi Konowalcowi, jak i naszym pułkownikom.

Jest mi zresztą dość obojętne, co wyroił sobie z białej plamy p. Hrabyk. Chciałbym raczej odpowiedzieć czytelnikom, którzy się o to dopytują. Rozumowanie stanowiło tak integralną całość, że ocenzurowanie pewnych przesłanek, których oczywiście tu powtórzyć nie mogę, bo nawet przestylizowane, nie ostałyby się zapewne, uniemożliwia mi przedstawienie toku myślenia artykułu.

Więc tylko dla uniknięcia nieporozumień, które mogłyby wynikać z przypadkowego zbiegu okoliczności, że w kilka dni po moim artykule ukazał się w „Wiadomościach Literackich” artykuł p. Mieczysława Pruszyrskiego pt. „Zagadnienie ukraińskie w Polsce”, artykuł, wysuwający beznadziejnie starą koncepcję ugody (z powołaniem się na przykłady ...Wielopolskiego i Gołuchowskiego):

Nie, to oczywiście nie była koncepcja ugody. To była koncepcja wspólnej walki o wspólne cele.

---

Lwowskie „Diło”, organ ukraińskich „starych endeków”, zamieściło artykuł z obszernymi cytatami z mojego artykułu (niezrozumianego zresztą, bo zestawionego z artykułem Pruszyńskiego) i zatytułowało go: „Niespodzianka”. Dla nich to rzeczywiście mogła być niespodzianka. Ale czy była również dla młodych narodowców ukraińskich, których razem z polskimi narodowcami zsyła się do Berezy?



## W MŁODYCH OCZACH

Przeciwstawienie: starzy – młodzi, nie jest w dzisiejszej Polsce banalnym przeciwstawieniem wieku. Jest czymś znacznie więcej: jest przeciwstawieniem dwu różnych sposobów myślenia. W pewnej mierze jest nim zresztą w całej powojennej Europie, ale w Polsce bardziej niż gdziekolwiek indziej.

Im większa przestrzeń czasu dzieli nas od Wielkiej Wojny, im wyraziściej rysują się jej skutki, jeszcze przez niektórych nazywane enigmatycznie „kryzysem” – tym jaśniejsze się staje, że rok 1914 będzie kiedyś datą ostrzej rozgraniczającą dwie epoki, niż uznany za datę graniczną między średniowieczem a tzw. czasami nowożytnymi rok 1492. Odkrycie przez Kolumba Ameryki otworzyło przed Europą handlarskie perspektywy, rozbiło statykę średniowiecznego świata, podważyło strukturę feudalizmu, położyło podwaliny pod rozwój kapitalizmu. Wielka Wojna 1914–1918 zadała gospodarce liberalno-kapitalistycznej cios śmiertelny. Ukazała nicość jej wszystkich kanonów. Dyktatura gospodarcza państwa w okrążonych ze wszystkich stron przez koalicję Niemczech była nie mniejszym przewrotem w pojęciach niż późniejsza rewolucja komunistyczna w Rosji. Na razie tylko – zaraz po wojnie – nie zdawano sobie z tego sprawy, próbowano wracać do przedwojennych systemów gospodarki wolno-kapitalistycznej, dopóki tzw. kryzys nie zaczął na dobre przewracać domków z kart.

Dla młodego pokolenia, nie pamiętającego czasów przedwojennych, nie zasugerowanego ich rzekomą świetnością, nie ogłupionego zasadami ekonomii klasycznej – sprawa jest od razu jasna i oczywista. To pokolenie nie ma obciążeń. Ono widzi jak na dłoni cały absurd moralny, społeczny, polityczny i gospodarczy przeżytego ustroju kapitalistycznego. Kwestie sporne sprowadzać się mogą co najwyżej do wyczuwania tendencji rozwojowych nowego ustroju. Czy ma to być po prostu – jak w Rosji sowieckiej – upaństwowienie stworzonego przez wielki kapitalizm w epoce maszyny parowej ustroju koncentracji przemysłowej i rozbudowanie go dla wzmocnienia potęgi narodu – czy też, przewrót ma iść głębiej, mieć na celu nie tylko dobro zbiorowości, ale i dobro jednostki, zaspokojenie jej potrzeb materialnych na równi z duchowymi przez wykorzystanie dekoncentracyjnych możliwości, jakie niesie ze sobą rozwój nowoczesnej techniki. Jest to jednak oczywiście sprawa przyszłości, sprawa, której nie wolno prymityzować naiwnymi hasłami powrotu do średniowiecza, ani kopiowaniem genialnych koncepcji św. Tomasza z Akwinu, twórczych dla średniowiecza, niezastosowalnych w dzisiejszych warunkach życia.

Odwoływanie się do średniowiecza, przeskakiwanie myślowe przez całą epokę ku czasom przedkapitalistycznym tym niemniej jest jeszcze jednym dowodem, że żyjemy w czasach przełomu: ferment antykapitalistyczny wspólny jest całemu młodemu pokoleniu Europy. Tu przebiega granica, granica Wielkiej Wojny, pomiędzy starymi a młodymi.

W Polsce granica ta ma znaczenie podwójne: jest granicą nie tylko ogólnoeuropejską, ale specyficznie polską. Rozdziela pokolenie myślące kategoriami walki o niepodległość i utrzymania niepodległości – od pokolenia wzrosłego w wolnej już Polsce i myślącego kategoriami zadań dziejowych narodu polskiego. Każda nowa epoka dziejów żłobi się odmiennym stylem w życiu narodów, które mają ambicję jej przewodzić. Około tych narodów-przodowników, tworzących własny styl duchowy, grupują się narody bierne, zdane na uleganie cudzemu imperializmowi ideowemu, zadawalające się fikcją niepodległości formalnej.

Dla pokolenia polskiego, zrodzonego w niewoli, wytyczenie granic państwa polskiego na mapie Europy było i musiało być celem jedynym i wyłącznym, w którym zamykało się wszystko. Dla młodego pokolenia państwo polskie jest już faktem, oczywistością. Zagadnieniem istotnym jest dla tych młodych: czy w budowaniu nowej epoki potrafimy być narodem – przodownikiem, czy też spadniemy do roli narodu biernego, narodku?

Te dwie różne postawy psychiczne starych i młodych sprawiają, że te same pojęcia mają w ustach jednych i drugich zupełnie inny sens. Dla pokolenia niepodległościowców: Wielka Polska – to znaczy: Polska w granicach, jakie jej przycięto w traktacie wersalskim, zaokrąglonych o Mazury, Warmię, Śląsk, kwestia, czy w traktacie ryskim nie powinniśmy byli iść dalej na wschód. Dla pokolenia młodych: Wielka Polska – to Polska jako centrum nowego typu cywilizacji duchowej, promieniująca na całą środkową i południowo-wschodnią Europę, zdolna się przeciwstawić zarówno imperializmowi sowieckiemu Rosji, jak nordyckiemu Niemiec, uniezależniona od imperializmu masońsko-liberalnego Francji i jej systemu szatkowania Europy wschodniej.

Dla urzeczywistnienia takiej koncepcji nie wystarczy zachłystywanie się terminem „państwo” (czytaj: niepodległość spełniona), pokrzykiwanie o silnej władzy, cieszenie się mocarstwowością (bankietową), pacyfikowanie i na zmianę ugodowe głaskanie Ukraińców, wyłgiwanie się od męskiego postawienia kwestii żydowskiej, groszowe inwestycje dla zatrudnienia bezrobotnych, zręczne manipulowanie walutą. Młode pokolenie polskie, w zakresie spraw politycznych, społecznych i gospodarczych, ma do przemyślenia właściwie wszystko. Dorobek myśli politycznej pokolenia niepodległościowego, który tak wielkie oddał usługi w wywalczeniu państwowości polskiej – dla budowy Wielkiej Polski jest niemal bezużyteczny, bo minimalistyczny, ciasny, przestarzały, dojrzący. Pozostanie z niego jedna wartość bezcenna: sformułowanie prawdy uczuciowej nacjonalizmu, które sprawiło, że młode pokolenie polskie idzie w swej olbrzymiej większości po drodze narodowej, że Targowica komunistyczna, pracująca dla imperializmu sowieckiego, tak jest w nim nieliczna.

Ruch narodowy młodego pokolenia w Polsce przez czas dłuższy był raczej ruchem uczuciowym niż myślowym. Różnica z pokoleniem poprzednim była zrazu bardziej różnicą temperamentu niż uświadomienia sobie nowych zadań. W miarę jednak, jak

zasilały go nowe roczniki, coraz mniej wnoszące obciążeń, coraz odporniejsze wobec autorytetu zasług niepodległościowych przygniatającego zdolność samodzielnego myślenia, zaczął się emancypować, znajdować swój własny wyraz, rozwijać twórczość umysłową.

Jednym z najciekawszych i najżywszych umysłów tego pokolenia jest Wojciech Wasiutyński. Jego felietony „Z duchem czasu”, zawsze frapujące świeżością i oryginalnością koncepcji i ujęcia, są chyba najpoczytniejszą rubryką tygodnika „Prosto z Mostu”. A przecież, jest to zaledwie margines właściwej działalności publicystycznej Wasiutyńskiego, wypowiadającej się najpełniej w rozprawkach politycznych. W zeszłym roku wyszła z druku jego praca pt. „Naród rządzący”, formułująca zasady nowoczesnego, ustroju narodowego. Myliłby się gruntownie, kto by przypuszczał, że znajdzie tam projekt konstytucji państwa narodowego. Zagadnienie zostało, potraktowane o wiele głębiej: dla Wasiutyńskiego bowiem konstytucja jest tylko fragmentem ustroju. Ustrój obejmuje zarówno życie gospodarcze, społeczne, jak i polityczne, które musi stanowić jedność, jest całością norm prawnych, obowiązujących w danym państwie. Jakże charakterystyczne sformułowanie dla zilustrowania totalności myślenia młodego pokolenia narodowego, koniecznej przy podejmowaniu przebudowy gruntownej!

Świeżo ukazała się z druku nowa broszura Wasiutyńskiego pt. „Zagadnienie ziem wschodnich”. 30 stron druku – ale treść z pewnością bogatsza od niejednego grubego dzieła na ten sam temat. I pierwsze bodaj konsekwentne rozważenie sprawy z punktu widzenia państwa polskiego, a więc spojrzenie na zagadnienie młodymi oczyma, oczyma Polaka wolnego od konieczności brania w rachubę wygrywania problemu przez zaborców.

Po dziś dzień pokutują w społeczeństwie poglądy w tej materii, żywcem przeniesione z lat niewoli, choć jest rzeczą oczywistą, że po odzyskaniu niezawisłości państwowej przez Polskę, sprawa ukraińska czy białoruska, stała się czymś zupełnie innym, niż była w czasach zaborczych.

Wasiutyński rozgranicza bardzo mocno sprawę białoruską od ukraińskiej i słusznie przeciwstawia się sprowadzaniu ich do wspólnego mianownika kresów. Jako granicę między kwestią białoruską na ziemiach polskich a kwestią ukraińską wytycza Prypeć. I wskazuje na konieczność stosowania dwu różnych metod w ich rozwiązaniu. „Nie pięć metod różnych, jak to jest dziś, nie jedna metoda, jak tego próbowano w okresie federacyjnych planów, lecz dwa różne z natury rzeczy zastosowania tej samej myśli polskiej”.

Wprzód zagadnienie białoruskie. Wasiutyński, obszernie to uzasadniając, stoi na stanowisku, że białorusini nie są narodem. Ich język jest typowym przejściowym narzeczem pomiędzy językiem polskim a rosyjskim. Świadomości narodowej tu nie ma. Od wieków między Polską a Rosją toczy się walka o kulturalne wchłonięcie tych ziem. Pod

względem społecznym białorusini posiadają właściwie jedną warstwę – chłopską. Na Białorusi sowieckiej zaczyna już powstawać inteligencja, ale jest to inteligencja komunistyczna, a więc poczuwająca się do przynależności do narodu sowieckiego. W ten sposób, mimo autonomii kulturalnej, bardzo zręcznie pomyślanej i na dłuższą metę unifikującej Białoruś z Rosją, postępuje tam proces rusyfikacji ziem białoruskich, który przenika również na ziemie białoruskie w granicach Polski przez jaczejki Kompartii Zachodniej Białorusi.

Konsekwentnej roboty polskiej na ziemiach tych nie ma zupełnie. Toteż Wasiutyński stawia program przeciwstawienia roboty asymilacyjnej, prowadzonej przez Sowietów konieczności roboty asymilacyjnej polskiej. Program zaczyna się od sformułowania błędów dotychczasowych, jakich należy unikać. Więc przede wszystkim unikać jakiegokolwiek walki z językiem białoruskim, przy czym nauka szkolna winna się zaczynać w języku miejscowym z pisownią polską i alfabetem łacińskim i w wyższych klasach przechodzić do nauki języka literackiego polskiego.

Drugi błąd, to byłaby chęć oparcia się na dworach, jako na głównych ośrodkach polskości; przeciwnie, należy wielką własność rozparcelować pomiędzy chłopów miejscowych, aby ich w ten sposób pozyskać dla państwa polskiego.

Trzeci błąd to wszelkie pomysły kolonizacji, które rozpętały by walką narodowościową z przybyszami, gdy chodzi przecież o zasymilowanie całej masy białoruskiej.

Wreszcie błędem czwartym byłoby według Wasiutyńskiego, niestworzenie wspólnego frontu antyżydowskiego i w konsekwencji antykomunistycznego, jako początku reform.

Oczywiście reformy te byłyby do pomyślenia tylko w państwie zorganizowanego narodu (którego zasady wyłożył Wasiutyński w „Narodzie rządzącym”) i tylko przez wciągnięcie białorusinów do współodpowiedzialności w organizacji politycznej narodu, tak jak dziś Sowietci wciągają ich do organizacji politycznej narodu sowieckiego, Kompartii.

Pozostaje jeszcze na Białorusi zagadnienie religijne, ważne ze względu na możliwość tarć między katolicką Polską a prawosławną masą białoruską. Tu wysuwa Wasiutyński koncepcję unii, twierdząc: „Jeżeli sprawę kościoła grecko-katolickiego przegraliśmy jako naród, to jest nasza przede wszystkim wina. Leży ona nie w tym, żeśmy unię doprowadzili do skutku, lecz w tym, że szlachta prowadziła szkodliwą politykę klasową”.

Trudno nie zgodzić się z tymi wszystkimi tezami. Są one – dla młodych oczu – oczywiste. Bardziej już komplikuje się sprawa z zagadnieniem ukraińskim. Ale jest też ono nierównie bardziej skomplikowane. Przede wszystkim dlatego, że Ukraińcy są narodem. To jest punkt wyjścia znów dla każdego młodego oczu oczywisty.

Na terytorium etnograficznym Ukrainy (obejmującym zupełnie inne ziemie, niż dawna Ruś, stąd też Wasiutyński porzuca jałową polemikę: Rusini czy Ukraińcy?) wytworzyła się sytuacja szczególnie paradoksalna. Najsilniejszy ruch narodowy ukraiński rozwija się nie w centralnych ziemiach ukraińskich, ale właśnie na terytorium mieszanym polsko-ukraińskim, w b. Galicji Wschodniej, na dawnym terytorium Ziemi Czerwieńskiej, która już od pierwszych Piastów przechodziła raz po raz we władanie polskie, a od czasów Kazimierza Wielkiego należy do Polski trwale. Wasiutyński podaje przytym cyfry niezmiernie interesujące a ilustrujące stały postęp polskości na tych ziemiach do lat ostatnich. Granica narodowościowa jest tu prawie jednoznaczna z wyznaniową. Polacy to rzymsko-katolicy, Ukraińcy to grecko-katolicy. Otóż procent rzymsko-katolików wynosił tu: w r. 1869 – 21.8, w r. 1890 – 22.7, w r. 1910 – 25.3, w r. 1931 – 30.6. Toteż każdy Polak zgodzi się ze zdaniem Wasiutyńskiego, że skoro na ziemiach tych żyje blisko trzy miliony Polaków „nie mogą one być nigdy przedmiotem handlu w żadnej najbardziej nawet olśniewającej kombinacji międzynarodowej”.

Ale też tu zarazem splata się węzeł tragiczny. Na Ukrainie sowieckiej, w centrum ukraińskim, nie ma jeszcze narodu, „choć jakby można paradoksalnie powiedzieć, istnieje tam narodowość ukraińska” – w Polsce, dzięki powstaniu silnej narodowej inteligencji ukraińskiej, Ukraińcy są narodem niewątpliwym. Węzeł ten rozcina Wasiutyński po męsku. Nie możemy budować Ukrainy, bo wymagałoby to rozbicia potężnego ZSRR, co byłoby możliwe tylko przy pomocy Niemiec i oddałoby nas w konsekwencji w zależność od nich. Sami moglibyśmy się porwać na odbudowę Ukrainy dopiero po stworzeniu z Polski ośrodka cywilizacji katolickiej, promieniującego na całą Europę środkową i po rozgromieniu Niemiec w oparciu o narody środkowoeuropejskie, a jest to program, który przerasta siły jednego pokolenia. Nie możemy więc Ukraińców bałamucić, tym bardziej zresztą, że jest bardzo wątpliwe, czy utworzenie Ukrainy byłoby dla nas korzystne, czy nie stalibyśmy się w tym sojuszu partnerem słabszym. Jeśli zatem nie istnieje możliwość sojuszu – to pozostaje tylko druga uczciwa konsekwencja: możliwość walki.

Taki jest tok rozumowania Wasiutyńskiego. Wynika z niego postulat walki zasadniczej z Ukraińcami na ziemiach południowo-wschodnich o prymat, postulat planowej akcji asymilacyjnej. Wszystkie te błędy naszej polityki wschodniej, które wyliczył Wasiutyński w stosunku do kwestii białoruskiej i tu mają zastosowanie. A więc nie kolonizować, nie walczyć z językiem ukraińskim tylko zlatynizować jego pisownię, parcelować ziemię pomiędzy ludność miejscową zarówno polską jak i ukraińską, wciągając Ukraińców w orbitę kultury polskiej.

Mam jednak wrażenie, że Wasiutyński słusznie rozgraniczając kwestię białoruską i ukraińską jako dwie odrębne kwestie, popełnił w końcu ten błąd, że środki rozwiązania podał te same. Różnica polega tylko na akcencie: ziemie białoruskie mamy po prostu asymilować, na ziemiach południowo-wschodnich walczyć z Ukraińcami o... asymilację. Oczywiście, jako podstawę przyjąć się musi w obu przypadkach, że tę akcją będzie

prować Polska młodych, prężna ideowo, atrakcyjna swym ideałem budowy nowego typu cywilizacyjnego, Polska szerokich horyzontów. Taka jak jest dzisiaj nic nie zdołała. Ale nawet ta przyszła, która poszłaby na ziemie południowo-wschodnie z programem Wasiutyńskiego, sama pozbawiłaby się pewnych możliwości, które istnieją z pewnością. Możliwości właśnie uniknięcia walki.

Ukraińcy są narodem. Chcieć ich zasymilować to znaczy wypowiedzieć im walkę. Ale właśnie dlatego, że są narodem, że reprezentują twórcze wartości cywilizacyjne, że te wartości – polskie i ukraińskie – zazębiają się o siebie na tej samej ziemi starych Grodów Czerwieńskich, istnieje możliwość asymilacji obopólnej, możliwość jedyne ludzkiego rozwiązania sprawy. Asymilacji obopólnej w sojuszu narodowym dla wspólnej walki o ideały przebudowy Europy środkowej. Sojuszu, którego odległym, ale koniecznym celem musi być włączenie do tego systemu cywilizacyjnego Ukrainy wschodniej, rusyfikowanej przez imperializm sowiecki. I zadania w ten sposób temu imperializmowi ciosu, który by go raz na zawsze odepchnął na północ. A przecież bez rozprawy zasadniczej z imperializmem zarówno sowieckim, jak nordyckim, niema w tym miejscu Europy miejsca na antypogańskie, chrześcijańskie ideały, reprezentowane przez Polskę.

# JESTEŚMY POLONAFILAMI

Cenię bardzo wysoko pióro Bolesława Koskowskiego z „Kuriera Warszawskiego”. Jest to niewątpliwie jeden z niewielu publicystów polskich, który swym niepowszednim talentem pisarskim, godnością postawy i poczuciem odpowiedzialności za słowo, wzbudza szacunek i podziw nawet u przeciwników, nawet u tych, którzy nie podzielają jego poglądów. Nie podzielam poglądów senatora Koskowskiego. Jego liberalno-narodowy punkt widzenia jest mi daleki i obcy. To XIX-ty wiek, a ja czuję się już człowiekiem XX-go wieku. Ale sposób, w jaki Bolesław Koskowski bronił dotąd swego stanowiska, uzasadniał je i wyciągał z niego wnioski – należał do publicystyki najwyższej klasy.

Tym przykrzej mi napisać dziś to, co napisać muszę pod świeżym wrażeniem artykułu pt. „Jesteśmy frankofilami”, podcyfrowanego literkami B.K., a zamieszczonego w niedzielnym numerze „Kuriera Warszawskiego” (15.111. 1936). I nie umiem znaleźć innego określenia: jest to artykuł oburzający. Tak oburzający, że choć na łamach „Prosto z Mostu” unikamy poruszania aktualnych tematów politycznych, raczej omawiając zagadnienia ideowe o dłuższym oddechu, tym razem nie sposób nie złamać zasady. Nie będzie to zresztą odstępstwo zbyt wielkie. Artykuł „Jesteśmy frankofilami”, acz dotyczy aktualnej sprawy zerwania przez Hitlera umów lokarneńskich i ma na celu nakreślenie dróg polityki polskiej wobec tego przesilenia międzynarodowego, jest objawem zewnętrznym zagadnienia o wiele głębszego i bardziej zasadniczego. Ni mniej i nie więcej: zagadnienia psychiki narodowej. Albo dokładniej: czy czujemy się psychicznie narodem, czy też narodkiem.

Nie trzeba właściwie streszczać biegu myśli artykułu, o którym mowa, wystarczy już sam tytuł: „Jesteśmy frankofilami”. Dwa słowa, a jakąż przeraźliwą treść zawierają w sobie, gdyby miały być prawdą! Według Bolesława Koskowskiego nie jesteśmy więc narodem Polaków, ale frankofilów! Nie ma polityki polskiej, tylko frankofilska! Dosłownie tak:

*„Fundament bowiem uczuć jest silniejszy, niż spekulacja bieżących interesów. W Polsce niepodobna sobie wyobrazić, właśnie dzięki tym uczuciom, polityki zagranicznej, sprzecznej z celami polityki francuskiej”.*

Równocześnie niemal z tym artykułem polskiego publicysty, przyszedł do Warszawy ostatni numer francuskiego tygodnika „Candide”, w którym z okazji głośnego wywiadu Piotra Cofa na temat sowieckiej aeronautyki, takie można przeczytać uwagi:

*„Polska nie pragnie prawdopodobnie, aby jej niebo zostało zamienione na pole bitwy... Nasza polityka zagraniczna była tak głupia od jakiegoś czasu, że nie możemy już nawet liczyć na neutralność Polski na wypadek konfliktu.*

*Przypuszczalnie byłaby ona przeciw nam. Ale tego nie ośmiela się mówić nawet p. Piotr Cot”.*

Polityka francuska, zdaniem Francuzów nawet, jest głupia, a nasza polityka zagraniczna ma ślepo iść za jej głupstwami! Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że polityka min. Becka jest mądra. Ale z tego wcale nie wynika, aby zwalczając głupstwa polskiej polityki, trzeba było radzić iść za głupstwami... francuskimi.

---

Politykę mądrą mogą prowadzić tylko te narody, które mają przed sobą jasno zarysowane cele, które wiedzą ku czemu zmierzają, które walczą o idee, o supremację swego typu cywilizacyjnego. Narody, które podbijają świat tworzeniem lepszych form życia, którym w międzynarodowych zmaganiach daje siłę poczucie wnoszenia nowych wartości. Takie narody prowadzą politykę serio. Nie straszne są dla nich chwilowe niepowodzenia dyplomatyczne. Polityka nie jest dla nich grą, ale walką o idee.

Narodom nawet wielkim, których nie stać na twórczość ideową, które zatrzymały się w miejscu i żyją tylko resztkami dawnej świetności twórczej, nie pozostaje nic innego, jak grać, wykręcając się sprytem, blefować papierową walutą pociągnięć dyplomatycznych tam, gdzie do rzeczywistego zwycięstwa trzeba pokrycia w złocie koncepcji dziejowej.

A pomiędzy narodami-twórcami i narodami-graczami płacze się dyplomacja narodków. Małych narodków, zastrachanych ekspansją ideową możnych sąsiadów, narodków na przemian butnych i pokornych, bądź to dających się używać za przyznawany im łaskawie. Frazes mocarstwowości do roli agentów cudzej polityki, bądź też bez szemrania idących w wasalną służbę za mętną obietnicę jakiejś tam pomocy wojskowej w razie czego, czy nawet pożyczki (z lichwiarskim procentem).

Naród, który nie chce być przedmiotem polityki, ale jej podmiotem, musi się zdobyć na wolę wielkości. Musi z narodku przetworzyć się w naród. Zakreślić sobie w świecie własne cele. I iść do nich nie oglądając się na nic: poprzez klęski i zwycięstwa.

---

Czym chcemy, żeby była Polska? Narodem czy narodkiem?

Myśl wzdraga się przed postawieniem takiego pytania; jest w nim coś obelżywego dla uczuć narodowych. Ale czyż można go nie postawić, gdy z jednej strony widzi się upajanie frazesem mocarstwowości, z drugiej zaś słyszy się hasło: „Jesteśmy frankofilami”?

Trzeba więc krzyknąć: do diabła z całą tą bankietową mocarstwowością, polowaniami w Białowieży, stałym miejscem w Lidze Narodów! Można wcale nie być w



Lidze i być na świecie czymś znacznym (*exemplum*: Niemcy), można mieć stałe miejsce w radzie i być niczym (*exemplum*: – ...).

Ale równocześnie trzeba krzyknąć jeszcze głośniej: nie jesteśmy frankofilami, ani żadnymi innymi „filami”! Owszem, prezes towarzystwa polsko-francuskiego i członkowie tej organizacji powinni być frankofilami, tak jak członkowie towarzystwa polsko-czeskiego powinni być czechofilami, a japońsko-polskiego japonofilami. W porządku. Takie „filstwa” są pożądane, pożyteczne, celowe. Ale jako naród, jako całość, możemy być tylko polonofilami.

---

Artykuł Bolesława Koskowskiego, poczęty niewątpliwie z najczystszej intencji, ba, z patriotycznej intencji, odśłania tragiczny niedobór psychiki polskiej, wyniesiony przez starsze pokolenie z lat niewoli. Jest w tern jeszcze pogłos „orientacji” wojennych. Czym pan jest? Germanofilem czy moskalofilem? Jakiej pan jesteś orientacji? Koalicyjnej, czy austro-niemieckiej? Och, tak, na tle ówczesnych warunków, na tle Polski niewolnej, zrozumieć to można, choć już i to coraz trudniej. Ale dziś? W siedemnaście lat po odzyskaniu niepodległości? Jak jeszcze słabe jest poczucie własnego państwa!

Czy można sobie wyobrazić Francuza, który by napisał artykuł pt. „Jesteśmy anglofilami”? Czy zagadnienie „filstwa” może istnieć dla obywatela ZSRR? Czy znalazłby się Niemiec, który mógłby się zastanawiać nad tym, jakiej orientacji ma się trzymać Trzecia Rzesza?

Oczywiście niemieckiej!

My zaś mamy być frankofilami. Dlaczego? Bo, jak wywodzi Koskowski, winniśmy Francji wdzięczność za pomoc w czasie wojny, podczas konferencji pokojowej i w dobie najazdu bolszewickiego. Owszem, winniśmy. I z pewnością nieraz będziemy ją mieli sposobność okazać. Ale wcale nie dlatego, że jak znów dalej wywodzi Koskowski – Polska „położona między Niemcami i Rosją, niejako skazana geopolitycznie na wybieranie między tym a tamym” stałaby się w końcu „satelitą mocarstwa silniejszego, sojusznika materialnie potężniejszego”. Bo zagadnienie przyszłości Polski nie polega na tym, aby dla uniknięcia roli satelity wobec Niemiec czy Rosji stać się satelitą dalekiej Francji. Zagadnienie Polski polega na tym, aby nie była ona niczym satelitą. Bo tylko wtedy Polska będzie Polską, a nie Frankofilią, Rusofilią, czy Germanofilią.

Nie jesteśmy krajem wyspiarskim i nie możemy, oczywiście, pozwolić sobie na *splendid isolation*<sup>14</sup>. Każdy naród, zorganizowany w państwo, musi dążyć do pewnej statyczności poprzez system traktatów, paktów i sojuszków. Sojusz z Francją jest dla Polski w dzisiejszym układzie politycznym czymś, co rozumie się samo przez się, tak jest oczywiście konieczne. Ale jeśli ten sojusz ma być dla narodu polskiego pożyteczny i celowy, musimy być w nim polonofilami, a nie frankofilami. Rolę frankofilów pozostawmy już... Francuzom.

---

<sup>14</sup> (ang.) „Wspaniała izolacja” – określenie na polityk zagraniczną Wielkiej Brytanii, prowadzoną od 1815 do początku XX wieku. Celem tej polityki było utrzymywanie równowagi sił w Europie przy możliwie jak najmniejszym zaangażowaniu bezpośrednim Wielkiej Brytanii na kontynencie oraz skupieniem się na ochronie interesów zamorskich i kolonialnych. [redakcja]

# MOCARSTWOWOŚĆ I CUDZOFILSTWO

W dyskusji publicystycznej, wywołanej artykułem Bolesława Koskowskiego pt. „Jesteśmy frankofilami” i odpowiedzią na łamach „Prosto z Mostu” pt. „Jesteśmy polonofilami”, wziął udział Stanisław Stroński, ogłaszając w „Kurierze Warszawskim” (z dn. 22.03.1936, nr 81, str. 7) wyznanie osobiste, zatytułowane: „Nie jestem polonofilem”...

Bardzo mi przykro, że artykuł ten nic a nic nie posuwa naprzód samego sporu; pisał go bowiem, niestety, nie frapujący żywotnością umysłową pisarz Stanisław Stroński, ale *tout court*<sup>15</sup> – profesor Stroński. Stąd też zamiast istotnych rozważań na temat bardzo subtelnego problemu psychologiczno-politycznego, dostępnego właśnie dla pisarza, który z natury swego zawodu i talentu posiadać musi wyczucie, że w słowach „frankofil” i „polonofil” kryje się pewna treść znaczeniowo o wiele szersza, niż pomieścić się może w ich filologicznej wykładni – dostaliśmy krótką prelekcję filologiczno-logiczno-historyczną, polemiczny rozbiór słów, zaprawiony sarkastycznymi uwagami, mającymi na celu splantowanie przeciwnika.

Niezmiernie to efektowna gra towarzyska, w której zresztą prof. Stroński jest mistrzem nie lada. Zaczyna się ją, jak wiadomo, od ustalenia znaczenia słów. Co to znaczy; szklanka? Co znaczy: stół? Co znaczy; co? Co znaczy; znaczy? Każdy niby wie, a nie ma pojęcia o wyobrażeniu. Rozumie, a nie umie określić. Wtedy przychodzi pora na profesorską definicję. Dowiadujemy się z niej rzeczy niespodziewanych. Takie to przecież było proste, a patrzcie, jakie jest skomplikowane! Następuje olśnienie tego samego typu, jakie przeżywał molierowski pan Jourdain, gdy mu profesor filozofii objaśnił różnicę między poezją a prozą. Tyle, tyle lat żył sobie pan Jourdain na świecie i nic nie wiedział o tym, że gada – prozą.

Przypadkiem (bom się greki, niestety, nie uczył) wiem, że *philos* znaczy przyjaciel. Toteż nie olśniła mnie definicja prof. Strońskiego, że frankofil znaczy: przyjaciel Francuzów. Myślę jednak, że można nie mieć pojęcia o istnieniu słówka *philos*, a doskonale rozumieć, co znaczy słowo frankofil. Rozumieć nawet lepiej. Bo definicja prof. Strońskiego od razu nasuwa wątpliwości. Czy frankofil naprawdę znaczy przyjaciel Francuzów, czy też może raczej – przyjaciel Francji? Wykładnia nr 1 bardzo jest wygodna do efektownego zbycia całego mojego artykułu „Jesteśmy polonofilami” grą słów:

— ...my wszyscy jesteśmy nie... przyjaciółmi Polaków, lecz, że tak powiem, prosto z mostu... Polakami.

Przyjęcie wykładni nr 2 utrudniłoby już zadanie polemiczne. Można być przecież np. krakowianinem i równocześnie członkiem Tow. Przyjaciół Krakowa, czy

---

<sup>15</sup> (fr.) „krótko mówiąc, po prostu” [redakcja]

nawet bez członkostwa po prostu przyjacielem Krakowa. I można, będąc krakowianinem, nie być przyjacielem stołecznego królewskiego miasta (*exemplum*: Nowaczyński i jego znana fobia). Zatem nawet dla znających greckie znaczenie słowa *philos*, powiedzenie: „jesteśmy polonofilami”, czyli według wykładni nr 2: „jesteśmy przyjaciółmi Polski”, nie jest znów tak bardzo pozbawione sensu (choćby dosłownego).

Natomiast wykładnia nr 1, tak poręczna do polemicznego odżegnania się od polonofilstwa, obawiam się, że przysporzy prof. Strońskiemu sporo kłopotów frankofilskich. Bardzo to bowiem nieprzyjemnie być zawodowym przyjacielem Francuzów (wszystkich). Przyjaźni dla Maurrasa, Mauriaca czy Weyganda można pogratulować prof. Strońskiemu; natomiast trudno byłoby mu zazdrościć przyjaźni dla pp. Oustrica, Boussaca, czy Landru...

Bardzo przepraszam czytelnika za tę przydługą dygresję filologiczną i wciągnięcie ich w grę towarzyską pod nazwą „co znaczy: znaczy?” Klnę się na rozkonspirowane niebacznie słowo *philos*, że nie moja w tym winia.

Sprawa ujęta w polemicznym przeciwstawieniu: „jesteśmy frankofilami” – „jesteśmy polonofilami”, nie należy oczywiście do pożytecznej skądinąd nauki filologii. Jest sprawą postawy psychicznej narodu. Jest zagadnieniem, że powtórzę słowa z poprzedniego artykułu, z zakresu woli wielkości narodu: Czym chcemy, żeby była Polska: narodem czy narodem?

Na to prof. Stroński:

– *Podobno odpowiedź na to pytanie padła nieodwołalnie... tysiąc lat temu, wobec czego... maleje doniosłość rzekomej różnicy między mniej górną i górnějšíą wolą dwu pokoleń dzisiejszych.*

Istotnie, odpowiedź padła tysiąc lat temu. Tylko że przez te tysiąc lat nie była zawsze z równą konsekwencją powtarzana. Brzmiała głośno, od Elby po Dniepr, za Bolesława Chrobrego; przycichała w Polsce dzielnic po Krzywoustym; wzbierała znów na sile za Łokietka i Kazimierza Wielkiego; utrwalała się potężnie za Jagiellonów od morza do morza; słabła pod rządami Wazów w cudzych interesach dynastycznych; nie zdołała się wydzwignąć w negatywnym, obronnym haśle Sobieskiego: Polska przedmurzem chrześcijaństwa; aż się zatraciła za Sasów.

Od XVIII-go wieku następuje w psychice polskiej rozszczepienie, charakterystyczne dla słabości narodowej, rozszczepienie, które w historii kultury naszej znane jest pod nazwą ścierania się sarmatyzmu z cudzoziemszczyzną. Z jednej strony buta szlachecka, pyszałkostwo sarmackie bez pokrycia, ciemne, tępe, lada ukłonem potężnych sąsiadów dające się zaspokoić – z drugiej oświecone czepianie się cudzych klamek, antyszambrowanie polityczne i kulturalne, frankofilizm według wykładni nr 1: każdy

obieżyświat i wykpigrosz francuski, który raczył się pofatygować nad Wisłę, staje się wyrocznią, jako że Polak jest przyjacielem Francuzów (wszystkich).

...pawiem narodów byłaś i papugą...

To nadymanie się sarmackiego pawia i scudzoziemszczałe skrzeczenie papugi nadwiślańskiej przetrwało lata niewoli. Trwa po dziś dzień. Brzmi echem w upajaniu się frazesem mocarstwowości papierowej; odzywa się w narzucaniu narodowi hasła: jesteśmy frankofilami.

Prof. Stroński bardzo się dziwuje, że hasło: jesteśmy frankofilami, można przetłumaczyć na: nie jesteśmy więc narodem Polaków, ale frankofilów. I powiada, że w wieku XIX-tym takiego sposobu rozumowania nie uczyli. Dorzucę chętnie i wiek XVIII. Wówczas także tego nie uczyli. Przeciwnie, zachwalali cudzofilstwo, W lożach i nie w lożach. Nam się jednak wydaje w wieku XX-tym (w tym wieku XX-tym, który wbrew ścisłości kalendarzowej zaczyna się po wojnie), że być frankofilami, być frankofilami jako naród, to znaczy nie być Polakami, tylko co najwyżej trzy czwarte-Polakami, i tacy już dziwni jesteśmy, że wolimy być Polakami całkowitymi. A więc Polakami i zarazem – polonofilami. I myślimy, że przy takiej postawie psychicznej, wspólne interesy Polski i Francji, wynikające z sojuszu, mogą być chronione skuteczniej i pewniej.

Ale sojusze i porozumienia międzynarodowe, należą tylko do bieżącej polityki. Nie można ich przeceniać ani tym bardziej pod ich kątem widzenia kształtować psychiki narodowej. Naród, godny imienia narodu, musi mieć swoją koncepcję dziejową, bardziej porywającą, niż... frankofilstwo. Nie znajdziemy jej z pewnością w wieku XIX-tym, wieku polskiej niewoli, ani w wieku XVIII-tym, wieku polskiego sarmatyzmu i polskiej cudzoziemszczyzny, ani nie wystarczy powiedzieć, że ta koncepcja powstała już tysiąc lat temu, więc nie ma o co się kłopotać. To będzie tylko frazes. Ciągłość została przerwana. Trzeba ją dopiero odbudować. Wątpię zresztą, czy odbudowa zachwyciłaby prof. Strońskiego. Bo, bądź co bądź, mieści się w tej blisko tysiącletniej koncepcji... wyprawa kijowska Bolesława Chrobrego,

Miecz Chrobrego, wyszczerbiony w kijowskiej bramie, jest symbolem dawności wielkiej koncepcji dziejowej narodu. Symbolem bardziej dla czasów co dopiero minionych aktualnym jest miecz Łokietka, zbierającego ziemie polskie z podziału dzielnicowego w jedno państwo polskie, W tym miejscu jesteśmy dziś – mała, scalona Polska z wielkimi ambicjami historycznymi, uzasadnionymi przeszłością, prężnością narodową i położeniem geograficznym na przeciągu wichrów ze wschodu i zachodu. Tu można być tylko albo czymś wielkim i potężnym, albo nie być. Tu można tylko drogą kazimierzowskiej gospodarności i dyplomacji iść ku wielkiej decyzji panów małopolskich sprzed pięciu wieków: zrealizowania koncepcji wojennej Chrobrego poprzez rozszerzenie narodu unią (nie federacją oczywiście!) dwóch narodów. Tu sprawa ukraińska przestaje być wewnętrzną, kłopotliwą sprawą z tzw. mniejszością narodową w

tzw. Małopolsce Wschodniej. Tu sprawa nabiera znaczenia dziejowego: dla nich i dla nas. I bez tego nie powtórzy się ani Grunwald, ani Psków. Może się natomiast powtórzyć rok 1794.

Daleko odeszliśmy od ciasnych perspektyw frankofilstwa i bankietowej mocarstwowości. Nie XVIII-ty i XIX-ty wiek – ale XIV-ty i XV-ty. Nie tradycje pyszałkowatego sarmatyzmu, ani patriotyczne łożowanie cudzołłów z Sejmu Czteroletniego – ale własna myśl polityczna Kazimierza Wielkiego i późniejsza męska decyzja panów małopolskich, co nie obawiali się zaprosić Jagiełłę na tron polski. Analogie historyczne nigdy oczywiście nie są całkowite. Ale zawsze są bardzo pouczające.

## CZYTAJĄC LIST PASTERSKI

Z stolicy arcybiskupiej gnieźnieńsko-poznańskiej, z tej stolicy, która była kolebką chrześcijaństwa w Polsce i ośrodkiem krystalizacyjnym państwa polskiego – padł przed Wielkanocą głos, który donośnym echem odbić się musi jak Polska długa i szeroka.

Ks. Kardynał Prymas Hlond ogłosił list pasterski o katolickich zasadach moralnych.

List ten zakresem poruszonych tematów, żarliwością słów bojowniczych i wielkością koncepcji wybiega daleko poza granice zwykłych, okolicznościowych enuncjacji biskupich. Jest zwiastunem tego wielkiego przełomu psychicznego, jaki dokonuje się w Kościele Katolickim w Polsce od dołów do szczytów. Katolicyzm polski przestaje być bierny – rusza do walki. Słowa Prymasa brzmią jak słowa wodza przed bitwą:

*„Wybija historyczna dla kultury świata godzina Rzeczypospolitej. Jako czynnik moralny ma znowu Polska wpłynąć przemagająco na kierunek duchowy i losy Europy... Silni musimy być mocą wewnętrzną, bo dzieje mamy wykuwać wielkie i zbawcze”.*

Tak, to czujemy wszyscy. Coraz powszechniejsza staje się w narodzie świadomość, że właśnie nam, tu, w tym miejscu Europy, pomiędzy imperializmem materialistycznego bolszewizmu, a imperializmem materialistycznego rasizmu niemieckiego, przypada w udziale wielka misja dziejowa. Że problem naszego istnienia nie wygląda: z Niemcami przeciw Rosji, ani: z Rosją przeciw Niemcom, bo obie te koncepcyjki szachowe oznaczają likwidację Polski jako narodu, jako odrębności duchowej i cywilizacyjnej. Że musimy stawić czoła i jednemu i drugiemu imperializmowi równocześnie, że musimy zbudować potęgę trzecią, która tamtym, materialistycznym światopoglądom przeciwstawi swój idealistyczny pogląd na świat, i skupić wokół niego wszystkich, którzy pomiędzy morzem Bałtyckim a Czarnym i Śródziemnym tak samo czują, jak my, a są słabi i rozbici.

W takim momencie dziejowym, kiedy naród ma albo do zdobycia wszystko, albo do stracenia wszystko, trzeba sobie dobrze, dokładnie, głęboko uświadomić, czym był i jest od lat tysiąca nasz pogląd na świat, czym jest owa moc wewnętrzna i więź psychiczna, wyznaczająca nam cele do spełnienia na świecie. Trzeba się czynnie ustosunkować do wiary i etyki katolickiej.

Stwierdzenia listu pasterskiego ks. Prymasa Hlonda, że „etyka katolicka nie jest etyką bierności, nie jest prawem słabości ani квиetyzmu, lecz etyką pracy, opanowania siebie i zmagania się ze sobą”, że „duch etyki katolickiej to duch twórczy, duch zdobywczy, duch postępu i rozwoju w nieskończoność boskiej doskonałości”, że „nie zaporą to w życiu, nie lęk przed decyzją, lecz inicjatywa do produktywnego działania” – powinny głęboko zapaść w serca i dusze.

---

Ruch katolicki w Polsce przechodzi przeobrażenia olbrzymie. Czasy, gdy dominowały u nas dwa typy; katolików paszportowych z jednej, a dewotek i dewotów z drugiej strony – należą już do przeszłości. W młodym pokoleniu katolicyzm uległ zdrowej, męskiej aktywizacji. Ale w strukturze społeczności katolickiej pozostały jeszcze pewne przejawy okresu minionego. Pozostała jeszcze atmosfera, którą świętny pisarz francuski Calvet nazywa duchem zakrystii. Dlatego tak rzadkie u nas są dyskusje na tematy katolickie. W zakrystii nie dyskutuje się, tylko się słucha.

Przełamanie tych pozostałości dawnego, niechlubnego okresu, jest jednym z najważniejszych zadań, jakie są do spełnienia na wewnątrz ruchu. Od tego w znacznej mierze zależą możliwości dynamiczne na zewnątrz. Szczęściem i tu coraz więcej dowodów, że ma się ku lepszemu. Ostatnio podnieść zwłaszcza należy wystąpienie młodego działacza i myśliciela katolickiego z Poznania, Kazimierza Sołtysika, który wytoczył batalię o pewien komunikat prasowy jednej z agencji katolickich. Komunikat ów, w apodyktycznej formie, odmawiał publicznie świeckiemu prawa zabierania głosu w sprawach kościelnych. Na to Sołtysik odpowiedział w świętnym artykule pt. „Kościół jest nasz” (Bunt Młodych, nr. 96), że „w zakresie działalności niedogmatycznej oceniać, projektować zmiany, różnić się w zdaniu, dążyć do zmian ma każdy członek Kościoła (a więc każdy katolik) równe prawo bez względu na stanowisko w hierarchii kościelnej”.

To sformułowanie, tak oczywiste, a tak mało jeszcze w polskiej świadomości katolickiej upowszechnione, ma podstawowe znaczenie dla dalszej aktywizacji ruchu katolickiego w Polsce. Bez wciągnięcia do twórczej dyskusji sił intelektualnych nie tylko z samego kleru, ale i spoza niego – nie może być mowy o poszerzeniu i pogłębieniu życia katolickiego w Polsce. A nie brak spraw do przemyślenia, przedyskutowania i zreformowania.

---

List pasterski ks. Prymasa – to wprost kopalnia tematów, które wymagają od katolików głębokiego rozważenia. Jednym z nich jest poruszona w liście prymasowskim kwestia konieczności stawienia oporu forsownie prowadzonej przez komunizm akcji bezbożniczej. Akcja ta z szczególniejszą zaciętością prowadzona jest ostatnio w Polsce wśród młodzieży wiejskiej.

Ks. Kardynał Prymas zwraca uwagę, że bezbożnictwo posługuje się taktycznie atakami na kler, kłócąc chłopą z księdzem. Każdy, kto zna trochę stosunki wiejskie, wie, że ta właśnie metoda jest stosowana na szeroką skalę. Bo mimo głębokiej religijności chłopą, hasła antyklerykalne, które są forpocztą haseł bezbożniczych, znajdują posłuch chętny. W wielu bowiem parafiach nietrudno o argumenty antyklerykalne, trafiające do przekonania. Dobrodziej nie stoi na wysokości zadania. W konflikcie między wsią



chłopską a wsią dworską nie umiał zająć stanowiska nadrzędnego. Głębokie uwagi na ten temat skreślił ostatnio Józef Staryszak na łamach „Myśli Narodowej” (nr. 11, r. 1936), analizując odpowiedzialną rolę proboszcza wiejskiego, i wykazując, że z chwilą kiedy staje się on ambasadorem dworu, ambasadorem jednej ze stron, zamiast rozjemcą, jego rola duszpasterska jest skończona.

Szczęściem w duchowieństwie, zwłaszcza młodszym, zrozumienie przemian społecznych zachodzących w świecie, zaczyna się już budzić. Na łamach miesięcznika „Prąd” ukazał się niedawno artykuł ks. Jana Piwowarczyka z Krakowa, który wychodząc z założenia, że wszystkie zwyczajne ruchy społeczno-polityczne na świecie, jak komunizm, hitleryzm i faszyzm, niosą ze sobą nie doraźny program na kilka lat, ale „wizję innego państwa, innego ustroju i innego społeczeństwa; dlatego opanowują umysły i zwyciężają” – takie snuje rozważania:

*„Nam katolikom, którzy się zajmujemy sprawami wsi w Polsce, brak takiej wizji. Naszą uwagę pochłaniają ważne, ale drugorzędne pod tym względem sprawy teraźniejszości, jak spółdzielczość, biblioteki, teatr ludowy itp. Brak nam natomiast świadomości celu, do którego ta „Kleinarbeit” (jak mówią Niemcy) ma zmierzać. Brak nam wizji przyszłej, lepszej, szczęśliwszej wsi polskiej. Mamy przed sobą zadanie, nie widzimy celu. Zajmują nas rzeczy drobne i szczegóły, nie ogarniamy całości”.*

Stąd ks. Piwowarczyk przechodzi do sformułowania katolickiego programu naprawy ustroju własności rolnej w Polsce:

*„Dwa etyczne prawa przemawiają w Polsce za parcelacją wielkiej własności: konieczność naprawy ustroju własności przez zasypanie przepaści między garścią przebogatych ludzi – a masą biednych – i obowiązek zaopatrzenia mas biednych w środki potrzebne im do utrzymania się na poziomie, wymaganym przez godność człowieka”.*

Artykuł ks. Piwowarczyka kończy się słowami:

*„Boję się, by dyskusji na temat sprawy wsi w katolickim obozie nie zabiły debaty zbyt techniczne nad całkiem jasnymi i prostymi sprawami (metodyka pracy na wsi) lub spory „zasadnicze” o przesądzoną już według mego mniemania sprawę reformy ustroju własności rolnej – i by skutkiem tego kapitalne zagadnienie „wizji przyszłej wsi polskiej” nie zostało odstąpione obozom niekatolickim. Gdyby się to stało, to trzeba by wówczas powiedzieć, żeśmy znowu na jedno co najmniej pokolenie stracili wieś”.*

Gdyby ten sposób myślenia, jaki reprezentuje ks. Piwowarczyk, upowszechnił się wśród proboszczów wiejskich – nie mogłoby być mowy na wsi o antyklerykalizmie. Agitacja komunistyczna trafiała by w próżnię.

Czasy, które idą, wymagają nowego typu ludzi. Wymagają również przekształcenia typu psychicznego proboszcza wiejskiego. W ruchu katolickim, który chce świat zdobywać, nie będzie miejsca na biernych, wygodnych i lękliwych. Utrwalić się musi typ psychiczny, wzorowany na świętości czynnej – jak go pięknie określa ks. Kardynał Hlond: „rewolucjoniści boży wśród przyziemnego tłumu”.

---

Sposób postawienia w liście prymasowskim sprawy żydowskiej, wywołał już dużą dyskusję. Dosadne scharakteryzowanie psychiki żydowskiej i jej rozkładowego wpływu, spowodowało burzę wśród Żydów. Ale nie ma co także ukrywać, że bezwzględne potępienie rozruchów antyżydowskich, wywołało pewne rozgoryczenie w obozie antysemitycznym.

A tymczasem sprawa jest prosta: w etyce katolickiej nie mieści się inne stanowisko, jak potępiające ekscesy, i inne stanowisko, jak potępiające rozkładowy wpływ Żydów.

I, oczywiście, wybuchające raz po raz w kraju zaburzenia antyżydowskie nie są programem polskiego nacjonalizmu. To wybuchy, niemal zawsze spontaniczne, nieuchronne tam, gdzie płaszczyzna ciągłego tarcia nie została usunięta. Bo, jak pisze przecież ks. Kardynał: „problem żydowski istnieje i istnieć będzie, dopóki Żydzi nie przestaną być Żydami”.

Nie zanoszą się na to, żeby przestali. Więc problem musi być rozwiązany przez izolację i emigrację. Gdy to rozwiązanie nastąpi – przestaną istnieć przyczyny, które dziś jeszcze ciągle wywołują krótkie spięcia,

Ruch antysemityczny w Polsce nie jest bynajmniej filiacją hitleryzmu. Jest wcześniejszy od hitleryzmu. Jest nierównie od niego poważniejszy i głębszy, bo też i kwestia żydowska w Polsce jest znacznie poważniejsza, a jednak rozwiązana być musi. Rozwiązana być musi w interesie katolicyzmu: aby usunąć rozkładowy wpływ Żydów na społeczność katolicką i aby usunąć przyczyny, które doprowadzają do rozruchów antyżydowskich.

---

Jak konieczność rozwiązania problemów gospodarczo-społecznych zawiera w sobie niebezpieczeństwo ulegnięcia sugestiom materialistycznej koncepcji komunistycznej, tak konieczność rozwiązania problemu żydowskiego kryje w sobie niebezpieczeństwo przejścia materialistycznej koncepcji niemieckiego rasizmu. Obie te

koncepcje w swojej istocie są antykatolickie i antypolskie, służą do podbijania Polski przez imperializmy sąsiadów.

Zdajemy sobie z tego sprawę. Przestroga ks. Kardynała Hlonda przed rasizmem nordyckim nie padnie w próżnię. Rasizm w sformułowaniu hitlerowskim, to jest – jak słusznie go określił Karol Stojanowski – genoteizm, deifikacja czynnika materialnego rasy, która ma służyć celom niemieckiej populacji i ekspansji.

My, w Polsce, mówiąc o rasizmie, mamy raczej na myśli to pojęcie rasy, które nieobce jest i ks. Prymasowi, gdy wspomina w swym liście pasterskim o „geniuszu rasy” pojęcie rasizmu psychicznego<sup>16</sup>.

-----

Z przepięknego i porywającego rozmachem wielkości listu pasterskiego ks. Prymasa przytoczmy na zakończenie słowa najbardziej programowe:

*„Z walk duchowych wieku dwudziestego wyrósć powinien nowy człowiek, z człowieczeństwem nieskaleczonym, z człowieczeństwem uporządkowanym, człowiek pełny, wolny, z inicjatywą, z obowiązkami i prawami, złączony ze swym Stwórcą i ze stworzonym światem, złączony ze swym Odkupicielem i jego prawem, złączony z Duchem Świętym i jego łaską, A więc nie mechaniczny, elektryczny, bezduszny robot w zamienionym na fabrykę świecie techniki, lecz prawdziwy władca świata, pan siebie samego, a sługa Boży”.*

Stworzenie takiego typu człowieka, stworzenie społeczeństwa na tym typie człowieka opartego, to wierzymy w to wszyscy misja dziejowa Polski.

---

<sup>16</sup> Por. Stanisław Piasecki: „Prosto z Mostu”, Wyd. „Rój”, 1934, rozdział „Od Acharda do Hitlera”.

# III

## PODRÓŻ BEZ HAMULCÓW

Jest coś groźnie złowrogiego w braku oporu, jakiego doświadcza na swej drodze powieść L. F. Celine'a „Podróż do kresu nocy”, świeżo przetłumaczona na język polski. Przyszła do nas z Francji, poprzedzona niebywałym rozgłosem. Krytyka francuska od lewicowca Valery'ego do rojalisty Daudeta powitała ją entuzjastycznie jako nowe objawienie literackie. Sugestia zagranicznego patentu na genialność zrobiła oczywiście i w Polsce swoje. Biję się w piersi, bo nie jestem bez winy. Nie znając francuskiego oryginału i przed wyjściem z druku polskiego wydania, zamieściłem kilka miesięcy temu w „ABC literacko-artystycznym” wyjątek (nieszkodliwy i obojętny zresztą) z mającej się ukazać książki. Na rachunek paryskich zachwytych nacjonalisty Daudeta nad całością.

Grube, z górą sześćsetstronicowe tomisko powieści Celine'a długo leżało na moim biurku nierozcięte. Aż zrobił się w Polsce taki szum i hałas wokół tej książki, tyle się naczytało na jej temat superlatywów w recenzjach po dziennikach i tygodnikach (nawet i Radio udzieliło gościny dla jej zachwalania trzystutysięcznej rzeszy słuchaczy), że trzeba już było, nie zwlekając, zabrać się do osobistego sprawdzenia walorów nowego arcydzieła literackiego.

Naprzód zdumienie, a w miarę przegryzania się ku końcowi tomu – przerażenie, Jak to? Więc doszliśmy do tego, że o takiej książce można w ogóle rozprawiać z czysto literackiego punktu widzenia? Że można ją klasyfikować kryteriami normalnie stosowanymi do dzieł sztuki? Podnosić tzw. śmiałość autora i głądzić co najwyżej o rozszerzeniu pojemności tematów w piśmiennictwie? Piać z zachwyty nad „postępem” powieściowego obnażania duszy ludzkiej?

Muszę powiedzieć od razu, że nie jestem w stanie myśleć o „Podróży do kresu nocy” tzw. kategoriami literackimi. To wcale nie jest ważne, czy Celine stworzył dzieło sztuki, czy wzbogacił piśmiennictwo, jakich miał poprzedników i o ile dalej poszedł od nich. Ta książka jest przede wszystkim przerażającym dokumentem socjologicznym. A jeszcze bardziej przerażające jest przyjęcie, z jakim się spotkała.

Ludzie, którzy choćby literacko mogą rozsmakowywać się w powieści Celine'a – to żywe trupy. Zgniłki, które lada podmuch nadciągającej burzy strąci z drzewa. Entuzjazm krytyki francuskiej dla „Podróży do kresu nocy”, każe głęboko zastanowić się nad bolszewicką diagnozą o „zgniłym Zachodzie”, Setki tysięcy egzemplarzy nakładu powieści Celine'a we Francji, zdają się świadczyć, że ta warstwa narodu francuskiego, która od Wielkiej Rewolucji zdobyła sobie prawo reprezentowania Francji i przemawiania w jej imieniu: burżuazja francuska i jej elita inteligencka, znajduje się w fazie rozkładu. I że rozkład ten ogarnia wszystkie jej odcienie polityczne. Jeśli nawet nacjonalista, Leon Daudet, jest „oczarowany” Celinem – to tfu, do diabła z takim nacjonalizmem, to tylko *bluff* i nic więcej. Prawdziwy nacjonalizm francuski dopiero się narodzi. Może wyjdzie z warstwy chłopskiej, której smród rozkładu mieszczaństwa francuskiego, opiewany przez Celine'a musi być równie wstrętny, jak jest przyjemny paryskim snobom literackim.

O, bo powieść Celine'a jest w każdym swym włóknie produktem zadymionego, cuchnącego rojowiska miejskiego. Bohater „Podróży do kresu nocy”, Bardamu, wielkomiejski łazik, alfons, symulant, szantażysta, koczownik ulicy jest mieszcuchem do szpiku kości. Mieszcuchem prawdziwym. Potargał wszystkie więzy, łączące człowieka z żywym organizmem świata, nienawidzi przyrody całą siłą nienawiści. „Przyroda jest czymś strasznym, i nawet, gdy jest zdecydowanie oswojona, jak w Lasku Bulońskim, jeszcze budzi pewien rodzaj trwogi u prawdziwych mieszcuchów” – czytamy zaraz na pierwszych stronach książki, Bardamu nie znosi ani liryzmu, ani eposu przyrody, nie odczuwa potrzeby ani błękitu nieba nad sobą, ani słońca. Jego żywiołem jest ulica. „Nie warto się szamotać, wystarczy czekać, skoro wszystko musi się kończyć rozgrywaniem na ulicy. Ona tylko ma znaczenie w gruncie rzeczy” – to wyznanie wiary Bardamu. Ulica i noc. Bardamu, jak nietoperz, potrzebuje nocy. Noc go pasjonuje, a nie dzień. Zgłębić noc do dna<sup>17</sup>. I bez zobowiązań. Jak podróżnik. Niefrasobliwa podróż – bez hamulców.

Cała książka jest jednym wielkim upajaniem się bezhamulcowością. To jest ów wynalazek Celine'a, który propaguje na każdej stronie. Rób co chcesz, co ci sprawia przyjemność i co ci się podoba. „Ty robisz akurat to, co masz ochotę robić. To właśnie jest ważne. To tylko bierze się w rachubę” – mówi do Bardamu jego kochanka ( prostytutka z domu publicznego, przy której spełniał funkcje alfonsa). Jakies tam skrupowanie społeczne, poczucie przynależności do zbiorowości, moralność? „Na moralność ludzką gwizdź, na potęgę, jak zresztą wszyscy” – powiada Bardamu. Godność osobista? „Wyrzekłem się od dawna wszelkiego rodzaju miłości własnej”.

Z takim bagażem wszelkie hamulce są już oczywiście zbędne. Można odbywać podróż poprzez wszystkie podłogi, aż do dna nocy. Na wojnie być łazikiem i dekwonikiem, a w szpitalu wojskowym symulantem, co zresztą, jako że taka teraz moda, można obficie podlać sosem pacyfistyczno-humanitarnym. Ale ten humanitaryzm nie przeszkodzi wcale już później, w cywilu i po wojnie, uczestniczyć w planie zamordowania staruszki Henrouille, bo wiedzieć o tym planie i nie przeciwdziałać mu. Ba, ma nawet Bardamu dla morderców słowa pełne pobłażania:

„Czyż życie dobrze się z nimi obchodzi? Więc nad kim i nad czym mieliby się litować? Po co? Nad drugim?”.

Z takim bagażem można przechodzić od jednej kobiety do drugiej, stać się alfonssem, unikać pracy, wszędzie i zawsze być malkontentem, widzieć to tylko, co złe, wagabundować się po świecie, pasożytować, nigdzie miejsca nie zagrazać i dorobić sobie do tego teoryjkę: „Im dłużej siedzieć w jakimś miejscu, tym bardziej; rzeczy i ludzie obnażają się, psują i zaczynają cuchnąć umyślnie dla was”.

---

<sup>17</sup> W ankiecie „ABC” Kazimierz Wierzyński uczynił słuszną uwagę, że polskie tłumaczenie tytułu powieści: „Podróż do kresu nocy” rozmija się z intencjami Celine'a. Chodzi o podróż w głąb, czy nawet do dna nocy.

A wreszcie, gdy się już przeszło przez wszystkie upodlenia i zgłębiło wszystkie świństwa, właśnie ciężar przerzucić na innych obnażeniem się, wykrzyczeniem najordynarniejszymi słowy: Patrzcie, taki jestem i nie wstydzę się tego! Wy się też nie wstyďte! To niezdrowo się wstydzić. I za Freudem pacierz: „Człowiek się uspokoi dopiero wtedy, gdy wszystko zostanie powiedziane raz na zawsze, wówczas nareszcie będzie cicho i nie będzie się już bał milczeć”.

Och, jak teraz lekko, gdy się już poddało zabiegowi ekshibicjonizmu moralnego! Te sprawy, które człowieczeństwo nakazuje załatwiać w sobie, z sobą i z Bogiem, te rozrachunki z upadków, których rachmistrzem jest sumienie, które rzeźbią duszę ludzką i hartują – odbyte publicznie. Albo to ja sam? Albo wy, w mniejszym i większym stopniu, nie macie podobnych upadków za sobą? Dźwigajmy je razem! Że zaś tam, kto słabszy, pod tym ciężarem się ugnie, to już furda. Tym lepiej. O ileś tam świń na świecie więcej. Bardamu się pomnożył. A w towarzystwie zawsze łżej być świnią.

Jest coś najohydniejszego w wszelkim ekshibicjonizmie, który jest niczym innym, jak zrzucaniem ze siebie odpowiedzialności, dzieleniem się tą odpowiedzialnością za siebie z innymi i wbrew ich woli. To coś, jakby podrzucanie skradzionego przedmiotu. Celowała w tym przedrewolucyjna literatura rosyjska od Dostojewskiego. Gniję ja – gnij i ty. Na tych zaś, którzy by chcieli gnilny kłęb oblać wapnem, gotowy fortel: Wara! Ta zgnilizna ukazana jest w sposób genialny. To wielka literatura!

Dostojewszczyzna, panująca w przedrewolucyjnej literaturze rosyjskiej, dokonała procesu rozkładu elity rosyjskiej do końca. Gdy przyszła burza od dołu, nie było się komu oprzeć naporowi. Przyszły, bo w tych warunkach musiały przyjść do władzy, inne warstwy narodu. Warstwa górna, zdegenerowana, została wycięta. Nie było już czasu jej uzdrowić. A wraz z nią poszły na zatracenie nagromadzone przez nią wartości kulturalne, które mogły być cennym wkładem w budowę życia narodowego. Teraz, trzeba tam wszystko zaczynać od nowa.

Ekshibicjonizm Dostojewskiego to przy ekshibicjonizmie Celine'a dziecięce kwilenie. Pojętny uczeń prześcignął mistrza o tyle długości, ile chciał. Strach pomyśleć o ile bardziej gwałtowne musi nastąpić teraz działanie, tym więcej, że nie napotyka na żaden odpór. Ukazanie się książki Celine'a, a w jeszcze większym stopniu entuzjastyczne przyjęcie, jakiego ona doznała we Francji – to symptom burzy, jaka musi tam pójść od dołu, jeśli natychmiast nie nastąpi reakcja, która by z dzisiejszej inteligenckiej warstwy narodu francuskiego odizolowała to jeszcze, co zdrowe.

Ale to sprawy dalekie. Mamy swoje, bliższe. Książka Celine'a ukazała się już w przekładzie polskim. Nieodpowiedzialne snoby robią dookoła niej huczek. Tej propagandzie trzeba ukręcić łeb jak najprędzej<sup>18</sup>.

---

<sup>18</sup> Artykuł ten pisany był w grudniu 1933 roku. W roku następnym odbył się w Moskwie wielki kongres pisarzy proletariackich, na którym Karol Radek mówił: „Dobrze, kiedy utwory

## CHŁOPY IDĄ

Cywilizacja nie rodzi się z dnia na dzień ani powstać może ni stąd ni zowąd – nie ukrećisz bicza z piasku. Cywilizacja tworzy się pospólnie, społecznie, z pokolenia na pokolenie, długą i mozolną uprawą. Jej warunkiem nieodzownym jest osiadłość tych, co ją tworzą. Cywilizacje koczownicze, cygańskie, są kalekie lub karłowate. Brak im trwałości uprawy na tej samej glebie, w ciągłym przeszczepianiu i przeflanconowaniu cherlają, wątleją, marnieją, jak rośliny doniczkowe. Nie czerpią soków z ziemi.

Kryzys naszej współczesnej cywilizacji jest w znacznej mierze kryzysem osiadłości tzw. elity kulturalnej, cherlającej w wielkich miastach – doniczkach. Urbanizacja i industrializacja z roku na rok coraz to bardziej przemieniała typ życia tych, którzy mienią się być twórcami cywilizacji, w typ życia koczowniczy. Dziś tu, jutro tam, żadnych związków stałych, żadnej ciągłości. Miałość i sypkość. Więc przy lada wietrze – tuman kurzu i nic więcej.

Zrazu nie dostrzegało się zabójczego wpływu urbanizacji nowoczesnej na życie kulturalne. Przeciwnie. Wymieszanie w wielkomiejskim tyglu różnolitych pierwiastków, przyniesionych ze sobą, dawało twórcze pokrzyżowania, olśniewające kombinacje. Ale nic z tego nie osiadło, nic nie okrzepło. Zatracało swoją barwę – nie umiało stworzyć nowej barwy trwałej. Aż się zaczęło wstydzić tej bezbarwności i chować w noc. W ciemnościach nocy niema wstydu. Więc – podróż do dna nocy.

Sprawozdanie z tej podróży, z całym cynizmem opisanej w powieści Celine'a, obnażyło w sposób przerażający proces rozkładu dokonany przez wielkomiejskie koczownictwo na żywym organizmie cywilizacji. Jeszcze w Polsce ten proces nie posunął się tak daleko, jak we Francji, ale już i u nas, choćby w literaturze takich Uniłowskich czy Rudnickich, pojawiły się pierwsze sygnały alarmowe. Tej miejskiej, miałkiej, sypkiej „elicie”, składającej się z koczowników, łazików i wagabundów, niczym niezwiązanych, nie mających swego miejsca na ziemi, nie pozostaje nic innego, jak zagłębić się w noc – a któż z nas inteligentów, mieszkających dziś na Mokotowie, a jutro na Ochocie, pracujących dziś tu, jutro tam, a pojutrze bezrobotnych, nie jest po trosze zarażony bakcylem koczownictwa?

Wielką wylęgarnią tych bakcyliów stał się nowoczesny, wielkokapitalistyczny ustrój gospodarczy, który zniszczył małe warsztaty, podstawę osiadłego i przeto twórczego cywilizacyjnie mieszczaństwa dawnoczesnego, który ku rozrastającym się potwornie miastom pchnął obietnicą łatwego zarobku masy związanej dotąd z ziemią ludu, który wciągnął w swą orbitę rozbitków wyzutej z ziemi szlachty.

---

Celine'a, Joyce'a i innych działają rozkładowo na świat burżuazyjny na Zachodzie, ale utwory tych autorów nie mogą być czytane u nas, w ZSRR”.



Wszystkich zamienił w koczowników, pozbawionych własnego stylu życia, coraz dalszych własnym tradycjom cywilizacyjnym, coraz samotniejszych w szarych miejskich murach. Jednych – tych sprytniejszych i mniej posiadających skrupułów – wywindował ku górze nowoburżuazyjnego, bezstylowego luksusu, małpiarsko naśladowanego z najzewnętrznějších, połapanych to stąd, to zowąd cech dawnych, zniszczonych warstw – drugich, liczniejszych, sproletaryzował, zepchnął w dół, uczynił z nich bezkształtną masę ludzi, żyjących na przemian to indywidualnymi nadziejami na rockefellerowskie kariery, to zbiorowym gniewem i zaprzysięganiem zemsty. A i tych na górze, i tych na dole, pchnąwszy raz w koczownictwo, pozbawił najistotniejszego czynnika twórczości cywilizacyjnej: osiadłości, związku z ziemią, łączności pokoleń. Ci z góry snobują się własnym rozkładem (spośród nich rekrutują się entuzjaści Celine'a), ci z dołu, marząc skrycie o zajęciu miejsc na górze, snobują się wygrażaniem. Tzw. literatura proletariacka jest literaturą wygrażania, ubrana zresztą w bardzo burżuazyjną formę pisarską. Proletariusz-koczownik jest tak samo nietwórczy, jak i burżuj-koczownik. Twórczość, z samej swej istoty, jest aktem przekazywania siebie następnym pokoleniom. Człowiek z psychiką przechodnia nie dba o to. Pasjonować to może tylko człowieka osiadłego.

Toteż twórczość cywilizacyjna jest zawsze dziełem tych warstw narodu, które przez osiadłość z dziada pradziada i przez poczucie odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń, stanowią jego rdzeń trwałe.

W Polsce, jako że nie mieliśmy nigdy silniejszej, własnej warstwy mieszczańskiej, twórcami cywilizacji narodowej byli przede wszystkim szlachcic i chłop. Szlachta – to była tej cywilizacji kinetyka, w warstwie chłopskiej był tej cywilizacji potencjał, do którego nieraz sięgano, gdy szlachecka kinetyka słabła w napięciu. Czymże innym, jeśli nie sięgnięciem do źródeł kultury ludowej był romantyzm, kiedy szlachecki klasycyzm epoki stanisławowskiej zaczął kostnieć i sztywnieć! Czymże innym, jak nie następną z kolei próbą odnowy był okres Młodej Polski, kiedy już nie tylko sięgnięto do skarbnicy sztuki ludowej po tworzywo, ale z chłopskiej warstwy wydobywać się zaczęli Kasprowicze i Reymonty?

Od tych czasów proces demokratyzacji narodu posunął się znacznie dalej. Chłopi wchodzą spoza wsiowskich opłotków wielką ławą w polskie życie publiczne. A zbiega się to z coraz gwałtowniejszym wysychaniem w warstwie inteligenckiej źródeł kultury szlacheckiej, wyparowującej swe ostatki w dusznych murach miast, pozbawionej naturalnych dopływów z ginących pod młotkiem licytacyjnym dworów i dworków, mąconej odchodami wielkomiejskiej hałastry.

Rozróżnienie pomiędzy cywilizacją szlachecką i chłopską ma tu zresztą znaczenie tylko historyczne. To jest cywilizacja jednorodna, na tej samej ziemi wyrosła, przez tę samą przyrodę kształtowana, mająca ten sam styl wewnętrzny, ten sam w najgłębszej swej istocie obyczaj polski. Ważne jest rozróżnienie inne: pomiędzy cywilizacją osiadłą a cywilizacją koczowniczą. Pierwsza jest cywilizacją narodową, której budowniczymi byli szlachcic, mieszczanin i chłop, każdy z nich w takiej mierze, w jakiej jego warstwa brała dotąd udział w życiu publicznym. Druga to produkt industrializacji kosmopolitycznej,

ginącej dziś samobójczą śmiercią od sprowokowanego przez nią samą kryzysu gospodarczego, ale zatruwającej jeszcze ciągle atmosferę.

Przez okres tych wyziewów z celine'owskiego dna nocy trzeba przenieść dobro cywilizacji narodowej i nie dać mu zniszczyć. A trzeba na to świeżych, nieużytych sił i krzepkich ramion. Te świeże siły na szczęście są i coraz wyraźniej się zarysowują w polskim życiu. Głucho o nich na razie w naszym świątku literackim, zajęтым Akademią i nagrodami. Chłopy idą? A gdzie to? Nic jakoś nie słychać...

Ja tam słyszę ten miarowy rytm chłopskich kroków, który niedługo już zadudni, musi zadudnić potężnie poprzez polską literaturę. Widzę nawet forpoczty.

Taką przede wszystkim forpoczta wydaje mi się niezauważony dotąd przez krytykę tomik poezji Stanisława Młodożeńca „Gamy i pejzaże”.<sup>19</sup> Twardych chłopów rodzi sandomierska ziemia. Trzeba niebyle jakiej odporności, ażeby tak, jak Młodożeniec, przeszedłszy przez sam środek futuryzmu krakowskiego (uwielbienie maszynizmu antyrustykalizm), nic nie zatracić z chłopskiej, samorodnej treści, wrócić na dobrocicki wąkop<sup>20</sup> i powiedzieć sobie: tarnino, to były tylko gamy, teraz wracam do swojego, chłopskiego pejzażu. Owe futurystyczne gamy, dziwaczne nieraz i mało zrozumiałe, zamieścił Młodożeniec w pierwszej części swego zbioru poezji. I słusznie, że je zamieścił. Czytelnik bowiem ma możliwość stwierdzenia naoczego, jak te zdobycze formalne w ekspresji słowa i rytmie, które wyniósł Młodożeniec z futuryzmu, użyte zostały przez niego do dźwiękowego i rytmicznego wzbogacenia siły wyrazu epickich wierszy, wbudowanych w wiejski pejzaż, a to „O Jasiu Dobrochu, zbójcu Lichocie i rudym mańkucie”, a to „Na weselu”, a to „Pieśni o lnie”. Każdy wiersz Młodożeńca jest właściwie gotowym słuchowiskiem. (Tyle się pisało o wpływie kina na literaturę – tu rysuje się coś, jakby wpływ radia). Wierszy Młodożeńca trzeba słuchać, żeby wczuć się w ich całą krasę. Pomyślane są – dźwiękowo.

Wiersze Młodożeńca, te ostatnie, z drugiej połowy zbioru, są przy tym bojowo chłopskie. Młodożeniec idzie w awangardzie poezji chłopskiej (nie tej ocukrzanej „ludowej”, ale właśnie chłopskiej). Stąd buńczuczność i zadzierzystość, jak to zawsze w walce. Coś tam się dostanie i plebanowi, i dziedzicowi – ale przede wszystkim pachciarzowi<sup>21</sup>. I zadźwięczy mocno дума – nie boi się Młodożeniec tego słowa – chamska. Trochę w tym retoryki, ale i znacznie więcej pasji nowej polskiej literatury rodem ze wsi, która idzie, aby wesprzeć i trochę złuzować wysiloną już literaturę szlachecką, wywodzącą się z tego samego pnia osiadłej cywilizacji narodowej.

Nie tylko w poezji.

---

<sup>19</sup> Stanisław Młodożeniec: *Gamy i pejzaże*. Warszawa, 1934. Nakł. Wydawnictwa „Wąkopy”.

<sup>20</sup> Wąkop – wąwóz, jar lub usypisko z ziemi. [redakcja]

<sup>21</sup> Pachciarz – dzierżawca [redakcja]

Jednym z przedstawicieli nowej prozy chłopskiej (na wskroś świeżej, nie stylizowanej na ludowość, ale prawdziwej i szczerzej) jest Wincenty Burek, krajan Młodożeńca z Sandomierskiego. I to talent pierwszej wody, samorodny, wnoszący do polskiej literatury wartości nowe i rzetelne.

Ile zaś tam po chłopskich skrzyniach kryje się rękopisów niedrukowanych, które nie znalazły sobie dotąd drogi do redakcji i wydawców!<sup>22</sup>

---

<sup>22</sup> Pisane 7.1.1934.

## LITERATURA CHŁOPOSKA ROZWIJA SIĘ

Było to jakoś niedługo po ukazaniu się z druku „Mateusza Bigdy” Kadena-Bandrowskiego. Gławkowierch<sup>23</sup> oficjalnej literatury, zachęcony trwającym od samych dni majowych ulicznikowskim pogwizdywaniem quiproquistów, bandziarzy i innych baczościowych dowcipnisiów na Witosa i bezkrawatowe (o zgrozo, o wstydzie!) chłopstwo, wymierzył właśnie chłopu ostatniego kopniaka, wdeptał go w błoto, opluł i opaskudził na iluś tam stronach trzytomowej zakalcowatej powieści. Chłop się już nie liczy, nie ma go, nie istnieje! Jesteśmy tylko my, elita, brygada, Akademia.

I właśnie, gdy wszystkie trąby oficjalnej krytyki grzmiały rozgłośnie na cześć wspaniałej kadenowskiej epopei, malującej mistrzowsko rzeczywistość współczesnej Polski – niedostrzeżony przez miejską, kawiarnianą elitę, dojrzewał na dalekiej, nieznannej wsi proces głębokich wewnętrznych przemian, odbywało się wielkie przegrupowanie sił i okopywanie pozycji do nowej manifestacji odwiecznej chłopskiej krzepy. Bez kierownictwa, bez komendy, bez planu. Podświadomie, biologicznym instynktem trwania.

Nie było nas, był las, nie będzie nas będzie las.

Skoro zawiodła polityka i politykierzy, skoro mądre pany wystrychnęły w mieście chłopskich synów na dudków, a w dodatku niektórych Dudków zasymilowały na Dudkowskich, to trzeba jakoś inaczej, przezorniej, szerzej i głębiej brać się do rzeczy.

W młodym pokoleniu chłopskim widzenie spraw jest zupełnie inne, niż to bywało w starszym. Rośnie z dnia na dzień poczucie własnej wartości i roli cywilizacyjnej, jaką niedługo już chłop będzie musiał odegrać w życiu polskim. Rośnie wiara w własne siły i konieczność walki, jaką niebawem stoczyć wy-padnie. Coraz rzadziej czad miejskiego koczownictwa uderza do głowy studiującym na uniwersytetach synom chłopskim, coraz rzadsi są dezserterzy, co to i swego się wyrzekli i w obce się nie wgryźli. Rozwijają się z żywiołową siłą własny, chłopski, odrębny i tym właśnie wartościowy ruch umysłowy i literacki.

Bez mała rok temu, w artykule „Chłopi idą”, zwróciłem uwagę na to zjawisko olbrzymiej doniosłości kulturalnej i społecznej. Zilustrowałem je paru przykładami, które mi się nasunęły z najbliższego terenu. Wywiązała się wcale obszerna dyskusja prasowa. Ale, jak to najczęściej u nas bywa, temat ważny i poważny stał się odskocznią do załatwiania porachunków osobistych. Głupkowate zaczepki można było spokojnie zostawić bez odpowiedzi, a samo zagadnienie wydawało się polemistom nieistotne. Chłopi idą? Ha, ha, ha!

---

<sup>23</sup> Gławkowierch – Rosyjskie określenie na głównodowodzącego (sił zbrojnych).  
[redakcja]

Wkrótce potem front uległ zmianie. Licho wie, a może naprawdę idą? Może bezpieczniej będzie objąć nad tym marszem komendę? Ci sami, którzy się niedawno śmiali, zaczęli na odmianę organizować wieczory poezji chłopskiej, ba, nawet pod najoficjalniejszym przewodnictwem prezesa Akademii Literatury zwołano do Warszawy zjazd literatów ludowych. I znowu kulą w płot. Bo przecież istotą ruchu umysłowego, jaki idzie teraz przez wieś, jest to, że nie chce on i nie potrzebuje opiekunów, protektorów, doradców i komendantów. Skończyło się z poklepywaniem po ramieniu „młodszych kolegów z ludu”. To oni nam mają teraz coś do powiedzenia i rad im naszych nie potrzeba.

Kto choć trochę się zapoznał z prasą ludową, zwłaszcza zaś z młodą prasą, ten wie o tym doskonale. Poziomu dyskusji na łamach takiej „Młodej Myśli Ludowej”, pozazdrościć by mogło temu miesięcznikowi niejedno pismo młodzieży w Polsce. Poruszane tu są tematy najrozmaitsze: społeczne, religijne, polityczne, literackie. Książki wybitnych działaczy ludowych, jak Niecki „O życie wewnętrzne wsi”, czy Jerzego Kuncewicza „Przebudowa społeczna”, wywołują zażarte polemiki i spory, zawsze jednak nacechowane dobrą wolą oponentów i pasją zgłębienia zagadnienia, a nie jego peryferii. Rzecz przy tym znamienita: niezależność „Młodej Myśli Ludowej”, czy „Wici”, czyni z nich pisma frapujące świeżością i oryginalnością dyskusji w przeciwieństwie do „urzędówek” ludowych w rodzaju „Młodej Wsi”, czy miesięcznika „Wieś” (pod redakcją Zegadłowicza), jałowych na ogół i nudnych.

Najciekawszym jednak zjawiskiem jest żywiołowy rozwój literatury chłopskiej, świadomej swych zadań i nowych pierwiastków, jakie wnosi do kultury polskiej. Przez ostatni rok dokonał się na tym terenie przełom olbrzymi. Weźmy choćby taki przykład:

Wychodzi we wsi Naprawa koło Jordanowa pismo „Wieś – jej pieśń”. Miesięczniczek buńczucznie nazwany „organem literatów ludowych w Polsce”, był sobie zrazu pisemkiem, w którym zabierali najczęściej głos poeci ludowi dawnego typu „ojdanowego” i w którym bezkrytycznie drukowano lada grafomaństwo. Ale wkrótce pismo nabrało rumieńców. Jeszcze je ciągle obciąża balast słabych i bardzo słabych wierszyków, częstochowsko rymowanych. To prawda. Sam jednak fakt, że powstał organ specjalnie chłopskiej twórczości poświęcony, spowodował zgrupowanie się koło „Wsi i jej pieśni” pierwszorzędných talentów młodej literatury ludowej i dozwolił na wyłowienie spośród masowo nadsyłanych do pisma utworów – talentów nowych. W ostatnim numerze miesięcznika ogłoszono już zapowiedź przekształcenia go w dwutygodnik „którego zamiarem jest skupić ściśle uświadomionych pisarzy chłopskich w czysty, wykrystalizowany front nowej chłopskiej literatury”.

Dźwięczy coraz częściej w „Wsi i jej pieśni” ton klasowy, a artykuły dwóch najwybitniejszych współpracowników, Wojciecha Skuzy i Mariana Czuchnowskiego, zalatują raz po raz terminologią marksistowską, co poniektórym opiekunom „młodszych kolegów z ludu” spędza sen z powiek. Ja tam (bo nie mam ambicji opiekuńczych) nie przerażam się czerwonością młodej literatury chłopskiej. Byłaby skłamana, zafałszowana i nieprawdziwa, gdyby nie była czerwona. Z chłopskiej, kilkumorgowej nędzy rośnie i walczy o lepsze jutro, walczy o Polskę, która by dla dwudziestomilionowej rzeszy

chłopskiej nie była macochą, ale matką. Że powieść Kruczkowskiego „Kordian i cham”, zaczytywana do zdarcia kartek we wszystkich bibliotekach ludowych, staje się dla pisarzy chłopskich ewangelią, to nie dziwota. Żadna książka w latach ostatnich nie zrobiła na mnie większego wrażenia niż ta właśnie. Jest w niej groźne memento: że Polska niesprawiedliwości społecznej może przestać być dla chłopów ojczyzną. Że zaś młodzi chłopscy pisarze, jak Skuza i jego towarzysze, walcząc z krzywdą społeczną, zapożyczają słów i pojęć z obcej terminologii, to też nic dziwnego. Dopóki nie znajdą własnych, celniejszych. Może niektórzy nie znajdują, ale na ogół czerwień młodej chłopskiej literatury jest tylko połową czerwono-białego sztandaru, który nigdzie głębiej nie jest wbity drzewcem w ziemię, niż na wsi. Poprzez klasową ornamentykę aż bucha piśmiennictwo chłopskie polskością.

W grupie „Wsi i jej pieśni” największą indywidualnością pisarską jest Wojciech Skuza. Jego poemat „Kumac” (kumac – to taki, co się z panami kuma), gorzko i boleśnie opiewający dzieje Bartosza Głowackiego, zesłanego po powstaniu przez swego pana w austriackie rekruty, za to, że nie chciał pańszczyzny odrabiać i na serio wziął nobilitację racławicką – to poetycka transpozycja podobnego motywu, jaki na tle powstania listopadowego przeprowadził w „Kordianie i chamie” Kruczkowski. I mniejsza z tym, czy prawdziwe historycznie są dzieje Bartosza tak, jak je przedstawia Skuza, a co do czego historycy nie wypowiedzieli jeszcze ostatniego słowa. Nie jest również ważne, że Kruczkowski, wbrew historycznej prawdzie, kazał swemu Deczyńskiemu wyłamać się z szeregów podczas powstania listopadowego, bo to powstanie było dla chłopów powstaniem panów. Smak piórunu ma świadomość, że zarówno powieść Kruczkowskiego jak i poemat Skuzy są prawdziwe przez prawdopodobieństwo takiego właśnie obrotu wypadków.

Gdyby istniała u nas zdrowa opinia literacka, poemat Skuzy o „Kumacu” stałby się niewątpliwie wydarzeniem dnia, a nie zaginęłby w powodzi nikomu niepotrzebnych tomików z wierszyczkami lirycznymi z powagą omawianych przez speców krytyki. Reprezentuje bowiem „Kumac” wysoką rangę artystyczną. Wiersz dźwięczny, mocny, po chłopsku prosty, a jednak kunsztowny w formie. I rozmach wielkiego talentu.

Niemniejsza żywiołowość talentu bije z poezji Mariana Czuchnowskiego. Tu jednak bezpośrednio wypowiedzenia się i – co równie ważne – zrozumiałość dla czytelnika, mąci forma zawiła i trudna, awangardowe eksperymentowanie pozostałe z dawnego nawyku... burżuazyjnego, gdyby użyć terminologii Czuchnowskiego. Świeżo wyszedł z druku poemat Czuchnowskiego „Trudny życiorys”, w którym łamanie się nawyku formy z burzliwą bezpośredniością treści czuje się na każdej stronie. Gdzie Czuchnowski-poeta zwyciężył Czuchnowskiego-eksperymentatora poetyckiego, tam wyraz osiąga przejmujący<sup>24</sup>.

---

<sup>24</sup> Poemat Czuchnowskiego bezprzykładnie pociachany został przez cenzurę. Białych plam tyle prawie, co tekstu. W tym samem mieście, w którym bezkarnie drukuje się kilkudziesięciotysięczny nakład „Tajnego Detektywa”, konfiskata awangardowego poematu,

Na przeciwnym do Czuchnowskiego biegunie stoi odkryty przez „Wieś – jej pieśń” nowy talent chłopski – góral Stanisław Nędza z Kościelisk. W jego wierszach, gwarą podhalańską pisanych, dochodzi do głosu porywający prymityw poetycki. Najczystszy to bodaj przykład świeżości i odrębności chłopskiej w poezji.

Naprawa koło Jordanowa, przez wychodzące tam pismo „Wieś – jej pieśń” stała się jednym ośrodkiem literatury chłopskiej – drugi najpoważniejszy ośrodek mamy dziś w Sandomierskim. Dziwaczne jakieś nieporozumienia sprawiają, że jordanowczycy ścigają z zawziętością polemicznymi strzałami najwybitniejszego pisarza grupy sandomierskiej, Stanisława Młodożeńca, choć właśnie pomiędzy Młodożeńcem a Czuchnowskim najbliższe wykazać by można pokrewieństwa poetyckie z tym tylko zastrzeżeniem, że Młodożeniec już się wyzwolił z niewoli futurystycznej formy, a Czuchnowski tkwi jeszcze w więzach krakowskiej awangardy. Ostatnie utwory Młodożeńca coraz bardziej brzmią nutą społeczną i coraz to zyskują na sile wyrazu.

W grupie sandomierskiej przeważa jednak proza. Wincenty Burek (którego tom opowiadań z Ocinka ukaże się niebawem w wydaniu książkowym), Roman Koseła i Wincenty Stojek tworzą nowy typ narracji podbijając czytelnika bogactwem języka chłopskiego i prawdą obrazu dzisiejszej wsi.

Osobny rozdział – to poznaćczyk, Wojciech Bąk, którego tomik „Brzemień niebieskie” wyszedł niedawno nakładem J. Mortkowicza. Dawno już nie czytało się poezji równie świeżej, równie szczerzej i równie głębokiej. Gdy się czyta wiersze Bąka, odzyskuje się wiarę w lirykę współczesną, tak straszliwie zbanalizowaną przez epigonów Staffa i skompromitowaną przez zalew młodzieńczego grafomaństwa.

Nie sposób w krótkiej notatce dać rozbiór wartości liryk młodego wielkopolskiego poety. Można tylko zasygnalizować ten zbiorek, składający się z samych arcydziełek (zwłaszcza poemacik „Ksiądz Wikary”, „Bałwochwalczy XX wieku” i „Wiersz o Polsce”). Można tylko zawołać radośnie: oto zjawił się prawdziwy poeta! A to nie przypadek, że ze wsi<sup>25</sup>. Tam coraz częściej zaczynają tryskać nowe źródła naszej literatury.

Jeszcze jeden przykład, bo wszystko to są tylko przykłady; nie pokusiłbym się o szkic choćby, który miałby pretensję do wyczerpania nazwisk młodej chłopskiej literatury. Ale ten przykład wydaje mi się tu niezbędny.

Od razu trzeba powiedzieć: antypody Bąka. Autor „Brzemienia niebieskiego” to dojrzałość poetycka, wysokie wloty, skończoność formy. Marian Kubicki, autor „Chleba” i „Sosnowych słów” – to samouctwo, zalatujące często grafomanią. I odstraszący przykład działania atmosfery „oficjalnej” na zabłąkanego w mieście samouka chłopskiego,

---

odbitego w 150 egzemplarzach i uznanie go za zagrażający bezpieczeństwu publicznemu, nabiera specjalnego posmaku.

<sup>25</sup> Wojciech Bąk, jak się dowiedziałem później z jego listu, pochodzi z rodziny chłopskiej, ale już osiadłej w mieście w drugim pokoleniu. Artykuł pisany był na długo przed przyznaniem mu nagrody literackiej. (Przypisek późniejszy).

który przyłgnął do „urzędówek”. W jednym z wierszy taki *passus*: „Dla was jest brześcia mała, mała, wy plwający geszefciarze”... (Brześć przez małe „b”, nie jako imię własne, ale pospolite.)

Ten sam Kubicki jednak, gdy zapłacze nad swoim losem zagubionego wśród murów miejskich chłopca, gdy się w nim odezwie wieś, nakreśli przejmującą odę do siostry-sosny na placu Saskim.



## KAWIARNIANE CENZURKI

Opinie literackie wytwarzają się u nas częściej na podstawie notatek prasowych, recenzji, czy zasłyszanej apodyktycznej oceny niż przeczytania utworów, o których się opiniuje. Czy sprawia to nadmiar produkcji literackiej, uniemożliwiający tzw. kulturalnemu człowiekowi ogarnięcie jej całości, czy też może tempo czasów, w jakich żyjemy, bardziej sprzyja przzerwuceniu przy śniadaniu, lub przy półczarnej w kawiarni gazet i tygodników, niż czytaniu książek – dość, że coraz jest więcej w światku literackim ludzi, którzy mają w dyskusjach tę wyższość nad czytającymi książki, że nie czytają książek.

Jeśli jeszcze jakaś książka, czy to ze względu na głośne nazwisko autora, czy też na skutek starań zapobiegliwego wydawcy, doczekała się w porę recenzyjnego omówienia w prasie – opinia o niej wytwarza się na podstawie mniej, lub więcej uzasadnionego zaufania do nazwisk recenzentów albo pism. Wiadomo przynajmniej wtedy, gdzie są źródła. Gorzej, gdy ni stąd zowąd zacznie się upowszechniać opinia anonimowa.

Przyznanie nagrody Wojciechowi Bąkowi, uczyniło nagle głośnym nazwisko poety, który wprawdzie wydał drukiem tomik poezji, ale niezauważony przez krytykę oficjalną, czy też na tyle zbagatelizowany, że utonął w niepamięci. A tu wtem – Bąk *laureatus!* Wypada coś wiedzieć o Bąku, koniecznie coś trzeba wiedzieć o Bąku, żeby nie zostać poza nawiasem dyskusji. Przeczytać tomik? To wydawałoby się najprostsze, ale to wyszło ze zwyczaju. Wystarczy przecież nadstawić ucho i posłuchać, czy już nie ukuto jakiejś kawiarnianej cenzurki.

Kawiarnia zareagowała oczywiście na wyróżnienie Bąka niezadowoleniem. Co? Jakiś *homo novus*, o którym w ogóle dotąd się nie mówiło? Więc naprzód *bon mot*: jury nagrody strzeliło bąka. Świetny kalambur, prawda? Ale kalambur nie chwycił. Coś tam ci i owi zaczęli przebąkiwać (proszę w tym „przebąkiwaniu” nie dopatrywać się drugiego kalamburu!), że jednak ten Bąk to poeta dużej klasy. Kalamburem nie można go załatwić. Jakoś inaczej trzeba umniejszyć pozycję nieoczekiwanego laureata. Ktoś przyszedł z wiadomością, że jeden z wierszy w „Brzemieniu niebieskim” zadedykowany jest Tuwimowi. To wystarczyło. Opinia była gotowa: Bąk, to naśladowca Tuwima.

Wtem nowa trudność: ktoś inny dowiedział się na pewno, że w „Brzemieniu niebieskim” jest poemat o księdzu wikarym. Tak, tak, w „Wiadomościach Literackich” też można było to przeczytać w sprawozdaniu z przebiegu obrad jury. Poemat o wikarym – i Tuwim! Więc wprowadzono szybko poprawkę do gotowej już opinii: Bąk to zakrystian (dobre słówko, hę?), naśladowający w formie Tuwima.

Ta zwięzła formułka ma już wcale mocny kurs obiegowy na czarnej giełdzie literackiej, Kurs nienotowany oficjalnie, prywatny, ale właśnie dlatego mocny, że niepodlegający kontroli. A kontrola jest prosta. Wystarczy zapytać: „A czy pan czytał „Brzeźnię niebieskie”?” Jeśli otrzyma się odpowiedź: „Właściwie... to... nie czytałem, ale widywałem wiersze Bąka w czasopismach” – to wszystko jest już jasne.

Nie, nie mam tu zamiaru wojować z kursem czarnej giełdy i przeciwstawiać mu własną opinię. Po prostu agituję: czytajcie „Brzemień niebieskie” Bąka!

Aby się przekonać, jak dalece rzeczywistość poezji Bąka odstaje od zgryźliwej kawiarnianej formułki. Ale przede wszystkim – aby doznać wzruszeń obcowania z prawdziwą poezją.

Bo twórczość Bąka, to poezja, a nie pisanie wierszy. Dlatego próżno szukać jej rodowodów w nowoczesnej liryce, choćby tak wysokiej klasy, jak tuwimowska. Zjawisko literackie, z jakim mamy do czynienia w „Brzemieniu niebieskim” i jego znaczenie zasadza się na tym przede wszystkim, że oto znalazł się poeta, który przełamał w sobie sugestie asnykowsko-staffowską i nawiązał do górnej i chmurnej linii mickiewiczowskiej.

Bąk nie upaja się formą, nie olśniewa czytelnika eksperymentami rytmiki i wiązania słów. Choć formę ma znakomitą, czasami nawet wyszukaną i misterną – czytelnik tych ponęt formalnych prawie nie dostrzega, tak zdają mu się one naturalne. W poezji Bąka podbija przede wszystkim treść, której forma jest tylko funkcją. Nie podziw dla majsterstwa, ale wzruszenie odnajdywania w poezji głębokich przeżyć ludzkich jest istotą stosunku emocjonalnego czytelnika do twórczości młodego poety wielkopolskiego.

Bunt wobec potworności śmierci (wiersz „Jakże zgodzić się”), błaganie o zrozumienie pogodnej śmierci chrześcijańskiej („Śmierć chrześcijańska”), poczucie okrutnej samotności człowieka („Krzyk w pustce”), poszukiwanie i odnalezienie ukojenia w Bogu („Chrystus i owca”, „Poszukiwanie”, „Tłumacz śmieszny”), modlitwa o czyn, na wskroś nowoczesne pojęcie Polski „codziennej i koniecznej jak powietrze”, protest przeciw maszynie, oglupiającej człowieka i odcinającej go od przyrody („Bałwochwalczy XX-go wieku”) – wszystkie te sprawy wieczne i dzisiejsze zamyka Bąk w strofy pełne poetyckiego skupienia i sercem odczute.

Niedawno, na łamach „Prosto z Mostu”, zwracał uwagę Jerzy Andrzejewski na paradoksalne zjawisko, że nasza młoda literatura oderwana jest niemal całkowicie od tych dążeń, uczuć i pragnień, które cechują walczące o nową Polskę młode pokolenie. Bąk jest tego pokolenia krwią z krwi i kością z kości. W jego twórczości odnaleźć można to wszystko, czym młoda, idąca Polska żyje. Zagadnienia stosunku do Boga, stosunku do narodu (przepiękny wiersz, drukowany niedawno w „Pionie”: „Ojczyzna – syn”), stosunku do własnego „ja”, ujęte tak, jak je ujmuje dzisiejsze młode pokolenie czynią z tomiku wierszy Bąka coś znacznie więcej, niż wydarzenie literackie. Poprzez poezję Bąka mówi zbiorowość młodych, wysublimowana natchnieniem prawdziwego poety.

## WSI SPOKOJNA, WSI WESOŁA

Naprzód była w naszej literaturze wieś sielankowa. Pastyrze i pastyrki, rozśpiewani żniwiarze, dożynki. Potem wieś kolorowa. W łowickich pasiakach, w cyfrowanych portkach góralskich, z kółeczkami u pasa i pawimi piórami u czapki. Wreszcie wieś ponura, przefasonowana na brudno i czarno, jak było trzeba miejskim ciarachom dla epatowania sytych burżujów nędzologią. Ostatnio przybyła nowa odmiana: wieś czerwona, w poździe rewolucyjnych haseł, doktrynersko naciągnięta do potrzeb tzw. agitacji społecznej.

Wieś Wincentego Burka<sup>26</sup> nie jest ani sielankowa, ani kolorowa, ani ponura, ani czerwona. A raczej, jest po trosze i sielankowa, i ponura, i beztrosko kolorowa i podminowana rewolucyjnie. Jest po prostu – prawdziwa.

Przepowiadki burkowe o sandomierskim Ocinku mają dech epicki. Krótkie to opowiadki, wycinki z życia chłopskiego, złączone ze sobą wspólnością tła i osób tylko, a przecie wyłania się z nich obraz wsi pełniejszy, niż z niejednej powieści. Od pierwszych kart książki wiemy na pewno, że mamy do czynienia z urodzonym epikiem. Ten sam w „Drodze przez wieś” stosunek pisarski do materiału, co w „Placówce” Prusa, czy „Chłopach” Reymonta. Bezpośredniość obserwacji, a nie literackie przekomponowanie materiału z drugiej ręki. Szeroki obraz, a nie jakiś jeden odcinek, oświetlony reflektorem, aby inne pozostały w cieniu. Pasja obiektywizmu, a nie robota z myślą powziętą z góry.

W stosunku do swych wielkich poprzedników: Prusa i Reymonta, ma Burek przewagę punktu obserwacyjnego. Do czego tamci musieli dochodzić studiami nad wsią i intuicją, to Burek ma w sobie. W krwi długich ocińskich pokoleń chłopskich, w wspomnieniach z dzieciństwa, w przynależności do narodu chłopskiego. Zaś inteligencki czytelnik, który o życiu wsi tyle wie, co z lektury „Placówki” i „Chłopów”, opisujących wieś głęboko przedwojenną – w książce Burka pierwszy raz spotyka się z epickim obrazem wsi dzisiejszej.

A zmiany tam zaszły wielkie, które nie mogły pozostać bez wpływu na ukształtowanie się stosunków. Głębokie zmiany w strukturze gospodarczej. Naprzód komasacja, która zupełnie zmieniła oblicze wsi w tych okolicach, gdzie ją już przeprowadzono. Opisuje ją Burek w pierwszym opowiadaniu: „Kolenije na Ocinku”, Przewrót to przecież olbrzymi: ginie dawna wieś, szeregiem chałup obsiadła przy drodze i szachownicą pól otoczona, a powstają gospodarstwa scalone, wieś rozrzucona, „kolenije”, (Nazwa „kolonii” dla skomasowanego gospodarstwa chłopskiego, powszechna na wsi, wywodzi się chyba stąd, że koloniści niemieccy ten typ gospodarki stosowali).

Komasacja gruntów, która wobec chłopskiego przywiązania do swojej ziemi, choćby w spłachetki podzielonej, nie bez trudu, walk i oporu została przeprowadzona na

---

<sup>26</sup> Wincenty Burek: *Droga przez wieś*. Warszawa, 1935. Towarzystwo wydawnicze „Rój”,

Ocinku, otworzyła przed chłopem możliwości świetnego rozwoju gospodarstw Nie na długo jednak. Przyszedł kryzys, ów niepojęty dla chłopca „kryzys”, który wszystko przewrócił do góry nogami. Zaciągane w tłustych latach na rozbudowę gospodarki długi przydużyły chłopca nie do wytrzymania wobec spadku cen na płody rolnicze. A długi zaciągali wszyscy, potrzebnie i nie bardzo potrzebnie, taka była moda, U bogatszych gospodarzy na wsi, u chłopskich lichwiarzy, takich, jak opisany przez Burka „doktór” Kodrot, u Żydów. Gdy przyszło do oddawania, okazało się, że wbrew najsumienniejszym obliczeniom w chwili zaciągania długu – teraz oddać nie ma z czego. Jest takie zjawisko kryzysowe, które w języku ekonomicznym nazywa się mądrze i obrazowo: nożyce cen. Ceny rolnicze spadły, a przemysłowe nie chcą za nimi nadążyć. I pieniądz stoi jak mur: dumni przecież jesteśmy z trwałości naszego złotego, z owej znowu mądrze w języku ekonomicznym nazwanej deflacji.

Stach Płaza z Ocinka nic nie wie o tej tam deflacji, ale gdyby wiedział, toby ją scholerował. Bo przecież wie: przed paru laty pożyczył od Krysiny pieniądze. Krysina uchwalała wieprzka, sprzedała go i co dostała, pożyczyła Płazie. Potem Płaza wyhodował wieprzka, jeszcze większego, sprzedał i oddał pieniądze Krysynie. Dużo oddał? Odrobinę zaledwie, częściczkę zaledwie. A teraz chce jeszcze dodać dwie spaśne świny, aby była kwita. Ale Krysina ani słuchać nie chce. To nie wyjdzie tyle, ile wtedy pożyczyła. A pożyczyła pieniądze, nie wieprzka. Stach Płaza, choć znów nic nie wie o tym mądrym pojęciu ekonomicznym, jest zwolennikiem parytetu gospodarczego. Ale za Krysina stoi prawo deflacji...

I tak ze wszystkimi długami. A dopiero podatki! Z czego ma je płacić wyrobnik ociński, Pietrek Ćmolach, kiedy ma dwieście złotych rocznego dochodu i sześć gęb do wyżywienia? Zima, w chałupie ziąb, woda w misce zamarza, a przecie sekwestrator, zakuczniakiem w sandomierskich stronach nazywany, zafantował Pietrkowi ostatnią pierzynę i poduszki. Idzie Pietrek do miasta poskarżyć się panu naczelnikowi w urzędzie skarbowym na swoją krzywdę. Ale do pana naczelnika chodzą różne panky, łatwy tam przystęp sytym i niebiednym, gdzieżby zaś Pietrkowi Ćmolachowi! „Pan naczelnik dziś nie przyjmuje”.

Tak się co dzień nad Ocinkiem zagęszczają chmury krzywdy i biedy. I raz po raz wyładowują się w błyskawicach gniewu i buntu. Pokąd będzie to trwało? „Za psi piniondz oddać musis, coś za rok upracował”. Więc – chłopski strajk! Ani ziarnka do miasta! Nic na jarmark! Niech se ta w mieście nie jedzą! Ale na długo uda się taki strajk przeprowadzić? Wiadomo, ludzie nie wytrzymają, tak jak ten Stasiuk Sijniaguła, który strajk ociński złamał.

Za parę miesięcy znowu – wojna z zakuczniakiem, który w sam robotny czas przyjechał do wsi fantować dobytek za podatki. Zakuczniak – to widomy obraz chłopskiej nędzy w najurodzajniejszych stronach Polski, nędzy wśród sandomierskiego czarnoziemiu...

Bo Ocinek z książki Burka, to przecież wieś zasobna; kułacka, jakby powiedzieli panowie marksiści. Chłopy tam mają morgów sporo i biedy przed wojną nie uświadczyli.

A teraz ich bieda dusi i gnębi. Cóż dopiero mówić o chłopie na mazurskich piachach lub na spłachetku ziemi w środkowej Małopolsce...

Posępny obraz wyglądałby z książki Burka, gdyby tym wszystkim materialnym zgryzotom nie przeciwstawił autor siły chłopskiego wytrwania, co potrafi zmóc i choroby, i nieurodzaj, i pożar, i dzisiejsze pieskie czasy. Da się to biedzie taki siwy Kaźmirz z Ocinka, który przy podziale komasacyjnym gruntów, dostał nieużytki i rozpadliny w Roleńskim Dole i sam jeden je uprawił, dwa lata dół zasypując, aż zbożem zasiał? Zmogą to przeciwności wieś, która wyda je takich chłopów, jak Marcin Krysa, co umierał ze skibą ziemi w rękach? Albo tych braci Sochów, co w kawalerstwie wytrwali, bo im poręczniej było wspólnie gospodarować na ojcowiznie?

A kiedy już bieda zanadto dogryzie ociniakom, kiedy ich zniszczyć będzie chciała – o, to chłopaki tamtejsze mają ręce twarde nie tylko do pracy, ale i do bitki. Potrafili dać bobu Łukowiakom, którzy się zanadto na zabawie ocińskiej przy muzyce rządzi, to jak przyjdzie czas, i o chłopskie prawo, razem z tymi Łukowiakami, walczyć potrafią. Bo taki czas przyjdzie. Jest nawet już niedaleko, tylko się po miastach o tym nic nie wie.

Prawda chłopskiej biedy i poniewierki dzisiejszej, wyzieraająca z kart książki Burka, nie kokietuje czytelnika skamleniem i biadoleniem. Ta książka, na przekór swej treści, aż bucha optymizmem siły chłopskiej. Gdzie kryje się ten optymizm, odczuwalny cały czas przez czytelnika, trudno nawet określić. Może w budowie zdań, może w jędrności języka, może w poczuciu dawności kulturalnej, które autor z dumą nosi w piersiach. Nie byle co – Ocinek. Od króla Łokietka już na pańskie nie chodzi, pańszczyzny nie znał, chłopcy tam honorne, prosto się noszą, z głową do góry.

W tym wolnym od pańszczyzny rodowodzie Ociniaków szukać zapewne również trzeba wytłumaczenia fenomenu artystycznego, jakim jest książka Burka. Zadufały w sobie potomki kultury szlacheckiej, próżno by chciał dogrzebywać się w tej książce „młodszości kulturalnej”. Nie znajdzie także inteligenckiego zac zadzenia, któremu tak łatwo ulegali do niedawna i jeszcze teraz ulegają nieraz synowie chłopscy na studiach po miastach. Ani krzyku protestu świeżo wyrwanej z niewoli społecznej warstwy, tak charakterystycznego dla młodej twórczości chłopskiej. Jest natomiast dumne poczucie własnej wartości, które przydaje książce epickiego spokoju.

Obrazki ze wsi Burka nic nie mają wspólnego z modnym dziś rodzajem reportażowym. To utwory zdumiewające swą dojrzałością artystyczną i kompozycją, przetrwaniem zarówno treści, jak i formy. Opowiadanie Burka z rzadka tylko spiętrza się w dramat, ukazując możliwości pisarza w tym kierunku; przeważnie nie wychodzi z celowo pomyślanych form epickiej narracji. Mało które z tych opowiadań można by nazwać nowelą. Burek unika zamykania części wielkiej gawędy klamrami efektów. Nieraz opowiadanie urywa się, jakby nożem uciął. Czuje się za nim ciąg dalszy. Te obrazki wiejskie zdają się być (podobnie jak „Ludzie stamtąd” Dąbrowskiej w stosunku do „Nocy i dni”) jakby wprawką, jakby przygotowaniem do epepei w wielkim stylu, której chyba trzeba będzie teraz od Burka oczekiwać.

Wszystkie dane po temu ma: bo i coś do powiedzenia i opanowanie rzemiosła pisarskiego. Bogactwo jego języka, dla nas, z naszym wyszarzałem i zubożeniem słownictwem miejskim, jest czymś wprost oszołamiającym: i tam, gdzie Burek w dialogach stosuje gwarę autentyczną (nie zawsze może szczęśliwie w transkrypcji fonetycznej), i tam, gdzie gwarę w opisach stylizuje, nie przesadzając w szpikowaniu zdań słowami gwarowymi, co się nawet przytrafiało Tetmajerowi, gdy do naszego języka literackiego wprowadził góralszczyznę.

Piękno gwary sandomierskiej, przetworzonej artystycznie przez Burka, jest tak sugestywne, że aż można się obawiać, czy ta skromna książka nie wywoła takiej mody na sandomierszczyznę, jaka była kiedyś w naszej literaturze na góralszczyznę. Obawiać się oczywiście można tylko mody i kiepskich naśladowców, a nie wchłonięcia nowoodkrytych literacko zasobów polszczyzny. Ale kiepscy naśladowcy chyba nie grożą; Burek nie wchodzi z Sandomierskiego w literaturę w pojedynkę. Jest już ich cała grupa tych pisarzy-sandomierzaków: Młodożeniec, Koseła, Burek – to najpierwsze nazwiska.

---

Rzuciłem okiem na to, co napisałem o „Drodze przez wieś”, i widzę, że dawno już chyba nie napisałem recenzji równie entuzjastycznej i równie bezzastrzeżeniowej. Ale urzekła mnie ta książka, choć ją przecież znał przedtem w fragmentach (drukowanych w „Prosto z Mostu” i dodatku literackim „ABC”). Nie, nie mam najmniejszej wątpliwości:

– Wielki talent objawił się w młodej literaturze polskiej.

## BEZSPORNE I SPORNE

Przeczytałem „Pawie pióra” Kruczkowskiego. Żeby napisać o tej książce recenzję. Ale z Kruczkowskim już tak jest, że recenzji *stricte sensu* o jego utworach beletrystycznych pisać nie sposób. Czytelnika uderzają bowiem nie artystyczne osiągnięcia prozy autora „Kordiana i chama”, nie malowidło obyczajowe nawet, ani tym bardziej fabuła powieściowa – ale przede wszystkim postawa ideowa pisarza, jego żelazna konsekwencja w dialektycznym rozbijaniu tezy naczelnej i przejawiająca się na każdej stronnicy potrzeba działania pisarskiego, agitowania, przekonywania, zdobywania.

Nie znaczy to, broń Boże, aby czysto artystyczne wartości beletrystyki Kruczkowskiego były nikle. Przeciwnie. Trzeba nie lada jakiego majsterstwa pisarskiego, aby tak, jak Kruczkowski, pozwolić sobie na luksus niemal całkowitego wyrzeczenia się tzw. intrygi powieściowej, zrezygnowania z kokietowania czytelników romansowymi przygodami bohaterów, ograniczenia się do zwięzłej, lapidarnej charakterystyki osób i surowej wymowy prostych zdarzeń – a pomimo to utrzymać uwagę czytającego w napięciu od początku do końca. Bohaterami powieści Kruczkowskiego są konflikty społeczne. Mechanizm ich działania umie nakreślić Kruczkowski z taką precyzją logiczną, tak dopasować wszystkie kółka, a zarazem tchnąć w tę konstrukcję tyle prawdy obyczajowej i życiowej, że zdobywa czytelnika od razu. Ale tylko w tych partiach powieści, gdzie potrafi swe tezy uzasadniać wymową faktów. Tam bowiem, gdzie mu już możliwości operowania faktami nie staje, gdzie próbuje swe konstrukcje ideowe dosztukowywać dialektyką dyskusji, gadaniem o sprawach i dowodzeniem spraw, dla których nie udało mu się znaleźć wyrazu bezpośredniego w sytuacjach powieściowych – tam już czytelnik zakłada swoje *veto*. Przepraszam bardzo! Na wiarę tego przyjmować nie mam zamiaru. Jak dyskusja, to dyskusja. Możemy podyskutować,

W ten sposób sam autor (choć bez świadomej intencji) dzieli swój materiał powieściowy na bezsporny i sporny.

Bezsporne jest wszystko to, co potrafił przekonująco przedstawić czytelnikowi jako rzeczywistość, udokumentować prawdą rysunku psychologicznego postaci, wyprowadzić logicznie z tła historycznego. I na nic tu się nie zdadzą zarzuty szperaczy, którzy udowadniają Kruczkowskiemu przekomponowania i odstępstwa od materiałów historycznych, na jakich się opierał. Prawdziwy Deczyński, ten z pamiętnika, a nie z powieści „Kordian i cham”, poszedł do powstania. Tak postąpiła jednostka, nosząca nazwisko Deczyński, Ale Deczyński-typ, Deczyński- przedstawiciel warstwy chłopskiej, ten Deczyński z „Kordiana i chama”, który jest – jakże trafną! – ilustracją wydobytej przez Kruczkowskiego z obsłonek prawdy, że w Polsce powstania listopadowego był naród szlachecki, dla którego słowo ojczyzna stanowiło wartość istotną, i naród chłopski, zakuty w dyby pańszczyzny, któremu Polska była tylko macochą – ten Deczyński od macochy, mógł postąpić tak właśnie, jak w powieści Kruczkowskiego. To samo w „Pawich piórach”. I tu są duże odstępstwa od pamiętników chłopskich, z których Kruczkowski korzystał. Ale

kompozycja Kruczkowskiego daje rzeczywistość bardziej typową, a więc bardziej prawdopodobną, od wyjątkowej rzeczywistości pamiętnikarskiej.

„Pawie pióra” malują wieś małopolską w okresie poprzedzającym wielką wojnę. Niema już pańszczyzny, która przygniatała Deczyńskich. Ale wśród uwłaszczonych chłopów zaczynają się rysować nowe różnice społeczne. Jak tematem „Kordiana i chama” był konflikt szlachecko-chłopski, tak w „Pawich piórach” mamy konflikt kułacko-chłopski. Rozmyślnie użyłem tu rosyjskiego terminu „kułak”, bo na koncepcji powieści niewątpliwie zaciężyły pewne sugestie sowieckie; w istocie rzeczy, u nas, w naszej strukturze społecznej, zwłaszcza zaś w strukturze wsi małopolskiej – typ kułaka nie istniał. Ale też Kruczkowski zbyt lubi być w zgodzie z rzeczywistością, aby miał tę analogię naciągać. Konflikt gospodarzy i biedoty wiejskiej, konflikt o gromadzkie pastwisko, które rada gminna, złożona z wioskowych tuzów postanawia rozparcelować pomiędzy siebie z krzywdą komorników, ma tu nie tyle charakter starcia interesów dwu warstw społecznych, ile uwydatnia inne zjawisko gospodarcze: przesiąknięcia uwłaszczonych chłopów kapitalistycznym poglądem na cele produkcji.

Jest w powieści charakterystyczny moment, kiedy biedota wiejska broni geometrom rozmierzenia wspólnego pastwiska na parcelację, a pan pisarz gminny Płonka taką oto Grację trzyma do wzburzonego tłumu:

– Pragnąłbym wam, ludzie kochani, wytłumaczyć, iż rada gminna, uchwalając sprzedaż tego obszaru, pastwiskiem wspólnym dotąd będącego, miała na widoku intencję **ulepszenia gospodarki**, rozumniejszego wykorzystania tego sporego kęsa ziemi, który – przecie to każdy zrozumieć powinien – znajdował się ostatnimi laty w stanie zupełnego zaniedbania! W pospólnym użytkowaniu obszar ten zamienił się w pustać leżącą odłogiem, na której nawet bydło ledwie co miało do żarcia! W rękach troskliwych gospodarzy te grunta, dziś marnotrawione, obrócą się w zagony urodzajne, w niwy orne, w łąki dobrze urządzone – przez co **pomnoży się bogactwo kraju**, postąpi naprzód wzmocnienie naszego stanu rolniczego!  
(Podkreślenie moje)

Otóż to! Ulepszenie gospodarki i pomnożenie bogactwa kraju! Znamy już dziś dobrze istotny sens tych pojęć: interes produkcji. Produkcja, jak najintensywniejsza produkcja jako cel sam w sobie. Cel zbożny i szlachetny, bo pomnaża bogactwo kraju. Na tej fikcji „bogactwa kraju”, w którą jedni, jak na ten przykład *simplex servus Dei*<sup>27</sup> pisarz Płonka, uwierzyli naprawdę, a inni zrobili sobie z niej wygodny płaszczyk dla wyzysku i pogłębienia różnic społecznych, na tej fikcji, popularyzowanej przez pozytywistów, wyrósł dzisiejszy absurd ustroju gospodarczego, nastawionego wyłącznie na zwielokrotnianie tempa produkcji. Tej produkcji, która zamiast służyć zaspakajaniu potrzeb i potrzeby ludzkie mieć przede wszystkim na względzie, stworzyła sobie fikcję

---

<sup>27</sup> [łac.] Prosty sługa Boży [redakcja]



wzbogacania kraju kosztem nędzy ludności, choćby jak w tych Wierzchowicach z „Pawich piór”, kosztem wyzucia biedoty z pastwiska, gdzie wypasały się nędzarskie krowiny.

W tym stwierdzeniu, w pokazaniu tej prawdy jest zgoda z Kruczkowskim. Tak, gospodarzę na świecie trzeba przestawić na inne szyny: nie produkcja ma być celem, ale człowiek i jego potrzeby.

Spór natomiast zacznie się w tym miejscu, gdzie Kruczkowski, już nie budując przekonywających przykładów rzeczywistości, próbuje rozwiązywać zagadnienia doktrynerską dyskusją. Kiedy zamiast sprawy po prostu: człowieka, stawia fikcję klasowej solidarności proletariusza miejskiego i wiejskiego, niczym istnienia takiej solidarności nie ilustrując, każąc nam ją przyjmować na wiarę (marksowską). I kiedy stają nam przed oczyma doświadczenia, jakich próby realizacji tej doktryny dostarczają nam za wschodnią granicą, gdzie proletariusz miejski narzuca chłopu swój mechaniczny punkt widzenia, swój przejęty od burżuazji kult fabryki, będący niczym innym, jak namiastką kultu produkcji, tyle, że upaństwowionej. Świat jako wielka fabryka, fabryka przemysłowa i fabryka rolnicza. Zracjonalizowana produkcja i jej niewolnicy. Sprawiedliwość rozdziału dochodu społecznego, osiągnięta kosztem zmechanizowania człowieka, zapomnienia o tym, że potrzeby ludzkie nie wyczerpują się w potrzebach materialnych i wolnym czasie na rozrywki umysłowe i fizyczne. Że istotną cechą człowieczeństwa stanowi potrzeba wyładowania instynktu twórczości w pracy, instynktu mocno już zagłuszonego w zmechanizowanym człowieku miejskim, ale żywego w każdym człowieku wiejskim. Człowieka wsi przyroda ciągle uczy, że wartością życia jest różnorodność, a nie szablonizacja.

To są sprawy dyskusyjne, które wypływają z książki Kruczkowskiego. Ale są i pewne kwestie oczywiste, które mocnej zazwyczaj logice i konsekwencji myślowej autora „Pawich piór” wytknąć wypadnie z punktu widzenia własnych jego założeń. Kiedy się już daje w powieści przeciwstawienie nędzy proletariatu i wyzysku kapitalistycznego, nie wypada się roztkliwiać nad dobrym lichwiarzem, choćby ten lichwiarz nazywał się Mendel Ferber i był Żydem, i choćby w ten sposób chciało się odsunąć groźne dla każdego marksisty podejrzenia o antysemityzm. Zgoda, że lichwiarz żydowski i lichwiarz chrześcijański – to jeden diabeł, jak słusznie gdzieindziej zaznacza Kruczkowski, ale trudno zrozumieć, dlaczego wprowadzenie jednej ujemnej postaci żydowskiej (agenta werbunkowego „na Saksy”) pociąga za sobą automatycznie konieczność rozczulania się nad Mendlem, który od biedaczki Madejki wyciąga ostatni grosz (procentu od pożyczki) za sprzedaną krowę.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga. Kruczkowski nie jest pisarzem typu artystowskiego, sobie piszącym, a muzom. Ma ambicję, aby każda jego książka była zarazem czynem społeczno-politycznym. Otóż „Pawim piórom” nie sposób odmówić dziewięćdziesięcioprocentowej wierności ideologii, którą autor wyznaje. Natomiast nie wydaje się być Kruczkowski równie dobrym taktykiem, jak teoretykiem. Przedstawione w „Pawich piórach” grzechy i grzeszki politykierów ludowcowych starego typu, prawdziwe są od a do zet. I sądzić również można, że w trzecim tomie tej ideowej trylogii,

której „Kordian i cham” oraz „Pawie pióra” stanowią dwie części pierwsze, znajdzie się przeciwstawienie dzisiejszej młodej, wojującej wsi owym ugłaskany przywódcom ruchu chłopskiego. Na razie jednak tom trzeci jest w projekcie tylko. Na półkach zaś księgarskich znajdują się same „Pawie pióra”. Czy książka ta, bez dalszego ciągu, nie stanie się, mimo chęci autora – jeszcze jednym argumentem antychłopskim? Czy jeszcze bardziej nie zabigdzi pojęcia o wsi u powierzchownego czytelnika?

## OFENSYWA JEDNOLITEGO FRONTU

Trzy czasopisma literackie „jednolitego frontu” a mianowicie: „Lewar”, „Po prostu” i „Nowa Wieś” zamieściły w ostatnim czasie artykuły i notatki, atakujące mniej lub bardziej wybredną frazeologią „agitkową” nasze „Prosto z Mostu”. Jednocześnie kierunku ataku i współdzwięczność argumentów zdają się wskazywać, że rzecz odbywa się według pewnego planu strategicznego. Pora zatem rozpocząć kontrofensywę.

Różnie ona musi wyglądać na różnych odcinkach ataku; w zależności od poziomu argumentacji polemistów; *suum cuique*<sup>28</sup>. Z największą ochotą wychodzi się na ten odcinek, gdzie u przeciwników spotkać się można z próbą dyskusji poważnej i rzeczowej. O taką wielką dyskusję, dyskusję pomiędzy obozem radykalizmu dekoncentracji gospodarczej, a obozem radykalizmu kolektywistycznego, chodziło nam od pierwszych numerów „Prosto z Mostu”. Wydaje się nam nawet, że potrafiliśmy do tej dyskusji wprowadzić nowy ton. Za punkt wyjścia wzięliśmy po prostu, że po tamtej stronie, u przeciwników, nie brak ludzi, którzy tak samo szczerze wierzą w swój program, jak my wierzymy w swój. Że tak samo wielu z nich, jak nam, zależy uczciwie na przebudowie ustroju społecznego, na walce z wyzyskiem kapitału o sprawiedliwość społeczną, tylko osiągnięcie celu widzimy na innych drogach. Że absurdem byłoby uważać, iż wszyscy ci, których nazywa się kolektywistami, komunistami czy marksistami, którzy za swe przekonania i działalność ryzykują długie lata więzienia – to po prostu sami „agenci na żołdzie bolszewizmu”.

Stąd zaś wniosek, że jeśli się szczerze pragnie przebudowy społecznej, jeśli ma się jej wizję i chce się o tę wizję walczyć, to trzeba tę walkę umieć stoczyć nie tylko w próbie sił, ale i w próbie argumentów. Myślę, że argumenty naszej koncepcji, koncepcji zapewnienia człowiekowi sprawiedliwego zaspokojenia potrzeb nie tylko materialnych, ale i duchowych, są bardziej nowoczesne i twórcze od przestarzałej, jednostronnej i niewytrzymującej próby życia doktryny Marksa. Marksistowska krytyka kapitalizmu (dopełniona przez Sombarta) po dziś dzień w niejednej ze swych analiz nie straciła nic na aktualności; natomiast wszystko, co w marksizmie miało być pozytywne, miało zbudować nowy ustrój, jest po prostu starym, zjełczałym kapitalizmem, tyle tylko, że w skali państwowej.

Ten punkt sporu jest najistotniejszy. Nie dziwota więc, że najbardziej porusza zaślepieńców marksizmu. Składa się zaś tak szczęśliwie, że ta właśnie sprawa podniesiona została w artykule Wł. Raduskiego pt. „W tych chwytach jest metoda” („Lewar” nr 10), jedynym artykule, usposabiającym swym poziomem do poważnej dyskusji. Nie bez tego oczywiście, aby Raduski nie zrobił sobie na wstępie taniej przyjemności. To, że kiedyś zaniechałem polemiki z jego artykułem, częściowo skonfiskowanym, nie chcąc korzystać z *handicap'u*, jaki dawałoby mi przedostanie się do

---

<sup>28</sup> [łac.] Każdemu co mu się należy. [redakcja]

wiadomości publicznej nie wszystkich argumentów przeciwnika i ograniczyłem się do naszkicowania swojej tezy – nazywa Raduski „strzelaniem z za pleców cenzora”. Wł. Raduski jest, o ile się nie mylę, stałym czytelnikiem „Prosto z Mostu” i widuje białe plamy na jego łamach. Tak wygląda nasze strzelanie „z za pleców”. Po co więc ta wolta polemiczna, w którą się samemu nie wierzy?

Mniejsza z tym jednak. Ważniejsze są argumenty, jakimi Raduski stara się zbić twierdzenie, że komunizm w praktyce, czyli ustrój sowiecki niczym się nie różni od kapitalizmu państwowego. Dowodzenie Raduskiego, obracające się zresztą w ramach popularnego wykładu dobrze znanych tez marksizmu, brzmi następująco:

*„Produkt dodatkowy, zawłaszczany dziś przez kapitalistów jako zysk, w ustroju socjalistycznym obracany jest na rozbudowę gospodarki, służącej całej ludności, całemu bezklasowemu społeczeństwu. Czynnikiem decydującym o kierunku rozwoju i rozmiarach produkcji poszczególnych gałęzi przemysłu i rolnictwa, nie jest zysk, lecz potrzeby tego bezklasowego społeczeństwa. Niema w ustroju socjalistycznym „produkcji dla produkcji” (jak to nazywa St. Piasecki), tzn. produkcji dla zysku, a jest tylko produkcja dla zaspokojenia potrzeb, produkcja dla człowieka”.*

Tak wygląda teoria. A praktyka? Niech odpowie za mnie... dyktator Rosji sowieckiej, Stalin, którego słowa cytował niedawno Jerzy Kuncewicz w artykule „Sowiecki kapitalizm państwowy” („Prosto z Mostu” nr 40):

*„Sprawa rentowności naszych przedsiębiorstw państwowych i kooperatyw ma wielkie znaczenie, gdyż my jesteśmy krajem ubogim w kapitały i nie otrzymujemy żadnych pożyczek z zagranicy. W 1923/24 r. przemysł państwowy dał **zysku** 142.000.000 rubli, z czego około 71.000.000 przelano do kas państwowych. W 1924/25 r. **zyski** wzrosły do sumy 315.000.000 rubli, z czego 173.000.000 rubli otrzymało państwo, czyli 54% **zysku** zostało przelane skarbowi. Według obliczeń Komisariatu Finansów, banki przyniosły w 1923/24 r. 46.6000.000 rubli, z czego 14.000.000 rubli otrzymało państwo. W 1924/25 r, było **dochodu** 97.000.000 rubli, z czego 51.000.000 rubli przelano do skarbu”. (Podkreślenie moje).*

Rentowność... zyski... banki... dochód... Czy prezes rady nadzorczej wielkiego koncernu kapitalistycznego przemawiałby inaczej? I czy, gdyby wszędzie tam, gdzie mowa o zysku przelany do kasy skarbu, podstawić słowo „podatek” – nie mogłaby ta mowa być wygłoszona w każdym państwie kapitalistycznym?

Wiem, wiem, co mi na to odpowie Raduski:

*„Przejście od kapitalizmu do socjalizmu nie odbywa się bezpośrednio – konieczny jest **okres przejściowy**, okres dyktatury proletariatu i budownictwa*

*socjalistycznego, okres, w którym istnieją jeszcze klasy społeczne, w którym istnieje jeszcze **częściowo** kapitalistyczny zysk i wyzysk". (Podkreślenie moje).*

Mam jednak poważne obawy, czy w praktyce ten „okres przejściowy” nie musi stać się właśnie czymś stałym i trwałym. Gdy się przejęło formy gospodarki kapitalistycznej nie sposób wyrzucić tego, co jest sprężyną tego typu gospodarki koncentracyjnej: zasady rentowności. I ta właśnie zasada rentowności, podstawa produkcyjizmu, będzie rządzić ustrojem, a nie teoretyczna zasada zaspakajania potrzeb społeczeństwa.

Przypuśćmy np., że w Sowietach kosztem olbrzymich wysiłków rozbudowano na wielką skalę przemysł zapałczany. Stoją już wielkie fabryki, zatrudniające tysiące robotników, zakłady zaczynają się opłacać i nagle do szefa trustu zapałczanego zjawia się człowiek, który wynalazł wieczną zapałkę. Czy sowiecki dyrektor postąpi inaczej niż Krüger? Czy nie unieszkodliwi wynalazku, który wprowadzie ułatwiłby zaspakajanie potrzeb ludności, ale równocześnie uczyniłby bezwartościowymi wielkie fabryki i wywołałby przez bezrobocie robotników zapałczanych, wielki wstrząs w całej gospodarce przemysłowej państwa?

Machina produkcyjizmu, wszystko jedno czy w prywatnych rękach, czy sowieckich, działa nieubłaganie według tych samych praw kapitalistycznych. Jeśli się chce znieść niewolę kapitalistyczną, nie wystarczy przejąć produkcję przez państwo. Trzeba zmienić jej charakter, odkapitalizować ją drogą dekoncentracji. Propagowanie tej właśnie tezy wzięło sobie za zadanie „Prosto z Mostu”.

Ale oczywiście, redaktorzy czasopisma „Po prostu”, które niedawno zaczęło wychodzić w Wilnie, wiedzą lepiej, jakie jest nasze zadanie. W ostatnim numerze (4) znaleźć można pod tym względem wyczerpujące informacje. Redakcja przedrukowała wyjątki z mego artykułu „Taka sobie czytanka” i zaopatrzyła je poniższym komentarzem:

*„Ostatni artykuł Piaseckiego różni się znacznie tonem i charakterem od poprzednich jego wynurzeń. Różnice te wynikają z pełnej wewnętrznych sprzeczności sytuacji i funkcji socjalnej tygodnika „Prosto z Mostu”. Ten zresztą na dość wysokim poziomie literackim redagowany organ młodonarodowców spełnia funkcje przechwytywania i wekslowania radykalizujących nastrojów szerokich warstw polskiego drobnomieszczaństwa na tory nieszkodliwe dla istniejącego dziś ustroju (!). Ta funkcja ideologiczna „Prosto z Mostu” w ciekawy sposób została zdemaskowana (!) w polemice Władysława Raduskiego w „Lewarze” Nr. 9 „Fatszywe chwytły” i Nr. 10 „W tych chwytach jest metoda”. Spełniając określoną funkcję socjalną, „Prosto z Mostu” musi jednakże wyrażać i wyraża częstokroć szczerze ideologiczne wahania drobnomieszczaństwa i jego antykapitalistyczne nastroje. Taki charakter nosi i omawiany artykuł Piaseckiego”.*

Gdybym chciał metodą i stylem redakcji „Po prostu” określić „funkcję ideologiczną” tego czasopisma, musiałbym napisać coś w tym rodzaju: „Komunizujące czasopismo

„Poprostu”, redagowane na dość wysokim poziomie, spełnia funkcje przechwytywania i wekslowania radykalizujących nastrojów społeczeństwa na tory komunistyczne. Służy ku temu m.in. nazwa czasopisma, fonetycznie i pojęciowo podobna do nazwy tygodnika „Prosto z Mostu”. W stylu czasopisma „Po prostu”, pomimo, że zdaje się ono zdradzać pewne szczerze tendencje rewizjonistyczne w stosunku do marksizmu, dostrzec można znacznie więcej zgrywania się na proletariackość i „demaskowanie” drobnomieszczactwa, niż w prawowiernym „Lewarze”. Ta wewnętrzna sprzeczność wpływa stąd, że redaktor „Po prostu” Henryk Dembiński był jeszcze przed kilku laty działaczem katolickim, musi więc jaskrawiej zaznaczać swoją przynależność do jednolitego frontu, niż starzy marksiści z „Lewara”.

Tak by mniej więcej wyglądała odpowiedź, gdyby się chciało ją utrzymać w tonie, w jakim o nas pisze „Po prostu”. Ale to tylko – gdyby.

Bo oczywiście nie podejrzewam redakcji „Po prostu” o świadome splagiowanie nazwy naszego tygodnika. To raczej przypadek czy wpływ. Mimo niesympatycznego zgrywania się młodej redakcji, wierzę w szczerą jej intencję. Może jeszcze i z tym pismem będzie można kiedyś podyskutować – na innym poziomie.

Natomiast trudno uwierzyć w szczerą intencję redaktorów miesięcznika „Nowa Wieś”, który jest produktem zgleichschaltowania<sup>29</sup> marksistowskiego dawnej „Wsi i jej pieśni”. W ostatnim numerze tego pisma (4) ukazały się dwa artykuły: „Jedna jest droga przez wieś” i „Pół żartem, pół serio”, pod którymi nie bez zdumienia wyczytałem nazwiska Antoniego Olchy i Mariana Czuchnowskiego.

Znam wcale dobrze twórczość publicystyczną i poetycką Olchy, jego język, styl i słownictwo. Ale nie trzeba nawet bliższej znajomości: wystarczy porównać artykuł Olchy „Oblicze żywej Naprawy”, drukowany w numerze 13-tym „Prosto z Mostu”, z artykułem „Jedna jest droga przez wieś”, drukowanym teraz w „Nowej Wsi” i podpisanym również przez Olchę, aby się zdumieć; to chyba nie ten sam człowiek pisał. Zamiast dawnego jędrnego, żywego, dosadnego – i co tu dużo gadać – świetnego języka rodem ze wsi, jakiś fatalny żargon agitacyjny, bezosobisty, płaski, mieszcuchowski, naszpikowany słówkami, w rodzaju „agitka”, „kontra” itd. Zamiast dawnej świeżości myśli – tępa frazeologia marksistowska, insynuacje, inwektywy, chwytły spod ciemnej gwiazdy. Czyżby młody, niedoświadczony pisarz użył swego nazwiska artykułowi, pisanemu przez kogoś innego? Czyżby tam tak się przez kilka miesięcy spłycił i zbanalizował? Ta zagadka psychologiczna nie przestanie mnie interesować.

Artykuł poświęcony jest krytyce książki Burka „Droga przez wieś” i atakowi na „niepowołanych opiekunów” młodych talentów chłopskich. Oto, jak się okazuje z

---

<sup>29</sup> Zsynchronizowania, scalenia. Od niemieckiego gleichschaltung – synchronizacja. W nazistowskiej terminologii oznaczało ono proces ujednoczenia życia społecznego i politycznego. Hasło stało się popularne po wyjściu tzw. ustawy gleichschaltującej z 1933 r., powstałej z inicjatywy Franza Gürtnera. Jej celem było zniesienie niezależności krajów związkowych III Rzeszy. [redakcja]

artykułu, podpisanego nazwiskiem Olchy, „mafia księżo-pańska” stara się posterować nowymi siłami inteligencji ludowej „w ślepy zaułek wstecznicstwa” i dlatego każe „najteńszym swoim głowom pracować na chłopskim froncie” oraz „za wszelką cenę wciągnąć w swoje szeregi synów chłopskich”. Ofiarą tej niecnej intrygi padł Burek:

*„Burek jest jednym z tych synów chłopskich, na którym również tragicznie zaciężyła „łaskawa” łapa mieszczańskiej krytyki. Bardzo zdolny syn chłopski, nie ustrzegł się, niestety, przed wypaczeniem chłopskiej rzeczywistości... Burek zręcznie próbuje naciągnąć rzeczywistość do zachowawczej i przez to samo wstecznej ideologii”.*

I dalej:

*„Osobiście uważam, że byłoby dużą szkodą, gdyby Wincenty Burek, pomimo, że jest dopiero początkującym pisarzem, ale bezpośredni duży talent artystyczny i syn chłopski (Boże, co za język! – przyp. mój), uległ łatwej pokusie „jedwabnego życia” po redakcjach pism mieszczańskich, dając się im sprowadzić na manowce powierzchownego pisarstwa, za cenę rzekomo „łatwego żywota”. Opieka, jaką roztoczyły nad nim mieszczańskie sfery literackie, jest niebezpieczna dla dalszego rozwoju Burka, który po udanym debiucie, otrząsnąwszy się z nalotów połączanego światopoglądu różnych redaktorów, czerpiących duże zyski z eksploatacji nieświadomionych klasowo pisarzy – powinien raz jeszcze obejrzyć swoją drogę przez wieś...” itd.*

Prawie wszystkie nowele, wchodzące do książki „Droga przez wieś” drukował Burek w dawnym dodatku literackim „ABC” i w „Prosto z Mostu”. Ja więc jestem tym redaktorem z „połączanym światopoglądem”, który czerpał „duże zyski” z eksploatacji nieświadomego Burka, i kuśił go jedwabnym życiem. Strasznie być tak zdemaskowanym! Ale klnę się na brodę Marksa, że to nie moja wina. Namówił mnie do opiekowania się chłopskimi literatami współtowarzysz Olchy z „Nowej Wsi” sam Marian Czuchnowski. Oto przesyłając mi przed rokiem egzemplarz gęsto przez cenzurę poznaczonego białymi plamami poematu swego „Trudny zyciorys” (z którego fragment drukowałem w dodatku literackim „ABC”), taką wypisał *manu propria*<sup>30</sup> dedykację:

*„Odważnemu pisarzowi, Stanisławowi Piaseckiemu, polecam poemat, cenzurę i wieś – składając je w pewne ręce.*

*Łużna, 8.IX, 1934.  
Marian Czuchnowski”*

Niech więc Olcha o te „duże zyski” czerpane z eksploatacji chłopskich poematów i wsi ma pretensje do Czuchnowskiego. Z jego to stało się poręki. A swoją drogą wątpię, czy

---

<sup>30</sup> [łac.] Własną ręką. [redakcja]

za te „zyski”, można by kupić choćby... kułackie gospodarstwo Czuchnowskiego w Łużnej. Równałoby się to zapisaniu na hipotece w Łużnej długów „Prosto z Mostu”.

Żart na bok. Sprawa jest poważna. Jeśli trzeba tu wystąpić z całą bezwzględnością to dlatego, że dość już tego spryciarstwa niektórych czerwonych literatów chłopskich, tego zabiegania cichcem o względy „mieszczańskiej” krytyki i ataków furii, gdy krytyka podniesie rzetelne walory artystyczne konkurentów, dość obnoszenia się z męczennictwem więziennym po kilkumiesięcznym posiedzeniu w ciupie, gdy inni siedzą latami.

W tymże samym numerze „Nowej Wsi” Marian Czuchnowski w artykule „Pół żartem, pół serio” atakuje artykuł Wojciecha Skuzy „Chłopi idą wprost, literatura bokiem”, zamieszczony w „Prosto z Mostu”. O co? Nie bardzo można wymiarkować z powodzi frazesów. Ale za to Czuchnowski nie zaniedba dodać, że w tym samym numerze „Prosto z Mostu”, w którym był długi artykuł Skuzy, ukazała się... „skromna notatka” o aresztowaniu Czuchnowskiego. Powinien być zapewne długi artykuł o aresztowaniu Czuchnowskiego, a skromna notatka, streszczająca ciekawe wywody Skuzy – wtedy byłoby wszystko w porządku.

Bo Skuza, zdaniem Czuchnowskiego, „ma dość małe prawo mówienia o poczynaniach społecznych”. Dlaczego? A to znów dlatego, że – zacytujmy dosłownie zakończenie artykułu Czuchnowskiego:

*„Skuza pisuje teraz w „Prosto z Mostu”, organie narodowej demokracji(!), a ja nadal wchodziłem w życie gromady chłopskiej i trzy razy już od tego czasu siedziałem w więzieniu”.*

A więc licytacja, ile kto razy siedział i ile razy konfiskowano jego utwory. Nie staniemy do tej licytacji, choć w redakcji naszej nie brak ani konfiskat, ani ludzi, którzy siedzieli. Samo siedzenie nie stanowi jeszcze żadnego tytułu do chwały. Ważne jest, co kto istotnie zrobił dla przebudowy społecznej swą pracą pisarską i organizacyjną. A trudno mi uwierzyć, aby na froncie walki o sprawiedliwość społeczną i wyzwolenie chłopów, łamigłówni poetyckie Czuchnowskiego, pomimo jego niewątpliwego talentu, odgrywały poważniejszą rolę. Nie tylko dlatego, że Czuchnowski brnie w ślepią uliczkę przestarzałego, wstecznikowskiego marksizmu, ale i dlatego, że się snobizuje mieszcuchowską awangardą i oklepanymi frazesami pseudoproletariackimi. Twórczość pisarska Skuzy czy Burka, prawdziwie chłopska i szczerą, z pewnością jest pożyteczniejsza dla sprawy.



## FRONT SOWIECKI I FRONT POLSKI

Prasa polska wszystkich niemal odcieni politycznych rozbrzmiewa od kilku dni publicystycznymi okrzykami zgromy z powodu lwowskiego zjazdu „w obronie kultury”, zorganizowanego przez tzw. „jednolity front” lewicy literackiej. Jak można było dopuścić do czegoś podobnego! Gdzie była policja? Kto udzielił pozwolenia na tę bolszewicką manifestację? Dokąd my idziemy?!

Nie umiałbym wznieść ani jednego z tych okrzyków przerażenia. Przede wszystkim dlatego, że nie wierzę w skuteczność represji policyjnych, które najczęściej prowadzą tylko do fabrykowania męczenników, a po wtóre dlatego, że zjazd lwowski wydaje mi się manifestacją niezmiernie pożyteczną dla uświadomienia opinii polskiej, czym jest w istocie ów „jednolity front” lewicowy. Komunizm w podziemiach, komunizm zatajony, komunizm nie mający możliwości wykrzyczenia swych haseł, komunizm otoczony legendą walki o prawa proletariatu i przebudowę społeczną, to zjawisko niepokojące, a dla wielu wydziedziczonych i zagubionych w chaosie czasów dzisiejszych – nawet pociągające. Komunizm jawny, ot taki, jak na owej akademii zjazdowiczów w teatrze lwowskim, traci natychmiast swą aureolę. Demaskuje się od razu. Okazuje się tym, czym jest: świadomym czy nieświadomym narzędziem imperializmu sowieckiego.

Okrzyk wzniesiony na akademii lwowskiej przez redaktora wileńskiego „Po prostu”, Henryka Dembińskiego: „Niech żyje Lwów, stolica Ukrainy!”, tego samego Dembińskiego, który w Wilnie prowadzi na łamach swego pisma robotę białoruską, a we Lwowie jednym okrzykiem gładko zrezygnował ze Lwowa dla Polaków, a z Kijowa dla Ukraińców – starczy za całą ideologię zjazdu, zakończoną odśpiewaniem sowieckiego hymnu państwowego „Międzynarodówki” i gromkimi pożegnaniem: „Spotkamy się w czerwonej Warszawie” (tym razem bez dodatku: stolicy Polski).

-----

Ale ten okrzyk redaktora „Po prostu” nabiera dopiero właściwej treści, gdy go zestawimy z listem otwartym do A. Struga, jaki w prasie ukraińskiej ogłosili przedstawiciele dwóch ukraińskich partii lewicowych: socjaldemokratycznej i socjalno-radykalnej, którzy odmówili wzięcia udziału w zjeździe:

*„Potępiamy, piętnujemy i zwalczamy przejawy dziczyczenia i wsteczności, bo jest to naszym obowiązkiem socjalistów.*

*Ale jednocześnie nie możemy zapominać o drugim obowiązku, który na nas ciąży. Jako socjaliści ukraińscy nie możemy zamykać oczu na to, co dzieje się w Związku Republik Rad. Tragiczna śmierć komisarza oświaty Skrypnika i literata ukraińskiego Chwyljowego, wyroki śmierci na ukraińskich literatów – braci Kruszelnickich, Kosyńkę, Falkińskiego, Włyśka i Skażyńskiego, deportacje pracowników kultury, tej miary uczonych, literatów i poetów, jak prof.*

Hruszowskiego, Kruszelnickiego – ojca, J. Baczyńskiego, prof. S. Rudnickiego, S. Wityka, Ostapa Wyszni, M. Irczana, prof. N. Czajkowskiego – i wielu, wielu innych – to zaprzeczenie kardynalnych podstaw swobody i kultury, jaki niósł, niesie i powinien nieść socjalizm.

*A polityka językowa centralistycznej Moskwy z jej jafetyczną<sup>31</sup> teorią, zwróconą przede wszystkim przeciwko językowi i kulturze ukraińskiej – czyż nie jest to naigrawanie się z tych hasła, które ujarzmionym ludom nieśli bojownicy postępu i nowych praw ogólnoludzkich?*

*Nie wolno nam tego przemilczać, gdyż znaleźlibyśmy się w sprzeczności z naszym sumieniem socjalistycznym, z naszymi dotychczasowymi walkami, z istotną treścią tych ideałów, jakim służymy. Tylko biorąc pod uwagę ten stan rzeczy, moglibyśmy wziąć udział w zjeździe pracowników kultury. Niestety, nie dano nam tej możliwości. Czynimy to niniejszym pismem, które przesyłamy do ręk Pańskich z wyrazami prawdziwego poważania”.*

Nie dano im możliwości... Na zjeździe „w obronie kultury”... O, tak, na tym zjeździe, do którego prezydium honorowego wybrano m. in. Maksyma Gorkiego, byłoby nietaktem mówić – o teorii jafetycznej.

Czym zaś jest owa teoria jafetyczna, można było świeżo się dowiedzieć z innego listu otwartego, wystosowanego do redakcji „Zetu” przez organizację „Prometeusz”, łączącą przedstawicieli narodów uciśnionych w ZSRR (Azerbejdżan, Karelia, Kaukaz północny, Krym, Don, Idel-Ural, Gruzja, Ingria, Kornij, Kubań, Turkiestan, Ukraina). W liście tym czytamy:

*„Rząd bolszewików moskiewskich wraca na całym obszarze Z.S.S.R. do dawnej polityki rusyfikacyjnej caratu.*

*Za parawanem fikcyjnego istnienia republik narodowych, Moskwa, z niestęchaną brutalnością i natężeniem, korzystając z całego aparatu partyjnego i państwowego, przeprowadza bezwzględną rusyfikację.*

---

<sup>31</sup> (właśc.) Teoria jafetycka (pozostawiono oryginalną formę zapisu w tekście) – teoria językowa stworzona przez Nikołaja Jakolwiecza Marra, radzieckiego archeologa i językoznawcę. Zakładała istnienie jednej wspólnej grupy językowej, obejmującej praktycznie wszystkie języki europejskie i bliskowschodnie, niebędące językami indoeuropejskimi lub semickimi (języki kaukaskie, afroazjatyckie oraz język baskijski). Zdaniem Marra języki jafetyckie były powszechnie stosowane w Europie przed pojawieniem się języków Indoeuropejskich. Echa tej wspólnej przeszłości miały mieć wydzźwięk w podobieństwach pomiędzy językami warstw ludowych różnych krajów (z których wyłonił się m.in. język ukraiński), oraz różnicach pomiędzy językiem warstw ludowych a stosowanym przez burżuazję. [redakcja]

Ostateczne cele polityki językowej bolszewików moskiewskich sformułował Stalin na XVI zjeździe WPK (b), oświadczając:

„Rozkwit kultur, posiadających formę narodową a treść socjalistyczną, w warunkach dyktatury proletariatu w jednym kraju dla zlania się tych kultur w jedną wspólną, socjalistyczną zarówno pod względem formy, jak i pod względem treści, kulturę z jednym wspólnym językiem, wówczas, gdy proletariatus zwycięży na całym świecie, a socjalizm zostanie urzeczywistniony – na tym właśnie polega dialektyzm wysuniętego przez Lenina zagadnienia kultury narodowej”. Lecz wobec tego, iż wydarzenia lat ostatnich zachwiały wiarę bolszewików w ich zwycięstwo nad całym światem, bolszewicy przystąpili do realizacji innego zadania: unifikacji językowej w granicach ZSSR. W związku z tym język rosyjski jako język Lenina i Stalina, został ogłoszony językiem proletariatu i rewolucji październikowej.

Na zlanie języków narodów ZSSR. z językiem rosyjskim została nastawiona cała praca językoznawstwa bolszewickiego, które, w osobie swego ideologa Marra, wysunęło tzw. teorię jafetyczną. Teoria ta określa cele polityki językowej Moskwy w sposób bardzo wyraźny:

„...Pytanie: na czym polega istota teorii jafetycznej?

Odpowiedź: znaczenie tej teorii polega na tym, iż wychodząc z historyzmu okresów różnostadialnych, a nawet wielostadialnych, teoria ta stworzyła naukę o języku, skonstruowaną według metody materializmu dialektycznego, wykazała jedność powstania form, które mają wraz z gospodarką, w wyniku walki i zwycięstwa proletariatu, przetrwać się w jedność języka-myślenia z jednością gospodarki wszechświatowej” (N. J. Marr: „Jazyk i sowremionność”).

Według Marra:

„Zadaniem językoznawstwa współczesnego jest opanowanie techniki twórczości językowej celem ułatwienia i przyspieszenia urzeczywistnianego obecnie procesu unifikacji językowej”. (Marr: „K proischożdeniju jazykow”).

Wielokrotne autorytatywne oświadczenia Stalina i nauka Marra nie zostawiają żadnych wątpliwości co do prawdziwego celu bolszewickiej polityki językowej. A zabiegi rusyfikacyjne na terenie Karelii, Ingermanlandii, Zyrjańszczyzny (Korni), Białorusi, Ukrainy, Krymu, Idel-Uralu, Kaukazu północnego, Gruzji, Azerbejdżanu, Turkiestanu i wśród wszystkich innych narodów ZSSR, oraz brutalne gwałty w stosunku do języków tych narodów świadczą, iż Moskwa, nie ogranicza się tylko do ucisku politycznego i

*ekonomicznego, a zamierza ponadto zatrzeć odrębność i samodzielność języków tych narodów”.*

Powstająca w ZSRR „sowiecka nacja”, na której cześć wznosił w Moskwie dnia 1-go maja br.<sup>32</sup> okrzyk marszałek Woroszyłow, znajduje w teorii jafetycznej bardzo wygodnego konika. W granicach państwa sowieckiego: unifikować, rusyfikować, jafetyzować. U sąsiadów zaś: rozbijać, dzielić, rozproszkowsywać. Aby tym łatwiej poddać wpływowi imperializmu sowieckiego – a potem zjafetyzować, Dlatego: w Wilnie niech żyje Białoruś! I dlatego: we Lwowie niech żyje Ukraina! Tylko o tym, co się dzieje na Białorusi sowieckiej i na Ukrainie sowieckiej ani słowa. To już nie należy do... obrony kultury.

---

Pożyteczny więc wydaje mi się lwowski zjazd „pracowników kultury”, gdy z jednego choćby wzniesionego na nim okrzyku takie odsłaniają się perspektywy. Pożyteczny podwójnie. Pożyteczny na zewnątrz, bo jeszcze raz, dobitnie i wyraziście uprzytomnia i unaocznia, że komunizm – to po prostu imperializm sowiecki. Pożyteczny na wewnątrz tzw. „jednolitego frontu”, bo i tam musi wywołać otrzeźwienie wśród tej części pisarzy lewicowych, którzy w najlepszej nieraz intencji poszli na koncepcję jednolitifrontową, dopatrując się w niej konsolidacji radykalizmu społecznego w Polsce, podczas gdy rychło stali się – narzędziem nowej taktyki Kominternu i niczym więcej.

Niedużo na to trzeba było czasu. Za ledwie osiem miesięcy temu, bo w październiku 1935 r. ukazała się na łamach czterech literacko-społecznych pism lewicowych, a mianowicie „Lewaru”, „Lewego Toru”, „Nowej Wsi” i „Po prostu” wspólna deklaracja około czterdziestu pisarzy lewicowych (nie tak dawno wymyślających sobie od „socjalzdrajców”) zatytułowana „Za porozumieniem”. Czym narzędziem staje się to „porozumienie” – już wiadomo.

---

Natomiast cementują i wzmacniają tzw. „jednolity front” ci wszyscy, którzy zamiast wykazywać jego sowieckie zaplecze, będące samo przez się najskuteczniejszą przeszkodą dla ofensywy w Polsce, wyolbrzymiają i przesadzają niebezpieczeństwo, zaliczając do jednolitifrontowców licho wie kogo, całą niemal lewicę, ba, cały ruch ludowy.

Odbywa się np. obecnie generalne tropienie pism komunistycznych i komunizujących. Z inicjatywą wystąpiło pierwsze Towarzystwo Księgami Kolejowych „Ruch” (posiadające faktyczny monopol kolportażu czasopism w Polsce), które wydało słynny już dziś okólnik zabraniający kolportowania swym sprzedawcom wydawnictw: „Chłopskie Jutro”, „Język Międzynarodowy”, „Kultura Wschodu”, „Lewar,” „Lewy Tor”, „Literatur” (żargonówka), „Oblicze dnia”, „Przekrój Tygodnia”. Okólnik ten, opublikowany

---

<sup>32</sup> 1936 r.

przez dotkniętych nim<sup>33</sup>, a następnie, jak się zdaje, uchylony (przynajmniej szereg pism w nim wymienionych można obecnie nabywać w kioskach, podlegających „Ruchowi”, bez przeszkód) stał się pierwszorzędną reklamą dla proskrybowanych tygodników. Dowiedziano się, że za jedne dwadzieścia groszy (o, bo te pisma są tanie!) można kupić legalnie w koszyku „komunistyczne” czasopismo, które dotąd dla szarego czytelnika było raczej mitem, czymś tajnym, podziemnym, niedostępnym. Gratka nie lada! Ale znów – niema się czego obawiać. Sama treść tych czasopism jest skuteczniejszą propagandą przeciw nim samym, niż wszelkie represje. Czytelnik może się bowiem na własne oczy przekonać z ich treści, że tzw. jednolity front polskiej lewicy jest raczej frontem sowieckim i prosemickim. Dwa tematy: zachwyty nad Sowietami i walka z antysemityzmem wypełniają szpalty pism jednolitifrontowych przede wszystkim.

Otóż z okazji owego zapoczątkowanego przez „Ruch” proskrybowania pism komunistycznych, prasa codzienna na własną rękę zaczęła powiększać ich listę, dodając od siebie dalsze tytuły. Taka już mania wyolbrzymiania komunizmu w Polsce. Zaliczono więc gdzieś do pism jednolitifrontowych także i socjalistyczny „Tydzień Robotnika”. Żeby wzmocnić poczucie grozy.

Tymczasem w dwutygodniku rzeczywiście komunistycznym pt. „Informacje Prasowe”, wychodzącym w Paryżu i przemycanym do Polski, można było w numerze 6-tym z tego roku przeczytać taką informację:

*„Tydzień Robotnika” rozwija nader szkodliwą działalność, czepiając się pewnych niefortunnych posunięć przy tworzeniu akademickiego frontu ludowego, by front ów rozbić – i zwalczając namiętnie współpracę z sanacyjnymi organizacjami studenckimi”.*

Nie, nie cała znów lewica jest w „jednolitym froncie”, nie cała poszła pod komendę Kominternu. I tam są tarcia. Dobrze jest zdawać sobie sprawę z sił frontu sowieckiego w Polsce. Ale nie trzeba ich przeceniać i wyolbrzymiać.

Wzmianka komunistycznego czasopisma paryskiego o szkodliwej działalności „Tygodnia Robotnika”, polegającej na zwalczaniu współpracy z organizacjami... sanacyjnymi, rzuca pewne światło na najbardziej dla prasy omawiającej zjazd lwowski niezrozumiały szczególnie tego kongresu obrony kultury... sowieckiej, a mianowicie łaskawy współudział w nim akademika Wincentego Rzymowskiego, czołowego publicyście sanacyjnego „Kurier Porannego”.

Wzburzyło to zwłaszcza konserwatywnego publicystę, Ksawerego Pruszyńskiego, który dwukrotnie, w przeglądzie prasy na łamach „Czasu” i w artykule wstępnym na

---

<sup>33</sup> Rzecz przy tym ciekawa dla tych, którzy by przypuszczali, że praca redakcyjna w czasopismach skrajnie lewicowych prowadzona jest w niezwykle ciężkich warunkach materialnych. Na walnym zebraniu Związku Zawodowego Literatów jeden z mówców, zgłaszających wniosek z protestem przeciwko okólnikowi „Ruchu”, uzasadniał to tym, że okólnik ów pozbawia jego kolegów możliwości zarobkowania.

łamach wileńskiego „Słowa”, rozprawił się z kameleonскими obyczajami pana akademika literatury. Tak się jednak fatalnie złożyło, że niemal równocześnie z tymi doskonałymi i ciętymi uwagami o problemie dwustołkowości, sam ich autor znalazł się w pozycji nieco dwuznacznej: jego reportaż z podróży po Polsce ukazał się na tej samej stronie „Wiadomości Literackich”, na której uczestnik zjazdu lwowskiego, poeta Broniewski, zamieścił całkowicie pozytywne sprawozdanie z tej imprezy...

Nie moim oczywiście jest zmartwieniem, co ma zrobić sanacja z lwowską ekskursją swego akademika. Fakt jest ciekawy i charakterystyczny z innego punktu widzenia: że panowie z „jednolitego frontu” siadają chętnie przy jednym stole z przedstawicielem obozu BB (Brześć i Berezy), a jako szkodników piętnują tych socjalistów, którzy w takim towarzystwie siadywać nie chcą.

---

Zagmatwane jest życie polityczne w Polsce. Bardzo zagmatwane. Że zaś w naturze ludzkiej leży skłonność do upraszczania sobie zjawisk, czyta się niejednokrotnie w prasie najnieprawdopodobniejsze brednie. Do takich szkodliwych bredni należy przede wszystkim kwalifikowanie radykalnego ruchu młodochłopskiego (myślę tu o jego części ludowcowej, stojącej poza obozem narodowym), jako ruchu „bolszewickiego”, zaliczanie go do obozu komunistycznego.

Wyda poeta góralski Nęcza Kubiniec tom wierszy, w którym szukając herosa chłopskiego, zabałamucił się Szelą – już mu w „Iłkacu<sup>34</sup>”, nawymyślają od bolszewików, choć w tymże tomie wierszy znajduje się znakomita rozprawa z sowiecką ideologią Czuchnowskiego z „Nowej Wsi”. („I stąd nie pójdę z bratem Bogumiłem...”). Przytrafią się jakieś lokalne zatargi wiciowców z klerem – już epitet „bolszewiki!” w robocie. Lada radykalniejszy artykuł w „Chłopskim Życiu Gospodarczym”, „Młodej Myśli Ludowej”, czy „Zniczu” – już przez tępą prasę partyjną idzie podane hasło: ależ to czysty komunizm!

A tymczasem właśnie ludowcowy ruch młodochłopski w swojej głównej masie trzyma się zwarcie i odpornie wobec frontu sowieckiego w Polsce, Bardzo ostro odgranicza się od sowietyzmu w swych programowych broszurach „Agraryzm” i „Walka o nową Polskę” Stanisław Miłkowski. Boleje z tego powodu powstałe w Wilnie na miejsce zamkniętego „Po prostu” nowe pismo jednolitifrontowe „Karta”, utyskując w ostatnim numerze nad „niejasnym” stanowiskiem „centralnej grupy w Wiciach – agrarystów z Miłkowskim na czele”. Wyraźną linię demarkacyjną pomiędzy ruchem chłopskim a frontem sowieckim zakreśla stale najciekawsze czasopismo młodowiejskie „Młoda Myśl Ludowa”. Czasem któryś z młodych pisarzy chłopskich da się nabrać na podpisanie jakiejś drugorzędnej odezwy jednolitifrontowców – napór jest duży – i tyle.

Do frontu sowieckiego przymknęli od razu tylko exsanacyjni działacze wśród chłopów. Produkował się więc na zjeździe lwowskim były redaktor sanacyjnej „Wsi” i

---

<sup>34</sup> Ilustrowany Kurier Codzienny [redakcja]

autor „Zmór” Emil Zegadłowicz, zgłosiła akces eksanacyjna grupa „Ugorów” Kubickiego. Natomiast „Wici”, „Znicz”, „Młoda Myśl Ludowa” – szły i idą po drodze własnej.

Jest to – droga przez wieś. Własnymi siłami porządkowana. Ludowcowy ruch młodowiejski zdecydowanie odgranicza się od frontu sowieckiego i równocześnie chce zachować niezależność od ruchu młodonarodowego, który mu się widzi zanadto inteligencki i szlachecki. Do szlachty zaś ma chłop nieufność zadawnioną, a dodajmy, historycznie aż nadto usprawiedliwioną. Młodzi ludowcy chcą przemyśleć i przepracować Polskę sami w sobie, bez opiekuństwa niczyjego. Można w tym widzieć masowość – ale raczej chyba trzeba w tym odczuć młodszość społeczeństwa warstwy, która ma ambicję odrobić zaległości kulturalne sama i po swojemu.

Nie trzeba się tego obawiać, jeśli się wierzy w naród. Więcej bowiem tam na wsi jest instynktów narodowych, nieświadomych może dostatecznie, ale mocnych, niż w kosmopolityzującej się inteligencji miejskiej. Droga przez wieś prowadzi tylko – do narodu. Nigdzie indziej.

---

Wyolbrzymianie rozmiarów akcji komunistycznej w Polsce, dopatrywanie się jej tam nawet, gdzie jej nie ma, nietrudno wytłumaczyć psychologicznie. To szukanie grozy jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa, aby móc rzucić jakże arcypolskie hasło – obrony. W tym wypadku obrony przed komunizmem.

Od kilku już wieków lubujemy się w hasłach defensywnych. Lubimy się bronić.

To bodaj przestawienie psychiki polskiej z ofensywnej w defensywną, które dokonało się na przełomie XVI-go i XVII-go wieku, wywołało upadek znaczenia Polski w świecie i w konsekwencji – rozbiory. Nie zdołały już przeniknąć w świadomość narodową słowa Kochanowskiego z zakończenia „Odprawy posłów greckich”:

*Acz mi to słowa przykre i coś nie bez wróżki,  
Na każdy rok nam każą radzić o obronie:  
Ba, radźmy też o wojnie, nie wszystko się brońmy;  
Radźmy, jak kogo bić: lepiej, niż go czekać.*

Imperializmowi sowieckiemu i jego frontom wewnętrznym w Polsce – mamy teraz przeciwstawić hasło... obrony przed imperializmem sowieckim. Przy takiej nierówności szans można tylko przegrać. Bo imperializmowi sowieckiemu przeciwstawić musi się nie negację, nie obronę, nie defensywę – ale program pozytywny, program imperializmu polskiej idei narodowej, kulturalnej, społecznej, gospodarczej. Program ofensywy.

Nie jesteśmy znów tacy ubodzy pod tym względem. Proszę nas nie straszyć rozrastaniem się frontu sowieckiego w Polsce. Front polski w Polsce jest, na szczęście, stokroć mocniejszy. Bije się w dzwony na trwogę i alarm, że mnożą się w Polsce czasopisma komunistyczne, że „jednolity front” zagarnia coraz to nowych pisarzy i coraz to nowe placówki kulturalne. (Ostatnio np. zgleichschaltowano jednolitifrontowo

lwowskie „Sygnały”). To prawda. Ale trzeba widzieć równocześnie, że w ogóle lata ostatnie zaznaczyły się w Polsce wzmożonym ruchem czasopiśmienniczym, że w tym samym okresie, kiedy powstały pisma komunizujące, przeżywające łykowany marksizm i służące obcym interesom imperialistycznym – zaczęły w Polsce wychodzić niemniej liczne czasopisma ruchu młodonarodowego, że wyliczymy przykładowo: „Głos”, „Wielka Polska”, „Nowy Ład”, „Ruch Młodych”, „Prosto z Mostu”. Że obok tych pism, wypracowujących nowoczesną myśl polską w wszelkich dziedzinach życia, rozwinęło się równocześnie czasopiśmiennictwo katolickie, pogłębiające zagadnienia religijne („Ruch Katolicki”, „Pax”, „Verbum”, „Młodzież Katolicka”; „Przegląd Katolicki”, „Kultura”),

Prawda: pisma te i grupujący się koło nich pisarze, zbyt mało, w porównaniu z hałaśliwością pisarzy jednolitofrontowych, zwracali uwagę na konieczność propagandy zewnętrznej swych przemyśleń, na konieczność wystąpień zbiorowych, porozumienia, wspólnoty akcji. I także to prawda, że na skutek tego niedociągnięcia mogła hulać bezkarnie demagogia jednolitofrontowa, przedstawiająca ruch narodowy w Polsce jako kołtuństwo i religianctwo. Że antykapitalistyczne tendencje ruchu młodonarodowego, jego idea stworzenia narodu bezstanowego, rządzącego się w ustroju hierarchii obowiązków i sprawiedliwości społecznej, że przeciwstawianie tępotnie jednostronnie materialistycznego poglądu na świat poglądu religijnemu, że poczucie odpowiedzialności za misję dziejową Polski w środkowej Europie, że wszystko to – omawiane i dyskutowane na łamach pism— udało się chwilowo tamtym zakrzyczeć. Ale to tylko krzyk. I taki krzyk, od którego się szybko chrypnie.



## DWIE PRAWDY

Przyszły na literaturę polską lata chude. Reprezentacja jest, a jakże, i Akademia w białej sali, i gwiazdy orderowe, i wstęgi. I coraz więcej uroczystych posiedzeń, uroczystych bankietów, uroczystych mów. Ale za to twórczość literacka ostatnich paru lat nie przedstawia się tęgo<sup>35</sup>. Ukończyła swój cykl powieściowy „Noce i dnie” Maria Dąbrowska – to na dobrą sprawę jedyne wielkie wydarzenie w naszej beletrystyce, a i ono sięga genetycznie okresu przedakademickiego, kiedy to bądź co bądź na przestrzeni kilku lat ukazał się szereg książek o nieprzemijającej wartości. Ilościowo produkcja literacka bynajmniej nie zmalała. Nie wiem, jak to wygląda w statystykach, ale najlepszy barometr – zwały książek na biurku recenzenckim – wciąż wykazują ciśnienie wysokie. Nie brak książek ciekawych, dobrze napisanych, obfitych w bystre obserwacje charakteru reportażowego, choć już i nużących pośpiesznością roboty pisarskiej, łatwizną mody tzw. tematu społecznego, nieprzetrawieniem. Materiały literackie raczej, niż literatura. A książki wrażliwej się w pamięć dojrzałością pisarskiego osiągnięcia, czy pasją i szczerością, takiej książki, do której miałoby się ochotę wrócić po przeczytaniu, o której miałoby się potrzebę podzielić myślami z innymi, nie spotkało się po prostu w naszej beletrystyce ostatnich lat.

Aż nareszcie!

Mam na myśli książkę Melchiora Wańkowicza „Szczeniące lata”<sup>36</sup>. W założeniu rzecz skromna, i jak się to mówi, bezpretensjonalna. Wspomnienia z dzieciństwa i młodości. Pisane szeroko, zamasyście, z jurnym humorem, bez żadnej konstrukcji pisarskiej, na złamanie karku. Bezpośrednie, nieskrępowane niczym opowiadanie. Jeśli się o czymś zapomni w narracyjnej swadzie, to się do tego powraca bez żadnych skrupułów, a potem znów na oślep dalej. Jak w rozmowie.

Gdy się zaczyna czytać „Szczeniące lata”, ma się zrazu wrażenie, że to tylko pyszna lektura w najprzyjemniejszym typie „Przylądka Dobrej Nadziei” Nowakowskiego. Raz za razem parska się głośnym śmiechem, gdy Wańkowicz opowiada z humorem o dziecinnych psotach w matczynych Nowotrzebach i młodzieńczych kawałach w ojcowskich Kałużycach. Ale im dalej w książkę, tym oczywistsze się staje, że spieniona, błyskotliwa narracja wańkowiczowska kryje w sobie nurt głęboki. Wspomnienia z młodości przekształcają się w szeroki obraz obyczajowy szlacheckiego świata, który tam, w Mińszczyźnie i Kowieńszczyźnie, przetrwał jeszcze do lat młodzieńczych Wańkowicza w reyowskim niemal kształcie. Dlaczego się tak właśnie stało, że tam, na kresach, obyczaj szlachecki i styl życia szlacheckiego przetrwał dłużej, niż w rdzennej Polsce, długo byłoby wywodzić. Był niewątpliwie tarczą ochronną polskości. W Kongresówce dwór szlachecki

---

<sup>35</sup> Pisane w grudniu 1934 r. Odnosi się do dwóch „chudych lat” – 1933 i 1934.

<sup>36</sup> Melchior Wańkowicz: *Szczeniące lata*. Warszawa, 1934. Towarzystwo wydawnicze „Rój”. Str. 296.

dawno się już skosmopolityzował obyczajowo. Styl życia, formy towarzyskie, sposób bycia, atmosfera mieszkania – wszystko to nasiąkało coraz bardziej międzynarodową obyczajowością burżuazji. Ziemianin z Kongresówki czuł się najlepiej w Resursie Kupieckiej w Warszawie, a *vice versa* mieszczanin – w Resursie Obywatelskiej. Odrębność szlachecka zacierała się, warstwa ziemiańska roztopiała się w inteligencję miejską, a i ta jej część, która została na roli, upodobniała się obyczajowo do tamtej.

Na kresach proces ten dokonywał się znacznie wolniej. Siedzieć na roli – to był obowiązek narodowy. Dwór – to był tam przecież polski stan posiadania. Mógł sobie Cześć Wańkowicz studiować medycynę, mógł Tol kończyć architekturę, a stryj Stanisław z Rudakowa nawet budowę okrętów – ale to było tylko *intermezzo*, oddanie ukłonu nowym czasom. Wszyscy wracali na rolę gospodarzyć. Choć właściwie – bardziej to było siedzenie na roli, niż gospodarzenie. Pokpiwa sobie tego Melchior Wańkowicz z gospodarki kałużyckiej, trawestując reyowski „Żywot człowieka poczciwego” i opisując dzień niepróżnującego próżnowania dziedzica. O 10-ej rano śniadanie (litewskie wędliny!), potem wyprawa do stajni dla poklepania arabczyka, przechodem koło majdanu, gdzie stały narzędzia rolnicze, sakramentalna uwaga: „trzeba będzie te narzędzia umieścić pod szopą, bo deszcz zniszczy”, potem kąpiel w rzece, o 1-szej obiad, po obiadku przejażdżka konna w las, wieczorem „konferencja” z rządcą („A co, Malkiewicz, ale młodniak na Mietiszczu ładny?” „Oj, ładny, paniczku, ładny”), wreszcie kolacja. Poza tym? Polowania, dziewczęta wiejskie, karty. Trzeba było trwać przy ziemi, to było najważniejsze. Trwać i żyć tak, jak za czasów Reya. Ten obyczaj najlepiej opancerzał.

No, i trzeba było pańskość nosić wysoko, bo pańskość, to była tam – polskość. Na Kowieńszczyźnie, w matczynych Nowotrzebach, stosunki z ludem układały się patriarchalnie, czy raczej matriarchalnie; w ihumeńskim powiecie, w Kałużycach, na głuchej Białorusi – feudalnie. Dziedzic we dworze czuł się jak średniowieczny rycerz. I nie była to czcza formułka. Moralne prawo do feudalnego zwierzchnictwa opłacała się krwią. Panowie na Kałużycach nie tylko jedli, pili, polowali i gzili się z dziewczętami. Umieli bić się za Polskę. To była ich racja bytu. Ojciec Melchiora, ujęty w powstaniu z bronią w rękę i zesłany na Sybir, dopiero pod koniec życia wrócił do Kałużyc, Tol Wańkowicz, członek konspiracyjnego Zetu, przez granicę szmuglował „Tekę” i „Przegląd Wszepocholski”, w latach 1917—18 należał do polskiej konspiracji wojskowej, zdobywał wraz z Melchiorem Mińsk. Odbyli potem całą kampanię polską. Wypełnili szlachecki obowiązek, uczynili zadość szlacheckiej racji bytu.

A dziś – jest Polska, ale niema Kałużyc...

Najbardziej to dramatyczne karty książki Wańkowicza z opowieścią, jak się prawda szlachecka spotkała z prawdą chłopską. Rewolucja bolszewicka. Dwór w Kałużycach splądrowany przez chłopów, zieje czarnymi oczodołami powybijanych okien. Wańkowicz z ułanami korpusu Dowbora przybywa do ojcowizny:

„Teraz słysząc po wsiach wrzaski. Karne ekspedycje ułanów sieką do krwi chłopów. Cóż poradzę? Kto jestem? Gdzie jestem? Nad głową zderzają się

*żywioły – silniejsze, niż wszystko. W drzewie ludzkości narasta nowy słoń. Kora pęka. Co wytłumaczyć tym ułanom? Dzielne, kochane chłopaki. To pewno konieczna cena w dziejach – miara dopełnia krwi. Teraz oto jest ta prawda – w amarantach. Trzy dni temu była ich prawda – szara, łapciowa, kurna i dymna, w zwilgłej sukmanie, z ziemi tej, z mgieł, z błot, z nędzy, z twardego życia. Stare to, znajome – od Batorego – pociągnięty pod politurę palisander. O jakże kocham, syn tej ziemi, obie prawdy”.*

Nie odpadły od razu Kałużyce od Wańkowiczów. Jeszcze trzy razy powracali odbudowywać gospodarkę – aż odcięła je granica:

*„Rozrachowały się dwie prawdy. Kresom to nie nowina. Szumią sobie lasy dalej, jak przed laty, broczy żywica na wrzosowiska, pachnie ziemia, lśni rzeka, mrówki po lasach odbudowały kopce na wyrąbanych przez wojnę przesiekach i snują się drożynami z igliwia. Odbudował tak i owak szarą chałupę łapciaty chłop i tak samo bure sylwety chłopskie snują się po białych traktach mgłą zasnutych od Osowa do Sycz, od Syczy po Szabyńki, do Pisiuty, Koluża, do Hlewina.*

*Ziemi tej to nie pierwszyczna, dziejom nie pierwszyczna, pamięci lat kresowych nie pierwszyczna i Bogu nie pierwszyczna w niebie i mądrym porządkowi świata i Wiecznemu Rozumowi i Wiecznej Dobroci, które jak słońce przenikają świat, że żdźbło każde jego rośnie ku lepszemu, ku lepszemu; że na świecie jest coraz lepiej.*

*Ale cóż począć – gdy dla rozdartego serca ludzkiego – to pierwszyczna”.*

Mało jest w literaturze równie wstrząsających spowiedzi ludzkich. Amarantowa prawda, szlachecka racja bytu, wypełniona. Jest Polska, przez tę prawdę wywalczona. Książka zamknęła się na ostatniej karcie. A oto prawda nowa: szara prawda chłopskiej nędzy, chłopskiego prawa do życia. Z rozdartym sercem i pękniętą duszą staje na przełomie dni dziedzic wielu pokoleń prawdy amarantowej; tamtą ma w krwi, żyje nią uczuciowo; tę nową, szarą i chłopską, rozumie i aprobuje. Wzrósł, wychował się i skrwawił dla prawdy tamtej, a zbyt żywym jest na to człowiekiem, aby mógł być tylko jej epigonem, jak Choynowski („W młodych oczach”). Umie i chce widzieć nową epokę. Równocześnie z „Szczęściami latami” – a z pewnością nie przypadkowo – ukazała się druga książka Wańkowicza „Opierzona rewolucja”...

Dwie prawdy: szlachecka i chłopska, tak dziś społecznie przeciwstawne, łączą się jednak i w „Szczęściach latami” we wspólnym, takim samym ukochaniu przyrody przez człowieka wsi, tego z dworu i tego z chaty. W obliczu przyrody, w puszczy, na łowach, pan i chłop byli zawsze sobie równi, synowie tej samej ziemi Leśnik Michiej z Kałużyc z takim samym nabożeństwem wsłuchuje się w tok głuszców, jak dziedzic kałużycki. W jeden takt biją serca.

Opisy łowieckie Wańkowicza do najpiękniejszych zaliczają się kart jego książki. Jest w nich żywioł. Niełatwo po Weyssenhoffie pokusić się o laury literackie na tym polu. Ale też właśnie Wańkowicz zrywa z wszelką literackością opisu; Weyssenhoff mistrzowsko estetyzował przyrodę; Wańkowicz porywa czytelnika bezpośrednio. Czuje się w nim człowieka puszczy, który nie tylko polował w kałużyckich lasach, ale w nich i z nich wyrósł. W jego ustach zwrot „syn tej ziemi” nie brzmi banalnym patosem; brzmi prawdą uczucia.

Ta zaś prawda uczucia, ta atmosfera zespolenia człowieka z przyrodą, którą przepojona jest cała książka, otwiera czytelnikowi niespodziewaną perspektywę na tragiczny dylemat dwóch prawd: chłopskiej i szlacheckiej. To przecież jedna prawda, rozszczepiona społecznie, ale która musi się znów zestrzelić w jedną smugę. Prawda człowieka wsi, człowieka związanego z przyrodą.

## TAKA SOBIE CZYTANKA

Raz do roku, około 1-go września, przepływa przez prasę fala niby to zainteresowania szkolnictwem: ukazują się artykuły wstępne z sakramentalnym tytułem: „Na progę roku szkolnego”, potem wzmianki kronikarskie o nabożeństwach, rozpoczynających nowy rok nauczania, wreszcie kilka reportaży o handlu zamiennymi książkami, kłopotach rodzicielskich z sprawianiem nowych mundurów, przepełnieniu w klasach – i na tym koniec. Nawet przerażające obliczenie, zanotowane mimochodem w prasie, że w nadchodzącym roku dla miliona dzieci (wyraźnie dla miliona dzieci) zabraknie miejsca w szkołach polskich, czyli że powiększymy o cały milion liczbę analfabetów w Polsce, nie pobudza nikogo do głębszej refleksji. Są przecież sprawy ważniejsze: Abisynia, wybory, zmiana rządu...

Cóż dopiero mówić o podręcznikach szkolnych! Tu jakakolwiek kontrola opinii nie istnieje zupełnie. Kogóż to u nas obchodzi poza komisją oceny książek szkolnych w Ministerstwie Oświaty i kilku recenzentami (nierzadko grzecznościowymi) w czasopiśmiennictwie fachowym! Byle powieść, byle romans kryminalny, byle zbiorek wierszyków osiemnastoletniego wierszoklety, wydany sumptem cioci – a już w całej prasie recenzje, wzmianki, czasem polemiki nawet. Podręczniki szkolne, rozchodzące się w dziesiątkach i setkach tysięcy egzemplarzy, urabiające dusze młodego pokolenia, kształtujące sposób myślenia młodzieży (a przynajmniej mające za zadanie kształtować to myślenie), znajdują się poza sferą zainteresowań krytyków, recenzentów, publicystów.

Nie jest to kamyczek wrzucony do cudzego tylko ogródka; do własnego także. Jeśli mi się dziś nasunął ten temat, to przyznaję szczerze: przez przypadek raczej. Chwila wolnego czasu i przejrzenie paczki nadesłanych do redakcji egzemplarzy recenzyjnych nowych książek szkolnych. Toteż i wybór książki, którą omówić tu wypadnie, jest przypadkowy. Nie wiem, czy zalicza się do lepszych, czy do gorszych. Ale jest to książka ważna: podręcznik nauki języka polskiego w siódmej klasie szkół powszechnych, a więc podręcznik, który zamyka nauczanie na pierwszym stopniu naszego szkolnictwa. Dalej już gimnazjum. Jest to więc książka, która dla olbrzymiej większości polskiej młodzieży, kończącej tylko szkoły powszechne, jest ostatnim podręcznikiem.

Przy tym książka to niebyle jaka. Zredagowała ją renomowana spółka: Juliusz Balicki i Stanisław Maykowski. Słyszało się tyle dytyrambów na cześć na wskroś nowoczesnej metody układania wypisów szkolnych przez tych właśnie dwóch autorów, że z niemałą ciekawością zabrałem się do przewertowania z górą czterystostronicowej książki, noszącej nie wiem dlaczego dożynkowy tytuł: „Niesiemy plon”. Nowoczesność metody przejawia się nie tylko w rodzaju tematów i rozkładzie treści, ale i w doborze autorów. Postulat Kadena-Bandrowskiego, powtarzany przez niego tylekroć na niedzielnych łamach „Gazety Polskiej”, aby do wychowania młodzieży dopuścić współczesnych pisarzy, a ograniczyć bakalarzy i „starzyzną literacką” w wypisach szkolnych – spełniony niemal w stu procentach. Wśród nazwisk autorów poszczególnych opowiadań: Juliusz Kaden-Bandrowski, Zofia Nałkowska, Maria Dąbrowska, Wacław

Sieroszewski, Zygmunt Nowakowski, Piotr Choynowski, Ferdynand Goetel, Maria Kuncewiczowa, Beata Obertyńska, Ewa Szelburg-Zarembina, Jerzy Ostrowski, Stefan Themerson, Zofia Kossak-Szczucka, Hanna Mortkowiczówna. I to w znacznej przewadze ilościowej nad jedynym bodaj „belfrem” Maykowskim oraz „starzyzną literacką” Reja, Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego, Kasprowicza, Konopnickiej, Asnyka, Sienkiewicza, Prusa, Reymonta, Orkana (Żeromskiego np. nie ma zupełnie).

Z „starzyny literackiej” oczywiście wypisy. Natomiast pisarze współcześni dostarczyli opowiadań specjalnie napisanych, zamówionych na zadany temat. To właśnie stało się klęską książki. Kto wie, czy przy dużym zapasie dobrej woli nie udałoby się z dawniej wydanych powieści, nowel i opowiadań wyżej wymienionej ekipy pisarskiej wybrać wyjątków wcale sensownych do wypisów szkolnych. O kilka nazwisk trzeba by, rzecz prosta, tę ekipę wzmocnić, o kilka nazwisk niepotrzebnych zmniejszyć – i można by wypisy skleić wcale nieźle, jeśli już koniecznie współczesność literacka ma w podręcznikach szkolnych górować nad bądź co bądź świetniejszą przeszłością.

Natomiast eksperyment zamawiania specjalnych „kawałków” (a jest to eksperyment szeroko obecnie stosowany w układaniu podręczników szkolnych) wydał rezultaty żałosne. Z wyjątkiem kilku pisarzy – na palcach jednej ręki można ich wyliczyć: są to Nowakowski, Kaden-Bandrowski (a właśnie tak), Goetel i Nałkowska – którzy młodych czytelników potraktowali serio, dali rzeczy przemyślane, dobrze napisane, nie zalatujące ani tanim dydaktyzmem, ani dziecinnyim seplenieniem (tak zwane, pożałuj Boże, dostosowanie się do poziomu dziecka), słowem dali opowiadania, które dziecko zrozumie, a i starszy przeczyta z przyjemnością (najistotniejsze kryterium celności literatury dla młodzieży) – inni zrozumieli swe zadanie najopaczniej. Ogrom banału dydaktycznego tej książki działa wprost przygniatająco, a pozowanie starych byków na trzynastolatków doprowadzić może czytelnika do furii. Gdy dołączyć jeszcze do tego urzędowy optymizm, jakim tchnie każde opowiadanie, irytującą nieznamość tematów, do których odważnie wzięli się współpracownicy książki, zafałszowanie współczesnego życia polskiego w jakiś kształt zupełnie nieprawdziwy i bezsensowny, a przy tym tępe zachłystywanie się państwowotwórcze – doprawdy niewesołe nasuwają się refleksje na temat naszego szkolnictwa.

„Nowoczesność” układu wypisów Balickiego i Maykowskiego przejawia się przede wszystkim w tym, że książka ma za zadanie wpoić w ucznia cześć dla pracy i kult pracy. Bardzo piękne zadanie. I są nawet państwa na świecie, które opierając się na entuzjazmie budowania nowego ustroju, czy potęgi narodu, potrafiły pójść jeszcze dalej; obudzić heroizm pracy. Ale gdy się do tego delikatnego tematu przystępuje w dzisiejszej Polsce, trzeba pamiętać, że u nas istnieje przede wszystkim zagadnienie bezrobocia. Co tu gadać o wyścigu pracy, gdy tej pracy w ogóle dostać nie mogą setki tysięcy ludzi, a przed młodym pokoleniem perspektywy rysują się jeszcze bardziej ponure! W wypisach Balickiego i Maykowskiego układa się wszystko sielsko- anielsko; uczeń od razu spostrzeże nieprawdę i straci do książki wszelkie zaufanie. Jedna Zofia Nałkowska, która w opowiadaniu „Jana Niestrzępa wyjazd i powrót” odważnie postawiła sprawę bezrobocia; jeden Nowakowski, który w opowiadaniu „Savoir vivre” wynalazł sobie tak

przedsiębiorczych młodych ludzi, że potrafił uprawdopodobnić ich powodzenie życiowe. W innych opowiadaniach propagowanie kultu pracy nie nastrocza autorom i autorkom żadnych kłopotów. Ma być wyścig pracy? Zrobione!

Najklasyczniesze pod tym względem jest opowiadanie Marii Dąbrowskiej, zatytułowane właśnie „Wyścig pracy”. Autorka „Nocy i dni” bez najmniejszego trudu ufundowała „Państwową Nagrodę Pracy”, którą w swej nowelce rozdaje zasłużonym w „pracy dla dobra bliźnich i dla podniesienia materialnego lub duchowego bytu szerokich warstw społeczeństwa”. W miasteczku Nieznanowie, w obecności samego pana radcy ministerialnego z Warszawy, na uroczystym bankiecie, nagrodę przyznano zarządowi miasta (a jakże!), Straży Ogniowej, Kółku Rolniczemu, doktorowi, który dokonał największej ilości operacji i nauczycielowi, który opuścił tylko trzy lekcje. Aliści podczas bankietu pana radcę zabolął ząb; trzeba było iść do dentystki; po drodze zobaczył pan radca przez okno pracującego nocą szewca i wysłuchał takiego o nim opowiadania pana ławnika miasta:

*„– To szewc Zaruba. Znam go, A ten młody, to jego syn. Pomaga mu w robocie. Wszystkich dzieci jest sześcioro. Młodsze śpią już pewno z matką za tą zastoną, którą pan widzi w głębi... Drugi syn, dziewięcioletni, pomaga ojcu w ten sposób, że sprzedaje gazety. W zeszłym tygodniu o mało nie zamarzł... A ja stąd znam tego szewca, że kiedyśmy ogłosili przetarg na robotę obuwia dla sierot w przytułku, to on dał najniższą ofertę. A potem, kiedy zobaczył te dzieci, rozplakał się, i do każdego dziesięciu par zaczął dodawać jedną parę darmo. A teraz, kiedy mieliśmy tydzień dobroczynności, on się ofiarował darmo wyreperować tym dzieciom podarte obuwie. Przez dzień zarabia, a nocą reparuje te sieroce chodaki.*

*– Cóż za niezwykła bezinteresowność – szepnęła pan radca Jarosz.*

*– Taki sobie czysty prostaczek – odparł młody pan ławnik. – Powiada, że nie może brać od tych, którym gorzej, niż jemu”.*

Oto ideał społeczny, ideał pracy Marii Dąbrowskiej. Laureatka nagrody państwowej zdaje się nie rozumieć nawet, że propaguje najgorszą z istniejących form wyzysku: wyzysku pod płaszczykiem dobroczynności. Biedny, obarczony rodzinę szewczyzna zapracowuje się w nocy, aby bezpłatnie dostarczyć butów do sierocińca miejskiego, a równocześnie z miejskich pieniędzy, których zabrakło na zapłatę dla szewca, odbywa się na ratuszu bankiet dla pana radcy z Warszawy... Wyścig pracy!

Albo np. opowiadanie akademika Choynowskiego „Obiad przy pracy”. Taki temat zadany. Chodzi o oczyszczanie miasta ze śniegu. Do pracy tej, wiadomo, najmują się w Warszawie bezrobotni. To nieraz ich jedyny zarobek przez całą zimę. Ale oczywiście akademik Choynowski o bezrobociu nic nie wie. Jego robotnicy, zamiatający śnieg, są w świetnych humorach i cieszą się, że zarobią pieniądze na wyprawienie świąt...

Jest w tem opowiadaniu jeszcze coś kapitalniejszego. Jednemu z robotników, Kwiatkowskiemu, nie przynieśli synowie obiadu. Powiada ktoś, że łobuzują się na ulicy. Na to jeden z towarzyszy pracy:

– *Do szkoły byście ich, Kwiatkowski, oddali... Ulica nic dobrego nie nauczy.*

Bagatela! To akademik literatury nie wie, że w Polsce istnieje przymus szkolny? Że to nie jest kwestia ochoty, lub braku ochoty rodziców? I że, zresztą, na tej ochocie nikomu nie zbywa, ba, nawet starań usilnych nikt nie zaniedba, ale szkoły nasze nie mogą wszystkich dzieci pomieścić? I że wina za łobuzowanie się chłopaków Kwiatkowskiego spada nie tyle na ojca, ile ma państwo, które jeszcze dotąd dosyć szkół nie wybudowało? To przecież każdy uczeń wie; co więc sobie pomyśli o autorze, czytając to opowiadanie?

Drugim, obok szerzenia kultu pracy, zadaniem Wypisów Balickiego i Maykowskiego, jest wyrabianie w uczniach poszanowania dla państwa i jego instytucji. Bardzo chwalebna intencja, ale wymagająca wiele taktu i umiaru, aby nie przesolić. Można mieć pewne wątpliwości, czy nowelka Jerzego Ostrowskiego, opiewająca konieczność płacenia podatków („Marzenie Janka”), jako że temat nie bardzo jest nowelistyczny, osiągnie efekt zamierzony przez autora.

Uczą również wypisy Balickiego i Maykowskiego szacunku dla osób urzędowych. Temat policjanta dostała do opracowania Maria Kuncewiczowa („Pan Ruchlinger i pan Kubik”). Bardzo odpowiedzialny temat. Niestety, subtelna autorka „Dwóch księżyców” słabo orientuje się w rangach policji państwowej. Każdy uczeń siódmej klasy szkoły powszechnej natychmiast ją poprawi, że w policji polskiej niema sierżantów, tylko są przodownicy. I od razu jej sierżant Kubik stanie się postacią nierealną, mityczną. Z nowelki pozostanie więc tylko druga postać, gołębiego serca Ruchlinger, dowód dbałości redaktorów wpisów o mniejszość żydowską w Polsce. Jest jeszcze w innym opowiadaniu, (Marii Dąbrowskiej „Szpital”) panna Sara Szydło, która wyśpiewuje znaną piosenkę Niewiadomskiego „Indele i Mendele” w jakiejś dziwnie przekręcone wersji. Natomiast o mniejszościach słowiańskich: białoruskiej i ukraińskiej w całych wypisach głucho. To widocznie nie ważne.

Zofia Kossak-Szczucka opracowała temat o dobrych kilka stopni wyższy w pragmatyce służbowej: pan starosta. Obrazek z ostatniej powodzi. Powodzianie, wyratowani przez dzielnych żołnierzy, stoją na wzgórzu bezradni ze swym dobytkiem. Zajeżdża auto z panem starostą i jego świtą:

– *„Wysiadłszy z auta, idą wprost ku znękaney gromadzie. Starosta przodem. Energicznym głosem zapytuje o nazwiska i ilość zebranych. Towarzyszący mu sekretarz odczytuje głośno spis, gdzie i na ile osób przygotowane są kwatery. Nie zabraknie pomieszczenia dla nikogo. Bydło i konie mają już przydzielone miejsca na dobrych pastwiskach”.*



Styl komunikatów PAT<sup>37</sup>.-a zachowany świetnie. Ale co będzie, jeśli książka zawędruje w okolice, gdzie w czasie powodzi było niezupełnie tak patowsko? Czy opowiadanie Kossak-Szczuckiej przyczyni się tam przez porównanie do wzmocnienia autorytetu pana starosty? Jakoś tę starościńską propagandę trzeba chyba robić zrzęcznie, jeśli ma być skuteczna.

W jeszcze bardziej oficjalny ton uderza Piotr Choynowski w opowiadaniu „Wojna w gminie”, Ale bo też przypadło mu w udziale opisać drogę służbową i samego pana ministra:

*„Poszła Grzesikowa skarga z gminy do starostwa, ze starostwa do województwa w Krakowie, z województwa do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W każdym urzędzie właściwi urzędnicy przeglądali te papiery, dodawali swoje orzeczenie i posyłali dalej. Aż doszły do samego Pana Ministra.*

*Siedział Pan Minister za biurkiem u siebie, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, w Warszawie na Nowym Świecie. Biurko miał zawalone papierami, bo schodziły się doń sprawy z całej Polski. Wyższy urzędnik podawał mu co chwila nową plikę, a Pan Minister przeglądał orzeczenia, porównywał, żądał wyjaśnień – i wreszcie decydował krótko”.*

Pomińmy już tu kwestię ortograficzną, czy według obowiązującej w szkołach pisowni Akademii Umiejętności i jej zasady, że wielkie litery są przywilejem imion własnych, pisownia „Pan Minister” jest prawidłowa; pomińmy wątpliwości stylistyczne, czy zwrot o sprawach, które się same schodziły do pana ministra, jest najszcześniejszy w podręczniku szkolnym; pomińmy nawet dociekania, czy opis drogi służbowej i automatycznej wędrówki skargi Grzesika do samego pana ministra, nie wprowadza w błąd młodzieży co do zasad procedury administracyjnej; ale czy doprawdy dawne opowiadania o królu chłopków z czytanek szkolnych nie były jednak lepsze w tonie od tej pompy uroczystej?

Dość już przykładów z tej beczki, Pozostaje jeszcze cała obszerna dziedzina zagadnień ekonomicznych, obszernie traktowanych w wypisach. Głównym ekonomistą jest – kto by się tego spodziewał – prezes Polskiej Akademii Literatury, Wacław Sieroszewski. Autor świetnych opowiadań egzotycznych przedzierzgnął się w bajkopisarza gospodarczego i opowiada trzynastoletnim berbeciom, jak to pan Bilans Handlowy i jego sekretarz pan Komitet Ekonomiczny zwołali do Gdyni zjazd panów Ryżu Łuskanego, Daktyla, Cynamonu, Cukru, Cementu i Węgla, oraz pań Mąki, Słoniny, Herbaty, Bawełny itd. dla obrad nad sprawami eksportu i importu.

---

<sup>37</sup> Państwowa Agencja Telegraficzna. Międzywojenny odpowiednik dzisiejszej Państwowej Agencji Prasowej. [redakcja]

Wygłasza przy tym prezes Sieroszewski przez usta bohaterów swojej bajki szereg śmiałych poglądów. Atakuje przede wszystkim z furią traktaty handlowe, zawarte przez Polskę:

*„Chodzi właśnie o te traktaty. Okazały się one dla nas niekorzystne, rujnujące. Musimy dążyć do ich zmiany, z uwzględnieniem, oczywiście, obopólnych interesów. Nad tym właśnie będziemy obradować”.*

Polityka traktatowa ministra Floyar-Reichmana budzi istotnie szereg poważnych wątpliwości. Ale czy czytanka dla szkół powszechnych jest najwłaściwszym terenem dla tego bądź co bądź sensacyjnego ataku prezesa Akademii Literatury na ministra przemysłu i handlu? Zaniepokoić się powinien również minister skarbu. Prezes Sieroszewski robi rewolucję na giełdzie, grając na zwyczaję dolara i funta, których kurs wynosi obecnie 5.30 i 26.30. Tymczasem w opowiadaniu Sieroszewskiego czytamy:

*„Ameryka za dolar dostanie 8 razy więcej złota, niż Polska za swoją złotówkę, Anglia za funt szterling dostanie 43 razy tyle, co dadzą za złotówkę”.*

Zaś już zupełnie antypaństwowy jest defetyzm gospodarczy, jaki szerzy prezes Sieroszewski, przewidując spadek złotego:

*„W interesie wszystkich obywateli jest, aby import i eksport były co najmniej w równowadze, a nawet lepiej, żeby eksport był większy. Tymczasem u nas, w Polsce, import rośnie z roku na rok, a eksport maleje. Mamy tak duże zapasy złota, że jego odpływ z Banku Polskiego jeszcze nie oddziałał na zmniejszenie wartości złotego. Lecz może i to nastąpić niebawem, jeżeli nie zapobiegniemy zbyt wielkiemu importowi i nie zwiększymy wywozu naszych wyrobów zagranicę...”*

Panie ministrze przemysłu i handlu do dymisji!

Ale żart na bok. W tej nieprawdopodobnej szkolnej czytance, w której przez nikogo niepoprawiony staruszek – literat wypisuje duby smalone o poważnych zagadnieniach ekonomicznych, jest także oda na cześć... weksla (Stefana Themersona: „Kłopoty Franciszka Szerszy”).

Są opowiadki Maykowskiego o poetach i pisarzach zaczynające się tak:

*„Pod wieloramienną lipą siedział Jan Kochanowski i gładził brodę długą”.*

Albo:

*„Był znany wszystkim, najpierw w Polsce, a potem na całym świecie. Z jego pięknie urządzonego gabinetu w Warszawie rozchodziły się (!) po naszym kraju, a później w przekładach na obce języki, i po innych krajach, ogromne powieści, które największą radość sprawiały czytelnikom (!). Odgadł już każdy i każda z was, że to był Henryk Sienkiewicz”.*

No i jest na końcu słowniczek trudniejszych wyrazów, w którym uczniom siódmej klasy wyjaśnia się, że ornat jest to „wierzchni strój kapłański wkładany przy odprawianiu mszy”, że dentysta jest to „lekarz lub technik, leczący chore zęby i wstawiający zęby sztuczne”, i że wyrażenie „dać łupnia”, znaczy „pobić, pogromić”. Są wreszcie w tym słowniczku i wyrażenia, które uczniowie z pewnością lepiej by potrafili objaśnić autorom czytanki. Bo gdy np. autorzy podręcznika twierdzą, że „sierpowy” jest to „silne uderzenie w twarz, pozostawiające znak w kształcie sierpa”, to uczniowie, interesujący się żywo boksem, wiedzą doskonale, że niekoniecznie w twarz, i niekoniecznie pozostawiające ślad, a już tym mniej ślad w kształcie sierpa – tylko że jest to po prostu cios bokserski, zadany ręką niewyprostowaną, ale zgiętą sierpowo.

Uwaga na podręczniki szkolne!

## WAWRZYN AKADEMICKI PRZEDSTAWIA SIĘ

220 połączanych i posrebrzanych „Wawrzynów Akademickich”, rozdanych przed kilku dniami przez Akademię Literatury, wywołało już w prasie rozliczne a wcale jednomyślne komentarze. Nic dziwnego, bo temat jest istotnie wdzięczny i dający niemało okazji do upustu złośliwości. Toteż zapewne długo jeszcze będzie służył satyrykom i dziennikarzom.

Jest jednak w tym temacie coś, co podnieca nie tylko zmysł złośliwości, ale skłania do uwag ogólniejszej natury. Wybraniem takich a nie innych nazwisk, piętnastka akademików wystawiła świadectwo swojej orientacji w sprawach współczesnej kultury polskiej. Wystawiła świadectwo swojej umysłowości, odporności charakteru, poziomowi i pionowi.

Gdy pod tym kątem widzenia przestudiować interesujący dokument psychologiczny, jakim jest lista uwawrzynionych, gdy wgłębić się w jego styl, konstrukcję i treść, złożoną z nazwisk wybrańców – rzucają się przede wszystkim w oczy pewne cechy, w ogóle charakterystyczne dla epoki etatyzowania kultury, epoki zwanej także epoką braci Jędrzejewiczów.

Dokumencik, zawierający tekst orzeczenia o przyznaniu wawrzynów, wygotowany przez Akademię i rozesłany redakcjom z cennym autografem podpisu sekretarza generalnego Juliusza Kadena-Bandrowskiego – niczym nie znamionuje swego wysokoliterackiego pochodzenia. Jest to sobie normalny urzędowy kawałek, sporządzony według wszelkich zasad rodzimego biurokratyzmu.

Jak więc nakazuje podstawowy kanon urzędowy, lista zawiera niezbędne elementy; imię i nazwisko odznaczonego oraz jego stanowisko służbowe. Z większością odznaczonych nie było pod tym względem kłopotu. W rubryce nr 2 wpisywało się: „nac. wydz. Min. W. R. i O. P”., „Min. wiz. szkół”, „Urz. Kur. O. S”., „Kier. szkoły powsz”. itd., itd. Niestety, nie wszyscy odznaczeni mieli tak wyraźnie określoną pozycję w hierarchii służbowej. Lukę tę trzeba było wypełnić koniecznie jakimiś określnikami. Człowiek z samem imieniem i nazwiskiem to przecież coś niemal nieprzyzwoitego. A jak na złość, ta nieprzyzwoitość zagroziła poważnie samemu początkowi listy, oddziałowi odznaczonych „za wybitną twórczość literacką”. Dopisano więc sumiennie przy każdym nazwisku: „Xowi Ypsilonowi, literatowi”.

Objaśnienie to, posiadające może pewną wartość informacyjną przy takich aktualnie mniej znanych szerszemu ogółowi nazwiskach, jak Józef Ruffer, Ostap Ortwin czy Alfred Konar – nabiera jednak dość groteskowej barwy przy nazwiskach Świętochowskiego, Struga czy Iłakowiczówny. Literat Świętochowski i literat Strug! A Świętochowski i Strug nie wystarczy, panie literacie Kaden-Bandrowski?

Oddział I. odznaczonych, to jak się już powiedziało, pisarze uwieńczeni wawrzynem za „wybitną twórczość literacką”. Można długo myśleć i nie zgadnąć, dlaczego wysoki areopag akademicki uważa twórczość literacką Alfreda Konara za

wybitniejszą od dorobku pisarskiego pominiętych: Zygmunta Nowakowskiego, Stanisława Wasylewskiego, Jana Parandowskiego, Juliana Wołoszynowiskiego, Zofii Kossak-Szczuckiej i wielu innych. Są to zapewne subtelne kwestie akademickiego rozeznania estetycznego. Nie sposób również dociec, dlaczego to znakomity krytyk Wacław Borowy, znalazł się pośród odznaczonych literatów, a nie w następnej grupie krytyków i historyków literatury.

Ale nie jest żadną tajemnicą, dlaczego wśród odznaczonych za twórczość literacką pisarzy naprawdę wybitnych i zupełnie średnich, rzuca się w oczy brak nazwiska, którego pozycja w współczesnej literaturze polskiej nie może ulegać najmniejszej wątpliwości. Jednego z najwybitniejszych. Znakomitego dramaturga. Świetnego publicyście. Wspaniałego pamflecisty. Słowem: Adolfa Nowaczyńskiego.

To powtórne pominięcie przeciwnika politycznego i wielkiego pisarza, to pójście w ślady klanu Zawistowskich, przemilczających *ad usum regime'u*<sup>38</sup> sobiepańską, niezależną i nie liczącą się z niczym twórczość Nowaczyńskiego – jest przeraźliwym świadectwem małości tej Akademijki piętnastu.

I nie pokryją tego obłudne gesty rzekomej ponadpartyjności, owo przyznanie wawrzynu gładkiemu Miłaszewskiemu, czy przypomnienie sobie poniewczasie o Świętochowskim, gdy mu już świadectwo „prawomyślności” w głośnym wywiadzie wystawił generał Sosnkowski, prawdziwy Europejczyk, również spostonowany przez Botokudów<sup>39</sup> akademickich ich partyjniackim wawrzynem.

Nić tępego partyjnictwa przewija się czerwonym ściegiem przez cały ukaz odznaczeniowy. Wśród historyków i krytyków literatury pominięci: Ignacy Chrzanowski, Stanisław Pigoń, Adam Grzymała-Siedlecki, Zygmunt Wasilewski. Ten ostatni – niedawny laureat Akademii Umiejętności w Krakowie. I niech potem Kaden-Bandrowski nie wylewa łez krokodylich w „Gazecie Polskiej”, że akademie naukowe u nas zasobne i bogate, a Akademia Literatury biedna i bez pieniędzy. Fundusze krakowskiej Akademii Umiejętności pochodzą z ofiarności społeczeństwa, z zapisów, darów, aktów fundacyjnych. A ofiarność społeczeństwa – to kwestia zaufania, które tam, w Krakowie, umiano sobie zdobyć. Ofiarodawcy mają pewność, że w użytkowaniu funduszy kieruje się Akademia Umiejętności tylko dobrem nauki. Akademia Literatury swymi dotychczasowymi pociągnięciami, zwłaszcza zaś ostatnim rozdawnictwem wawrzynów, nie wytworzyła przekonania, że jedyne dla niej kryterium – to – literatura. I dlatego skazana jest wyłącznie na skromniutkie fundusiki, jakie da się wydusić z pustawej kasy skarbowej. Na to nie ma rady.

To naturalna konsekwencja tego choćby, że np. w całej bogatej publicystyce politycznej w Polsce, panowie akademicy literatury dostrzegają jednego tylko godnego

---

<sup>38</sup> [łac.] Na usługi rządu [redakcja]

<sup>39</sup> Botokudzi – południowo amerykański szczep Indian. Znani też jako Indianie Aymoré. [redakcja]

wawrzynu: Wojciecha Stpiczyńskiego. Że nie istnieje dla nich świetna publicystyka Bolesława Koskowskiego, Stanisława Strońskiego, Mieczysława Niedziałkowskiego. Ba, i że nawet jeśli już uchwalili przyznawać wartość literacką tylko publicystyce prorządowej, to i w tym zakresie nie umieli dokonać sensownego wyboru. Przedwczorajsza w formie i treści, patetyczna i pustosłowa publicystyka Rzymowskiego zapewniła mu fotel akademicki; ten sam rodzaj zapiewania publicystycznego Wojciecha Porannego odznaczono wawrzynem. A świetna, obrazowa, zwarta, rzeczowa, nowoczesna proza najwybitniejszego publicysty obozu rządowego, Ignacego Matuszewskiego, nie znalazła uznania w wysokim areopagu. Czyżby dlatego, że jej autor nie wybrany do senatu? Że zrozumiano to jako wskazówkę: lepiej nie! Może niełaska?

Lektura listy odznaczeń wawrzynowych bardzo jest pod każdym względem interesująca. Unaocznia ona zakres zainteresowań kulturalnych akademików. Rzecz np. znamienna, jak mało zainteresowania budzi w piętnastce akademickiej historia. Jeszcze historia literatury w dawce umiarkowanej – owszem. Ale poza tym! Ani jednego wawrzynka. Jakbyśmy wśród współczesnych historyków polskich nie mieli Zakrzewskich, Konopczyńskich, Bujaków, Kotów. Po dłuższych poszukiwaniach znaleźć wreszcie można jednego odnaczonego historyka (popularyzatora wprawdzie), ale i tego starannie zakonspirowano określnikiem: senator. Nie historyk, tylko senator Artur Śliwiński otrzymał złoty wawrzyn.

Najbardziej jednak mroczny i tajemniczy jest dział następny. Odznaczenia „za wybitne zasługi dla dobra literatury polskiej”. Paru naczelników, jeden radca, jedna wizytatorka, dwóch generałów itd.

Gen. Sławoj-Składkowski byłby niewątpliwie jednym z pierwszych kandydatów do odznaki honorowej Polskiej Akademii Higieny Wiejskiej, gdyby takowa istniała. Jego wybitne zasługi organizacyjne w armii doczekały się świeżo uznania w nadaniu wielkiej wstęgi orderu „Polonia Restituta”. Można by również zrozumieć, gdyby akademicy tak się rozsmakowali w rubasznym, żołnierskim stylu wspomnień legionowych generała, że uwieńczyliby go wawrzynem „za wybitną twórczość literacką”. Ale pewną rewelacją dla szerszych kół jest wiadomość, że dziarski generał, zajmując kolejno tyle odpowiedzialnych stanowisk w administracji państwowej i armii znalazł jeszcze czas na położenie „wybitnych zasług dla dobra literatury polskiej”,

I nie on jeden tylko w armii. Bo także, co będzie zapewne jeszcze większą rewelacją, generał Lucjan Żeligowski, bohaterski oswobodziciel Wilna. Ostatnio, po przejściu na emeryturę, generał zajął się energicznie ważną sprawą organizacji uprawy lnu. Lniarze obrali go prezesem honorowym swych związków. Tak ot i literaci postanowili być nie gorsi. Dali, znaczy się, wawrzyn. Żeby ciche zasługi dla literatury nie pozostały w cieniu.

Natomiast poeta-ułan i literatury wielbiciel generał Wieniawa-Długoszowski dlaczegoś tam w niełascie Akademii. Nic nie dali. No i najwybitniejszy nasz pisarz wojskowy, gen. Władysław Sikorski, oczywiście też pominięty. Ale tu już wiadomo dlaczego.

Zasługi naczelnika Zawistowskiego dla Akademii i TKKT<sup>40</sup> zbyt są powszechnie znane, aby nie rozumieć, że przypadł mu w udziale wawrzyn złoty, srebrnym zaś ukontentował się „za wybitną działalność organizacyjną w dziedzinie literatury pięknej” radca Michał Rusinek, słynny piewca karafki prezesa Sieroszewskiego. Także srebrny i za także zasługi otrzymała pani ministrowa Beckowa, inicjatorka pożytecznej skądinąd innowacji, aby kartoniki *menu* na obiadach dyplomatycznych projektowali artyści-plastycy.

Niema natomiast żadnych zasług dla dobra literatury ani nie rozwijał wybitnej działalności organizacyjnej Stanisław Michalski, dyrektor Funduszu Kultury Narodowej. Nie pomogło nawet stanowisko służbowe. Wawrzynu nie dostał.

Tu już wchodzimy w dżungłę porachunków, zawiści i małostek wielkich ludzi z Akademii tak mroczną i odrażającą zawilgłym wyziewem, że zwrócić się trzeba co prędzej w inną stronę.

Ale i gdzieindziej nie lepiej. W grupie plastyków i muzyków („wybitne zasługi dla sztuki polskiej w ogóle”) pominięto czy zapomniano Wojciecha Kossaka, Axentowicza, Pankiewicza, Sichulskiego, Szukalskiego (a Kuna jest), że tylko tych kilka nazwisk wymieni się tu przykładowo.

W grupie krasomówców Ignacy Paderewski, któremu biurokraty akademickie uważały za niezbędne dodać przy nazwisku objaśnienie „muzyk”, obok Daszyńskiego (chorego i nie biorącego już udziału w życiu politycznym, więc nieszkodliwego) i generała Sosnkowskiego – wszyscy zrównani z zdolnym polemistą sejmowym Miedzińskim. O krasomówstwie kaznodziejów polskich Akademia Literatury nic nie wie. Nazwiska arcybiskupa Teodorowicza, biskupa Szlagowskiego, ojca Jacka Woronieckiego są jej nieznanne.

Natomiast wcale obficie obdzielono wawrzynami prawników, szeregując ich na dwie klasy: „krasomówców sądowych” (złoty wawrzyn) i krzewicieli „kultu słowa polskiego w zawodzie adwokackim” (srebrny wawrzyn). Czy ten kult polega na pięknej stylizacji powództw cywilnych, czy na pięknościowych rozmowach z klientami w gabinetach adwokackich, tego bliżej nie określono. Dość, że i w złotych i w srebrnych wawrzynach pominięto takie wielkie nazwiska jeszcze przedwojennej palestry polskiej, jak Trąpczyński, Wróblewski, Berenson (z obrońców politycznych przedwojennych jest tylko Patek), dość że nie uznano za wybitnych mówców sądowych Szurleja, Niedzielskiego, Hofmokla-Ostrowskiego i wielu innych, naprawdę znakomitych przedstawicieli retoryki adwokackiej, natomiast wawrzynem srebrnym odznaczon adw. Krzywicki, mąż literatki Ireny Krzywickiej. Zawszeć jakiś związek z literaturą.

---

<sup>40</sup> Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej [redakcja]

Na śliskim terenie sądowym, znanym zapewne akademikom raczej ze słyszenia i z gazet, niż z autopsji (wyjątek stanowi procesowicz Miriam<sup>41</sup>), gafy są jeszcze zrozumiałe, choć niewybaczalne. A jeśli się zdarzają na własnym, najwłaśniejszym terenie teatralnym, to już sprawa przedstawia się znacznie gorzej.

Wawrzynami dla ludzi teatru sypnięto hojnie i demokratycznie. Tak demokratycznie, że nie zapomniano suflerów, z wyraźną krzywdą nieodznaczonych w dziale literatury a równie pożytecznych korektorów. Otóż zasługi dla sceny polskiej suflera Nieszporka i suflerki Janikowskiej są być może bardzo wielkie, ale jednak ten i ów gotów pomyśleć, że zupełnie pominiętego w odznaczeniach Juliusza Osterwy większe. Bo bądź co bądź Osterwa i jako wielki aktor i jako twórca Reduty pozostanie w historii polskiego teatru. Nieszporek prawdopodobnie nie. Nuna Szczurkiewiczowa, twórczyni polskiej sceny w Wilnie i w Poznaniu, zrównana srebrnym wawrzynem z suflerką Janikowską, to też coś nietęgo świadczy o orientacji panów akademików w sprawach teatru.

Tak samo, jak pominięcie wśród odznaczonych wydawców prof. Romera (Książnica Atlas), Rudolfa Wegnera (Wydawnictwo Polskie, Poznań), Szczepana Jeleńskiego (św. Wojciech), czy Gebethnera lub Arcta, nie wystawia Akademii świadectwa jakiej takiej choćby orientacji w sprawach wydawniczych.

Sto kilkadziesiąt nazwisk uwiecznionych wawrzynem „za szerzenie zamiłowania do literatury polskiej” i „krzewienie czytelnictwa”, usuwa się zupełnie spod możliwości oceny szerszych kół. Ale co gorsza, sposób dokonania oceny przez Akademię stoi pod znakiem zapytania. Musimy prześwietnej Akademii uwierzyć na słowo, że zasługi dla czytelnictwa np. Michała Pleszki, nauczyciela gimnazjalnego są większe, niż np., zasługi nieodnanzonego dyrektora Macierzy Szkolnej Stemmlera. Powstaje tylko pytanie: czy prezes Sieroszewski z czternastu akademikami wizytował np. gimnazjum p. Pleszki, szkołę powszechną p. Chudyby i pensję p. Poseltówny, odznaczonych srebrnym wawrzynem?

Bardzo być również może, że największe zasługi dla literatury polskiej mają w dziennikarstwie naszym szerzej nieznanymi pp. Czarski i W. Szmagier, że Bertold Merwin jest nierównie zasłużeńszy od nieodnanzonego Witolda Noskowskiego, kierownika najlepszego w Polsce działu kulturalnego w piśmie codziennym („Kurier Poznański”) i znakomitego krytyka (również w dziale krytyki pominiętego). Ale, do licha, skąd ta Akademia zebrała te rewelacyjne wiadomości?

---

<sup>41</sup> Pseudonim artystyczny Zenona Przesmyckiego (1861-1944) – pisarza, poety, tłumacza, popularyzatora twórczości Norwida, ministra Kultury i Sztuki w gabinecie Ignacego Paderewskiego oraz Leopolda Skulskiego, prezesa Polskiego Towarzystwa Ochrony Prawa Autorskiego. Piasecki nawiązuje tutaj prawdopodobnie do głośnego procesu o zniesławienie jaki Przesmycki wytoczył dziennikarzom Braunowi i Horzelskiemu, którzy wcześniej na łamach dwutygodnika „Zet” oskarżali Przesmyckiego o zawłaszczenie dokumentów i pamiątek po Stefanie Żeromskim (m.in. pamiętnika i listów).



I tu nasuwa się podejrzenie, że rozdawnictwo wawrzynów, zwłaszcza srebrnych, odbyło się według tej samej procedury, co np. przyznawanie krzyżów zasługi niższym funkcjonariuszom administracji państwowej. Drogą służbową poszedł do „odnośnych” urzędów okólnik: podawać kandydatów, no i Akademia, na wiarę pp. kuratorów i wojewodów, sypnęła odznaczeniami dla ludzi nieznanymi sobie i przedstawionymi w urzędowych papierkach.

A to bardzo nie po akademicku. Do grzechów małostkowości, ciasnego partyjnicstwa, załatwiania przy sposobności wawrzynów własnych porachunków, niechlujstwa i niedbalstwa – dołącza się grzech nowy: nieodpowiedzialności. Akademia dała się po prostu przekształcić w urząd rozdawnictwa orderków.

Nic więc dziwnego, że i komunikat Akademii o wawrzynach zredagowany jest w najczystszy styl urzędowym:

*„Odznaka Wawrzyn Akademicki przedstawia się (...państwo pozwolą, Wawrzyn jestem...), jako sześćoramienny krzyż (...osobliwy krzyż z sześciu ramionami...), oparty (...!...) na tych samych motywach, co Gwiazda PAL”.*

Wawrzyn akademicki przedstawia się... Oj, przedstawił się!

## COOK, PONTUS DE LA GARDIE I „BYŁO TAK”

Przeczytałem książkę Juliana Wołoszynowskiego „Było tak”. Poczytuję sobie przeto za obowiązek poinformować tych wszystkich, którzy jej nie czytali, a wypowiadają o niej przy kawiarnianych stolikach apodyktyczne sądy, zaczerpnięte z głośniejszej polemiki prasowej, że nie jest to bynajmniej biografia znakomitego podróżnika angielskiego James’a Cooka (1728–1779), ani nawet, że ten Cook nie jest postacią epizodyczną, występującą w książce. Czy go Wołoszynowski poplątał, czy nie poplątał z znakomitym pionierem turystyki Thomasem Cookiem (1808–1892), od którego z tych Cooków wzięły swą nazwę wagony Cooka, czy takie wagony w ogóle istnieją, czy też raczej istnieją tylko wagony Międzynarodowego Towarzystwa Wagonów Sypialnych, których bilety sprzedaje warszawska firma Wagons-Lits-Cook, będąca przedstawicielstwem biura podróży Cooka i wzmiankowanego Towarzystwa Wagonów Sypialnych – to doprawdy jest najcałkowiciej obojętne zarówno jako „zagadnienie” jak i dla oceny krytycznej książki Wołoszynowskiego.

A tymczasem, ilekroć zdarzyło mi się ostatnio rozmawiać o „Było tak” – każdy aplikował mi tego Cooka. „Czytał pan książkę?” „Nie”. Ale o Cooku wie. Że pomieszane są dwa Cooki i że to wsypa. Tak stało napisane w polemice.

Dodajmy, w najbezsensowniejszej polemice, jaka kiedykolwiek toczyła się wokół jakiegokolwiek książki. Ale zarazem też w polemice niesłychanie symptomatycznej dla stosunków literackich w kochanej Warszawie.

---

Niezmiernie mi przykro, po prostu osobiście mi przykro, że winowajcą tego ponurego bezsensu jest świetny krytyk K.W. Zawodziński, jeden z niewielu doprawdy krytyków naszych z prawdziwego zdarzenia. Staram się wyrozumieć, jak to się mogło stać, że właśnie on, który tyle swym piórem działał dla podniesienia poziomu ubożuchnej polskiej krytyki literackiej, mógł zejść tak nisko, dać najsmakowitszy żer kawiarnianej plocie, zastosować w ocenie zjawiska literackiego kryteria tak bezprzykładnie... ułatwione.

Cenię wysoko w pisarzu temperament; rozumiem, że krytyk temperamentowy i krwisty miewa swoje irracjonalne fobie (z własnej skromnej praktyki wiem, jak je nieraz trudno w sobie okiełznać); domyślam się, że jedną z takich fobii krytycznych Zawodzińskiego jest twórczość Wołoszynowskiego: niczym innym nie umiałbym sobie wytłumaczyć pasji, z jaką zabrał się w „Pionie” do zdzierania skalpu z głowy autora świetnego „Roku 1863”. Ale właśnie ta fobia nakazywałaby raczej zastosowanie poważniejszej metody unicestwiania przeciwnika niż wynotowanie z książki „Było tak” kilkudziesięciu fakcików, mogących mniej lub bardziej uchodzić za nieścisłości historyczne. Jedne są nimi w istocie, inne nie i łatwo zarzuty sparować. Jednych umiał Zawodziński dowieść przekonywająco, w innych zaplątał się, odślaniając własne krótkowidztwo (nie dostrzegając np., że w usta Mieszka I-go wkłada Wołoszynowski,

celowo oczywiście, słowa Piłsudskiego). Tworzy się w ten sposób gąszcz polemiki nieprzebytej; na placu zostaje, utrwała się w świadomości czytelników, jeden James Cook i dodatkowe fachowe wyjaśnienia znawców wagonów sypialnych. James Cook – naprzeciw książki o... historii Polski...

---

„Było tak” to nowa, a tyle mająca w naszej literaturze wielkich tradycji, próba poetyckiego ujęcia dziejów Polski. Można od razu wnieść spór zasadniczy, czy poetycka koncepcja jest w ogóle przeprowadzalna w prozie. Można przytaczać przykłady, że nie powiodło się to już Żeromskiemu („Duma o hetmanie”, „Wiatr od morza”). Można... po co mnożyć przykłady... dużo można. Ale nie sposób utworu poetyckiego atakować z rejestrem wynotowanych drobiażdżków historycznych w rękę. Nawet, gdyby książka Wołoszynowskiego była historią Polski w dosłownym tego słowa znaczeniu, to i wówczas, na te zarzuty, które postawił Zawodziński mogło być najwyżej miejsce w petitowym dopisku, tak jak sobie nawzajem prostują historycy pomyłki i niedopatrzania w dziełach naukowych.

Cóż dopiero mówić, gdy idzie o utwór literacki! Dla potomnych dłubaczy bardzo to wdzięczne zadanie. W przypiskach do szkolnych wydań „Pana Tadeusza” czy „Kordiana” niejedną taką znaleźć można uwagę: „Tu poetę zawodzi pamięć, bo...” itd. Rejestr ścisłości i nieścisłości historycznych w utworach literackich stanowić może nawet przedmiot bardzo pożytecznego studium. Świeżo w księdze pamiątkowej, wydanej ku czci prof. Ignacego Chrzanowskiego, przeczytałem interesującą rozprawkę p. Juliusza Kijasa pt. „Źródła historyczne Potopu Sienkiewicza”. Sumienny badacz, oddawszy hołd wiedzy historycznej autora Trylogii i jego czytaniu w źródłach, wyliczywszy punkt za punktem co na czym jest oparte i jak dalece historycznie wierne, nie zaniedbał również gwoli ścisłości wyliczyć wszystkich świadomych przeinaczeń prawdy i nieświadomych potknięć.

Tak więc chorążemu orszańskiemu Kmicicowi wcale nie było na imię Andrzej, tylko Samuel. Bitwa pod Szklowem, opisana przez Sienkiewicza jako klęska, w rzeczywistości była zwycięstwem. Na początku rozdziału I. zamiast daty 1652, powinna być data 1655, Nazwisko rotmistrza, prowadzącego pułk piechoty łanowej winno brzmieć Kwilecki, a nie Kościecki. Zamiast Słupski (I, 124) powinno być Słupecki. Bitwa pod Widawą była zwycięstwem, a nie klęską. Bogusław Radziwiłł pojedyńkował się z p. de Trimouille, a nie z panem de Fremouille. Lisola nie mógł do króla szwedzkiego jechać przez Częstochowę, bo jechał ze Szczecina przez Warszawę do Torunia, gdzie był przyjęty na audiencji. Prowincjał Paulinów nazywał się Bronowski, a nie Broniewski. Muller przybył pod Częstochowę 18 listopada, a nie 28 listopada. Nad królem, opuszczającym Warszawę, unosił się ptak biały, nie czarny. Na Pilicy pod Warką, most, który u Sienkiewicza atakuje Wąsowicz, był zerwany. Itd., itd., itd. – nie wyłączając spraw, które bardziej już mogą zmartwić miłośników Sienkiewicza: oto np. pan Zagłoba nie mógł mieć w Warszawie przygody z małpami, gdyż zwierzyniec znajdował się w pałacu Radziejowskich w Radziejowicach, 6 mil za Warszawą. A są i przeinaczenia, czy pomyłki

znacznie poważniejsze: Sienkiewicz ani słowem nie wspomina przy oblężeniu Częstochowy, że cudowny obraz został jeszcze przed nadciągnięciem Szwedów wywieziony z Jasnej Góry i ukryty w bezpiecznym miejscu. Przez cały czas oblężenia nie było go w klasztorze.

A pamiętacie z „Potopu” pięknie brzmiące nazwisko: Pontus de la Gardie? Ten Pontus nie był wcale Pontus, tylko Magnus.

Więc proszę sobie teraz wyobrazić, że któryś z krytyków, współczesnych Sienkiewiczowi, po ukazaniu się „Potopu”, nie zadając sobie fatygi omówienia tego, co w powieści istotne, występuje z tą litanią, zarzucając autorowi, że „puszcza się na brylowanie informacjami, których nie posiada”, Pontus de la Gardie mógł znakomicie odegrać rolę Cooka w przypadku Wołoszynowskiego...

-----

Szperactwo i wydłubywanie nieścistości jest zaraźliwe. Bo to i wdzięczne, i satysfakcjonujące. Przyjemnie jest popisać się erudycją historyczną. Toteż każdy z krytyków, omawiających książkę Wołoszynowskiego po Zawodzińskim, nie zaniedbał dorzucić od siebie jakiegoś odkrycia. Przyznam się szczerze, że i mnie, gdym czytał „Było tak”, brała chętka wstąpienia na tę utartą drogę. W szczególności wystąpić chciałem w obronie Anny Cylejskiej, drugiej żony Władysława Jagiełły, której brzydota tyle kłopotów przysporzyła panom polskim, swatającym wnuczkę Kazimierza Wielkiego królowi, co zresztą nie przeszkodziło im wcale później, już jako królowej, oskarżyć o miłostki z Jakóbbem z Kobylan. Według Wołoszynowskiego, Anna Cylejska (której interesujący życiorys przynosi ostatni zeszyt „Polskiego Słownika Biograficznego”), byłaby mitem, bo Kazimierz Wielki był bezpłodny. „Dziewczęta od niego nie rodzą, choć próbował zapładniać je”. A tymczasem Kazimierz Wielki, o którym kronikarz współczesny Janko z Czarnkowa pisze, że „był w sobie lubieżny jako mąż wysokiego rodu i hojnie od natury uposażony”, stosownie do hojnego uposażenia natury, potomstwo zostawił po sobie duże. Nie zostawił tylko legalnego potomstwa męskiego. Z pierwszej żony, Aldony Giedyminówny, miał dwie córki: Elżbietę i Kunegundę. Elżbieta, wydana za Bogusława pomorskiego, miała syna Każka (szczecińskiego); Kazimierz Wielki nosił się nawet pod koniec życia z zamiarem przekazania na wnuka dziedzictwa i w tym celu adoptował go. Z drugą żoną, Adelajdą heską, król dzieci istotnie nie miał; ale też miał do niej wstręt fizyczny i trzymał ją z dala od siebie w Żarnowcu. W tym jednak czasie miał trzech synów nieślubnych z kasztelanką sieciechowską, Cudką: Pełkę, Niemierzę i Jana. Ustala to Balzer w „Genealogii Piastów”, wbrew Długoszowi, który widzi w nich raczej synów króla z Esterki, a podaje także informację, że król miał z Esterką kilka córek, które pozostały w wierze żydowskiej. Z kasztelanką Cudką rozstał się król, gdy w Pradze poznał wdowę po mieszczaninie praskim, Krystynę Rokiczańską; według Balzera, wziął z nią nawet formalny ślub, nie oglądając się na ważność małżeństwa z Adelajdą. Z Krystyną dzieci, zdaje się, nie miał i szybko się z nią, dlatego rozstał, po czym jeszcze za życia Adelajdy, ożenił się powtórnie z Jadwigą żagańsko-głogowską, z którą miał dwie córki. Niemało

było kłopotu z ich legitymacją u papieża Urbana V. Jedna z tych córek, Anna, wydana za Wilhelma hrabiego Cyllei, dała życie Annie Cylejskiej, późniejszej żonie Jagiełły.

Bardzo się cieszę, że Wołoszynowski nie czytał zeszytów „Słownika Biograficznego”, obejmujących literę „A”, nie szperał po kronikach Janka z Czarnkowa i Długosza, ani ich nie konfrontował z „Genealogią” Balzera. Byłoby mu to zepsuło artystycznie jeden z najwspanialszych rozdziałów książki: wstrząsający opis tragedii bezpotomności Kazimierza Wielkiego. Bezpotomność Kazimierza jest u Wołoszynowskiego jakby karą za rozrzutną młodość, roztrwonioną w przelotnych uciechach. Tragedia króla, który nie zostawia dziedzica tronu – i tragedia człowieka, na którym kończy się życie bezpotomne:

*„Rękoma zastłoniwszy oczy, siedział nad wielką księgą statutu wiślickiego i czytał w swojej głowie nie jego paragrafy napisane, lecz te nienapisane paragrafy uczuć, w jakich zawiera się tęsknota męska za swą przyszlą krwią i za swym, mającym zginąć bez ciągu dalszego, widowym ciałem:*

*– Żyję. Jeszcze żyję. Kiedy umrę, pochowają mnie. Zgniję, stanę się potem proch; potem mnie wiatr rozwieje. Składam się z kawałeczków materii, które się mnożą – z obiegu krwi, która żywi. Chcieć z siebie dać je i nie móc. Wiedzieć o swojej śmierci, do ostatniego włókna ciała, do ostatniej odrobiny krwi – jeszcze za życia. O, co za rozpacz niepokieszona...”*

Gdyby te zdania przejmujące wypadło skorygować autorowi ograniczeniem ich do bezpotomności w linii męskiej tylko, jakżeby zwiotczały artystycznie! A i tzw. prawda historyczna niewiele by na tym zyskała. Ta prawda historyczna, o jaką chodziło Wołoszynowskiemu w „Było tak” – prawda legendy.

Trzeba bowiem chyba zupełnie nie chcieć wnikać w oczywiste intencje autora, żeby nie dostrzec, że historia Polski w „Było tak” – jest historią tego tylko, co żyje w legendzie, co utrzymało się w powszednich poglądach ogółu. Stąd zabawne są wszystkie pretensje do Wołoszynowskiego, że nie próbował zająć rewizjonistycznego stanowiska wobec historii, kiedy widoczna jest jego ostrożność w wprowadzaniu na karty książki nawet tych rewizji historycznych, które zdobyły sobie częściowe prawo obywatelstwa w potocznych sądach o historii. Z przedstawienia sprawy Bolesława Śmiałego i św. Stanisława widać, że Wołoszynowskiemu nieobce są wyniki badań Wojciechowskiego – a przecież idzie raczej w opowieści za poetą Wyspiańskim, niż za historykiem Wojciechowskim. Jak w legendzie: Bolesław wpada do kościoła i podczas nabożeństwa, przy ołtarzu, sam zabija biskupa.

Tak samo z Kazimierzem Wielkim. W legendzie – jest to król, który nie zostawił syna, umarł bezpotomnie. Wnuk po kądzieli Każko nie objął tronu; zostawiono mu tylko jako lenno ziemię dobrzyńską. O córkach królewskich z Jadwigi nawet współcześni zapomnieli rychło. Następca Kazimierza Wielkiego, syn Elżbiety Łokietkówny, Ludwik Węgierski, wywiózł je spiesznie zagranicę, aby nie krzyżowały jego planów w następstwie

tronu. Potem Annę wydano za mąż do dalekiej Cyllei. O jej córce, księżniczce z krwi piastowskiej, wnuczce Kazimierza Wielkiego, przypomniano sobie w Polsce dopiero wtedy, gdy po śmierci Jadwigi trzeba było umocnić Jagiełłę na tronie polskim małżeństwem z Piastówną. Cóż ten epizod znaczy dziś w legendzie, kiedy i wtedy znaczył niewiele: córka Jagiełły i Anny zmarła młodo, zmarła i Anna, a król jeszcze dwa razy się żenił, nim zostawił dziedzica.

Kazimierz Wielki Wołoszynowskiego w swym tragizmie bezpłodności i bezpotomności prawdziwszy jest artystycznie, prawdziwszy naszemu odczuciu legendy, niż ten historyczny z wnukiem Kaźkiem, z licznym potomstwem nieślubnym i dwiema córkami z Jadwigi, legitymowanymi wśród kłopotów w Rzymie, z czego i tak nic historycznie ważnego nie wynikło.

---

Na tym przykładzie najlepiej się może uwidocznić, jak pozbawione wszelkiego sensu byłoby ocenianie książki Wołoszynowskiego z punktu widzenia jej ścisłości historycznej i erudycji historycznej autora. Trzeba tu zastosować kryteria całkiem inne: kryteria literackie.

Pod tym względem „Było tak” jest książką, której parantele łatwo wyznaczyć. Nie darmo Wołoszynowski napisał powieść o Słowackim. Słowackiego „Król Duch” zainspirował Wołoszynowskiego w wewnętrznej koncepcji książki – jej zaś forma jest unowocześnieniem prozy poetyckiej Żeromskiego. Nie są to bynajmniej uwagi wpływologiczne ani umniejszające pozycję „Było tak” w współczesności literackiej. Przeciwnie. Fakt, że książka posiada rodzimy rodowód, jest raczej dowodem jej organicznego zrośnięcia z piśmiennictwem; a bez tego nie może być mowy o dojrzałości pisarskiej dzieła.

W rodowodach literackich obserwujemy zazwyczaj (choć nie zawsze) zjawisko przeskakiwania cech dziedzicznych o jedno pokolenie, o jeden okres literacki. Nowy okres w literaturze powstaje najczęściej w opozycji przeciwko okresowi co dopiero minionemu, a w nawiązaniu do poprzedniego. Z dalszej perspektywy dopiero widać ciągłość; różnice, wynikłe z opozycyjności wobec siebie okresów literackich, zacierają się. Dla współczesnych jednak, utwór literacki, który wyłamuje się z zwyczajnego rytmu, utwór, w którym wyczuwa się ciągłość bezpośrednią z okresem co dopiero zakończonym, nabiera cech epigonizmu. Tak jest z książką Wołoszynowskiego.

A tymczasem, ta młodopolskość prozy Wołoszynowskiego nie jest wcale tak bardzo epigońska, jakby się wydawać mogło. Gdy niektóre karty „Wiatru od morza” Żeromskiego, czy „Żywych kamieni” Berenta, którymi tyle się niegdyś zachwycono, dla nas, nawykłych do rzeczowej, klarownej prozy nowoczesnej, stały się po prostu nieczytelne – Wołoszynowski umie swemu młodopolskiemu językowi nadać powab nowoczesności. Jego metaforyka ma w sobie świeżość, jest przewyciężeniem trudności dla pisarzy z poprzedniego pokolenia niepokonalnych. Jego proza jest znowu – czytelna.

Natomiast, jak prozie poetyckiej w ogóle, brak jej możliwości kompozycyjnych w większych całościach. Taką prozę najchętniej smakuje się po kawałeczku. W utworach dłuższych (nawet w „Anhellim” nawet w „Dumie o hetmanie”) staje się monotonna i nużąca. W bogatej ornamentyce zatracają się węzły kompozycyjne. Wołoszynowski próbuje sobie z tym radzić przez założenie formalne: każdy rozdział książki zaczyna się końcowym zdaniem rozdziału poprzedniego. Daje to pewien efekt muzyczny – ale zarazem, niestety, efekt sztuczki.

Toteż z książki Wołoszynowskiego utrwalają się raczej w pamięci poszczególne obrazy, te zawarte pomiędzy klamrami niż pozostaje wrażenie epickości tematu. Epopeja dziejów Polski postrzępiła się na liryczne fragmenty. Dodajmy od razu: fragmenty przedziwnie wyczute w nastroju. Często: małe arcydziełka.

Bo Wołoszynowski, tak jak w „Roku 1863”, tak i w swej nowej książce jest mistrzem nastroju. Od niesamowitego „Snu Słowianina”, którym zaczyna się książka, do ostatniej karty, umie Wołoszynowski przedziwnie wczuwać się w nastroje chwil opisywanych i zbliżać je dzisiejszości. Kilkoma zdaniami naszkicuje scenę, która na zawsze zostaje w pamięci. To Kazimierz Wielki w rozmyślaniach nad statutem wiślickim, to jesienna miłość Kazimierza Jagiellończyka do Elżbiety, to Zygmunt August za czerwonym karawanem Barbary, to Sobieski pod Wiedniem, to Stanisław August przed lustrem. Lub te opisy kilkuwierszowe, a tak w treść bogate, jak to średniowiecze przechodziło w renesans, jak Ukraina budziła się burzą kozacką, jak barok upowietrznił się w rokoko. Ale mniej już przemawia Wołoszynowski do czytelnika albo wcale nie przemawia wtedy, gdy pośpiesznymi rzutami pióra przebiega duże okresy dziejów, rejestruje nazwiska i fakty, zsynchronizowane (nie bez pewnej szablonowości) z takimiż nazwiskami i faktami zagranicznymi. Brak tym podrójom wzdłuż i wszerz historii wyczucia epickiego.

Najważniejszym jednak zagadnieniem, gdy mowa o książce, obrazującej dzieje Polski, jest oczywiście— koncepcja historii, jaką dał pisarz. Koncepcja Wołoszynowskiego zrodziła się, jak się już powiedziało, z „Króla Ducha” Słowackiego. Ale jest to koncepcja bardzo odmienna. Nie duch narodu wciela się w wielkie jednostki wodzów, ale przeciwnie, naród jest miazgą, którą wielcy tego świata ugniatają dowoli:

*„Starzy umierają. Młodzi się rodzą. To wszystko są fale zmienne. Jak przyptywy, odpływy mórz. Jak przybory wiosenne rzek, a potem susze letnie – lody zim, złoto i czerwień jesieni. – Nie pytać o to. – Wszystko mija, minie. Ludzie prości tylko się kładą w ziemię i zasypiają snem prochów – inni, wielcy udają tylko śmierć, nie umierają nigdy – pamięta się ich jak baśń, jak straszną, czarowną baśń wspomnienia – z imionami ich wiąże się świat! – Oni jeżdżą gdzie chcą, zmieniają ziemię jak chcą, zmieniają ludzi jak wolą. Są baśnią o wszystkich możliwościach”.*

Takich wielkich wodzów uwypukla Wołoszynowski na kartach swej książki kilku. I wszystkich ich, aby zbliżyć do współczesności, widzi i ukazuje poprzez postać Piłsudskiego. Już na samym początku książki, opisując śmierć Mieszka, wkłada Wołoszynowski w usta staremu księciu słowa Piłsudskiego:

*„– Synu, trzymaj mocno, nie popuść. – Bolesław trzyma rękę umierającego ojca, po jego zdrowej młodej twarzy, opalonej czerstwo, ciekną łzy.*

*– Dobrze, tato – powiada.*

*– Wszystko zrozumieć, niczego nie przebaczyć – mówi Mieszko”.*

Wiarę w przemożną, decydującą rolę wielkiej jednostki w życiu narodu najdobitniej podkreśla Wołoszynowski w opisie śmierci Chrobrego:

*„– Śmierć dziwnymi chodzi drogami – myślał koronowany Chrobry umierając. – Wszystko niszczy... Trzeba ciągle zaczynać od początku... Gdzież może powstawać ciągłość, gdy człowiek jest wszystkim, a nic nad niego nie trwalsze? Czyż są silniejsze siły nad człowieka, które by przetrwały jego życie. Niema ich – nie znam ich. Gdzież są one? W kim, w czym, gdy wszystko kończy się z jednym człowiekiem? Czy można przekazać swoje życie innym, swoje siły innym. Sami muszą zaczynać na nowo. Nie widzę nic, co by mnie prowadziło do tego. Gdzież jest eliksir wiecznego życia? Czemu nie wynaleziony? Czyż tak samo nie dzieje się z innymi, jak teraz ze mną? Kto ich poprowadzi do tego, co ja im ukazałem? Jestem sam, sam jeden na cały kraj – jak źle, jak ciężko, jak to wszystko we mnie zapatrzone, mnie zgadujące z oka, z poruszenia warg – jak to wszystko ślepe i jeszcze szczeniowate, – bydło, które trzeba pędzić batem na pastwisko. Paść się umieją – to, ich całe życie. Byłem pastuch bydła – co mi zostało: matka – ziemia moja, ona dla mnie była wszystko”.*

Pozorna jest sprzeczność tych rozmyślań przypisanych przez Wołoszynowskiego Chrobremu z zacytowanymi wyżej słowami o wielkich, którzy udają śmierć i nie umierają nigdy. Wynika tylko z różnych kątów patrzenia: tam autor mówił od siebie o wielkich, tu stara się oddać myśli wielkich o sobie. Sens pozostaje ten sam: wielkość jednostki – i małość zbiorowości. Pastuch i bydło.

Toteż Wołoszynowskiego mało obchodzą wielkie ruchy społeczne czy prądy filozoficzne, nurtujące dzieje. Ledwie o nich wspomina. (Raz tylko na początku książki obalenie Popiela przez rewolucję piastowską zdaje się mieć podkład społeczny). Interesuje go przede wszystkim psychika wielkości, technika woli ludzkiej. Pisząc o Łokietku, doda:

*„Temu, kto zawziął się zwyciężyć i zwyciężył, najdroższe są wspomnienia tamtego zawzięcia się, a nie owego już zwycięstwa. Człowiek walczy ze światem, ale więcej ze sobą – taki co zwyciężać musi”.*



I takie przedstawi czytelnikowi rozmyślenia Łokietka:

*„– Gdzie zatrzymuje się myśl, a zaczyna się dźiać dźiałanie? Czy kiedy pisałem na ścianie groty (ojcowskiej) w skale swoje litery królewskie – i układałem moje własne państwo – byłem już tym, czym jestem? Czy dopiero teraz? A są przecież na świecie poeci, którzy tylko tym żyją i tym umierają, że piszą swe światy duszy – i to jest ich jedno dźiałanie? Czy każdy jest najprzód poeta – a potem dopiero człowiek?”.*

(Ten sam motyw wodza-poety powtarza Wołoszynowski przy Sobieskim: „Prowadzić bitwy – to pisać wiersze”).

Skonkretyzowanie w wnioski dla Polski tych wszystkich przesłanek myślowych o roli wielkiej jednostki zawarł Wołoszynowski w rozmowach Batoroego z Zamoyskim:

*„– Z kim się dzielić władzę? – mówił król – władzę się bierze, a kto ją weźmie, ten nie może już puszczać. Nie wolno tylko przegrywać. Polacy są anarchistycznym plemieniem. Trzeba ich uczyć dyscypliny. Cara im trzeba, satrapy. Nam nie wolno cofać się przed zabijaniem, bo my tworzymy zwycięstwa, a nie wypadkowe zdobycze, średnie fakty. Trzeba, żeby zrozumieli, że od liberalizmów swych, leniwych właściwie i niezdarnych, prowadzić ich będą do siły, która im przecie zostanie, a nie mnie. Na diabła mi ona, jeźliby nie to, że ja ich uczę. Chcę, żeby byli silni, żeby ten naród i kraj, to państwo przeze mnie robione z miękkiej gliny jeszcze, było silne – swoboda dopiero w sile. To tak, jak z jednym człowiekiem, nie ma zębów wilczych, zjedzą go”.*

Rozmowa toczy się dalej o wojsku, o konieczności szerokiego oparcia Polski o morze, o ziemiach na północy. Mówi Batory:

*„– Musimy w tym miejscu mieć uzbrojone plecy. Stąd musi się rozciągać wielkość Polski jako koncepcji politycznej w Europie. To są dzisiejsze czasy, ale one wybiegają daleko, w czasy przyszłe. Trzeba skończyć bajkę o polskiej nieumiejętności rządzania się u siebie, wykrzesać iskry z tych podków, które są ciężkie i silne i z animuszem umierać umiejące”.*

Że Wołoszynowski, pisząc te słowa, miał na myśli raczej aktualność, niż czasy batorowe – to jest oczywiste: Polska ówczesna, Polska, która co dopiero przeżyła okres swojej największej świetności za Jagiellonów, nie mogła słynać w Europie bajką o nieumiejętności rządzania się u siebie. Wróćmy jednak do przerwanej rozmowy. Mówi Zamoyski:

*„– Polska zawsze była rycerstwem, lecz jej często brakowało wodzów. To był zawsze rycerski zakon, któremu potrzebny był wielki mistrz z ręką jak*

*miecz... Trzeba... nauczyć nas regularności w walce, nie słomianego ognia – uporu wytrwania.*

*Król przerwał:*

*– Spróbuję tego uczyć, choćby okrutnymi batami...*

*Zamoyski powiedział na to:*

*– Ojcowskie prawo chłostać dyscypliną i przygadywać za co – dla nauki – ojcowskie prawo twarde, a wiodące do celu najskuteczniej – niedorośle do czystych słów i dojrzałych obejmowań świata – pokolenie”.*

Do tego samego tematu powraca jeszcze Wołoszynowski, kreśląc rozmyślania przedśmiertne Batorego:

*„– Jak z wilkami – bredził król – biłem się z nimi. Oczy ich na mnie patrzyły z trwogą i z nienawiścią zarazem. Mówili pewno – z wilków oswoić chcę sobie psy. Idioci, czyli nierozgarnięci, nieuczni. Na sejmach – pilnowali więcej swych futorów, niż ojcowizny swej wspólnej. Zostawiam ich w mroku”.*

A teraz, na zakończenie tych przydługich, ale koniecznych cytata z książki, jeszcze jedna, już ostatnia: Piłsudski opowiada o swych rozmyślaniach, jeszcze przed wojną, w Ostendzie:

*„– Chodzę nad tym czystym morzem i dumam. Pomyślałby kto, że to durny chodzi po brzegu samotnik, który coś laską wypracowuje na mokrym piasku. W tym była taka nauka: Jesteście młodzi i zdrowi, to najważniejsze. Kocham was, a będę bił, gdy będzie trzeba. Wtedy, nad morzem, na piasku, rysowałem sobie plan działania. Bądźcie spokojni. Wszystko obliczone. Tam na piasku rysowałem sobie was i krzyżyki nad wami. Na tych krzyżykach mądrze ustawiłem karty fałszowane całej Europy – i potrafię je pofałszować w słowniku historii. Miła ojczyzna nasza – to ta ziemia, nie ludzie; wy nie ludzie zaś, a ta ziemia dla mnie i dlatego mam dla was uczucie pługa, krającego ziemię; wy dla mnie święty gnój tej ziemi, smarkaci strzelcy wąsatego już Strzelca”.*

Trzeba było obszernie przytoczyć najbardziej dla koncepcji dziejowej Wołoszynowskiego charakterystyczne wyjątki z „Było tak”, aby móc rozpatrzeć pewną – mówiąc żargonem teatralnym – „sztampę”, jaką już przyklejono na książce. Że jest to książka – nacjonalistyczna. W wyborze tematu, oczywiście tak. Pisarzowi bez instynktów narodowych nie przyjdzie na myśl przetworzyć literacko – dzieje Polski. Ale pogląd Wołoszynowskiego na te dzieje bynajmniej nie jest nacjonalistyczny, nie jest nacjonalistyczny w nowoczesnym rozumieniu tego słowa. Jest na wskroś arystokratyczny, elitarny – czy, używając żargonu politycznego – faszystowski.

Arystokratyzm zaś i elitaryzm, choćby przybierały jak najbardziej narodowe barwy, nie pokrywają się wcale z ideą nacjonalistyczną. Ustrój elitarny może zbudować silne państwo. A państwo już etymologicznie jest czymś zupełnie innym od narodu: pochodzi od panów, podczas gdy naród to powszechność. Wołoszynowski, kreśląc sylwetkę Bolesława Chrobrego, wydaje się być niekonsekwentnie zresztą, zwolennikiem hipotezy Piekosińskiego o powstaniu państwa polskiego przez najazd, a nie przez chłopską rewolucję społeczną, jak to sam opisuje na początku. Jego Chrobry ma psychologię potomka najeźdźców. Inaczej nie mogłoby mu przyjść na myśl porównanie siebie do pastucha, a narodu do bydła.

Takim Chrobry, z tego, co o nim wiemy, nie był. Jeśli mógł porwać się na rozszerzanie granic, na ambitną myśl zbudowania olbrzymiego państwa słowiańskiego, to nie tylko dlatego, że był sam wielką indywidualnością i wspaniałym wodzem: ale dlatego, że miał za sobą społeczność małej jeszcze ówczesnie, ale już Polski. Miał za sobą, jakbyśmy dziś powiedzieli, naród. Dlatego jego dzieło, choć następcom nie starczyło tchu na utrzymanie gigantyczności koncepcji, było trwałe. W historii pozostali tylko Chrobry i jego drużyna rycerska, a narodu ówczesnego nie widać. Ale w legendzie naród jest. Drużyna rycerska nie mogłaby odnosić świetnych zwycięstw, gdyby nie miała zaplecza, gdyby w kraju nie rozumiano jej celów politycznych. Albo, te zwycięstwa byłyby nic nie przyniosły w skutkach, nie powstałaby z nich wielka Polska, byłyby w historii epizodem, takim jak zwycięstwa Aleksandra Macedońskiego, czy rajdy wojenne Napoleona od piramid do Moskwy.

Zagadnienie wodzostwa jest w naszych czasach szczególnie aktualne. Nie można go jednak sprowadzać do konfliktu wybitnej jednostki z zbiorowością, bo to jest zagadnienie inne, zagadnienie dyktatury. Wódz narodu, to nie jest wielka indywidualność, której głównym atrybutem jest bat. Wódz narodu to ten, który ogniskuje w sobie dumę zbiorowości i umie ją rozpłomieniać, to ten, który jest symbolem prądów społecznych i umysłowych, nurtujących naród, to ten, który tyleż swą wielkością daje narodowi, ile z niego dla swej wielkości bierze. I historia narodu niekoniecznie musi być znaczone nazwiskami wielkich wodzów. Nie zawsze wielkie koncepcje dziejowe, te, które dają narodowi wielkość, dadzą się upersonifikować w jednostkach. Wielkość Polski jagiellońskiej jest tego najwymowniejszym dowodem.

Natomiast wydaje mi się, że niezasłużoną karierę w poglądach historyków zrobił Batory, i przez Wołoszynowskiego jako ideał wodzostwa przedstawiony. Batory to był zawodowy król, spec rządzenia, powołany na tron polski przez szlachtę, nie mogącą się pogodzić co do obioru króla narodowego, „Piasta”. Powołany został jako fachowiec, który się wykazał przedtem na księstwie siedmiogrodzkim gospodarnością i talentami wojskowymi. Decyzja powołania Batorego na tron nie wypływała z żadnej głębszej koncepcji politycznej. Zaślubiny Anny Jagiellonki z Batorem, to było zupełnie co innego niż ślub Jadwigi z Jagiełłą, który rozszerzył Polskę. Tu tylko obcy przyszedł na tron, bo zwaśnieni swoi woleli księcia siedmiogrodzkiego niż Jana Kostkę czy Andrzeja z Tęczyna.

Batory jako fachowiec, istotnie nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. I gospodarzem był tęgim i wodzem wojska znakomitym. Zawiódł tylko nadzieje magnatów, którzy myśleli, że będą w nim mieli powolne narzędzie. W obronie swojej władzy wydał im walkę, która w historii przysporzyła mu sławy sejmoburcy i bicza bożego na warchołów. Jego głową polityczną był Zamoyski. Jego koncepcje nie wychodziły poza tradycyjne koncepcje jagiellońskie. Nie wrósł w kraj, którego był królem. Do końca życia nie nauczył się po polsku, mówił po łacinie. Po wielkiej burzy sejmowej z powodu stracenia Samuela Zborowskiego, pisał: „...ciężko jest w Polsce królować, gdyż plemię nasze jest chciwe i lekkomyślne, dziś dasz, a nie dasz-li jutro, w niwecz to... By nie szło o sławę, puściłbym to królestwo”.

Ale że szło o sławę, dotrwał do końca, zwycięstwami nad Moskwą utrwalił się w pamięci, i z czasem, po niefortunnych rządach Wazów, prawem przeciwstawienia urósł w historii na następcę Chrobrego. Obcy król na polskim tronie.

Wołoszynowski, w zgodzie z tą oceną, przypisuje mu znaczenie ogromne, a możliwości, przerwane przedwczesną śmiercią, jeszcze większe. Równa go z Piotrem Wielkim w opisie tych czasów:

*„Nad epoką, która przychodzi, dominuje swą wielkością Piotr I rosyjski. On dyktuje politykę na wschodzie Europy. On przejął rolę dawnej Polski wielkiej, tworzył na to miejsce rolę wielkiej Rosji, europeizowanej gwałtem. Z Azji rosyjskiej wyciosywał rosyjską Europę. Był tym dla Rosji, czym dla Polski zaczynał być, lecz roli swej nie dokończył – prowadził ją tylko przez dziesięć krótkich lat – Stefan Batory”.*

Otóż – Polski nie trzeba było europeizować ani wyciosywać jej z Azji. Polska była i jest od tysiąca lat – Polską. Ta wschodnia koncepcja wodza z batem *a la* Piotr I, nie ma u nas żadnego zastosowania. Nie potrzebujemy Kemala Paszy dziś, ani też Batory nie próbował nim być przed czterystu laty. Znał swoje miejsce. Ale niepokojące jest to, że w dzisiejszych czasach tak je źle znamy.

Nacjonalistyczna koncepcja Polski – to nie jest koncepcja dyktatury wodza i elity rządzącej nad narodem. To koncepcja dyktatury narodu. To rozbudzanie poczucia dumy narodowej w najszerszych warstwach, to naród równości społecznej i hierarchii obowiązków, to ekspansja idei polskiej na zewnątrz, po szlakach jagiellońskich.

I dlatego, zdaje mi się, że myli się Wołoszynowski, gdy pisząc w swej książce o czasach ostatnich, o ruchu piłsudczyków, tak rzecz formułuje:

*„Z opozycją prawicową szła ciągła walka nie o hasła, nie o światopogląd – o monopol raczej imienia: obóz wielkiej i jednej Polski”.*

Walka idzie o coś ważniejszego niż imię. Właśnie – o światopogląd.

## OFENSYWA DŁUBACZY

Dzieje literatury polskiej zaczynają się w każdym podręczniku od historyka Gallusa-Anonima i jego Kroniki, pochodzącej z początku XII-go wieku. Potem długo, długo, bo przez całe stulecie – nic. I znów historyk: mistrz Wincenty Kadłubek. Najwybitniejszym pisarzem Polski średniowiecznej (łacińskim oczywiście jeszcze) jest historyk Jan Długosz. Poprzez całe dzieje literatury naszej, aż do czasów stanisławowskich, historycy jako pisarze, a więc współtwórcy literatury, wymieniani są obok poetów. Biskup Adam Naruszewicz, jeden z najtęższych pisarzy wczesnej ery stanisławowskiej, jest poetą i historykiem zarazem. Świetne tradycje historyków-pisarzy godnie reprezentują w czasach porozbiorowych Szujski, Szajnocha, Kalinka, Kubala. Nie sposób wyobrazić sobie historii literatury polskiej bez ich nazwisk.

Nie sposób byłoby również wyobrazić sobie jej bez nazwisk publicystów i pisarzy politycznych. Od Ostroroga, Frycza Modrzewskiego i Orzechowskiego do Kołłątaja i Staszycy, publicystyka polityczna jest jako rodzaj literacki równouprawniona na kartach historii literatury z tzw. piśmiennictwem pięknym. O Orzechowskim tyleż pisze się w podręcznikach, co o Kochanowskim czy Reju, o Staszycu niemniej niż o Krasickim, czy Trembeckim. Ale kiedy przed kilku laty miasto Poznań przyznało nagrodę literacką wielkiemu pisarzowi politycznemu Polski współczesnej, Romanowi Dmowskiemu – ileż było na ten temat różnych głupawych docinków i konceptów! Dmowski – i literatura?

Na tym przykładzie najjaskrawiej się uwydatnia, jak dalece zacieśnione i zubożone zostało u nas w ostatnich czasach pojęcie literatury. Za pisarzy uznaje się już tylko poetów i beletrystów; w drodze łaski jeszcze krytyków literackich (tzw. eseistów) i historyków literatury. Ale już i na nich szykuje zamach znakomita pisarka polska, sama panna Szpyrkówna; sławna ta autorka postawiła na ostatnim walnym zebraniu Związku Zawodowego Literatów wniosek, aby „pisarzy prawdziwych” (t. j. beletrystów i poetów) rozgraniczyć od pół-pisarzy, publicystów; aby wprowadzić specjalne kategorie członków.

Zacieśnienie pojęcia literatury uzewnętrzniło się niemniej jaskrawo w skompletowaniu ekipy Polskiej Akademii Literatury. W przeciwieństwie do Akademii Francuskiej, która piśmiennictwo traktuje szeroko i wśród swych członków zalicza zarówno poetów i beletrystów, jak i historyków, publicystów, polityków, kaznodziejów czy pisarzy wojskowych – nasza Akademia ograniczyła się li tylko do tzw. literatów pięknych. Kilka pozornych wyjątków tłumaczy się prosto: publicysta Rzymowski raczej za recenzje teatralne obrany niż za artykuły polityczne; prof. Kleiner jako historyk literatury (gdyby był historykiem „czystym” – już by jego szanse spadły do zera); prof. Zieliński z pewnością bardziej zawdzięcza gwiazdę akademicką swej dostojnej brodzie, niż wspaniałym studiom religiohistorycznym.

Owo kurczenie się zakresu, nazywanego u nas literaturą, ma bardzo poważne konsekwencje, zwłaszcza gdy idzie o historię. niesprawiedliwością zresztą byłoby powiedzieć, że historia została wyeksmitowana z literatury przez literatów. Wyprowadziła się sama, a ta wyprowadzka odbyła się nieledwie w ciągu ostatnich lat kilkunastu. Historyk, przybrawszy dumne miano naukowca, zaczął gardzić swą przynależnością do literatury. Ba, nawet zaliczanie go do literatury poczytywać sobie za despekt. Prof. Handelsman w swojej „Historyce” z przekąsem wyraża się o takim typie historyka, jaki jeszcze reprezentował Szymon Askenazy. Jako ideał stawia dzieło historyczne suche, naszpikowane przypiskami, broń Boże nie po literacku pisane. Literackość sposobu przedstawiania jest niegodna historyka...

Historia, po swoim odmaszerowaniu z literatury do nauki, zostawiła lukę trudną do wypełnienia. Pozbawiła szersze koła inteligencji możliwości uczestniczenia w zdobyczach wiedzy historycznej. Stempel naukowości działa na przeciętnego czytelnika odstraszająco. W dodatku, sprawa nie ogranicza się do stempla. Nowsze dzieła historyczne, w porównaniu z dawnym Szajnochą czy Kubalą, są istotnie trudno dostępne, ciężkie, nudne, zakalcowate. Czyż np. zwykły czytelnik, ten sam, który z najwyższym zainteresowaniem, jak najciekawszą powieść, przeczyta „Jadwigę i Jagiełłę” Szajnochy, czy „Szkice” Kubali – potrafi się przegryźć przez suchą monografię Zakrzewskiego o Chrobrym? Stąd też zainteresowania historią Polaki, nie znajdując pożywki, słabną u nas w sposób zastraszający. Nie tak to jeszcze dawne czasy, kiedy wielka dyskusja pomiędzy szkołą historyczną krakowską a Balzerem o przyczyny upadku Polski czy rewizja stosunku do zatargu Bolesława Śmiałego z biskupem Stanisławem, podjęta przez Wojciechowskiego, czy wreszcie polemika o powstanie państwa polskiego (Piekosiński) – były na ustach całej inteligencji, znajdowały odzwierciedlenie w poezji i dramacie (Wyspiański!). Kto dzisiaj wie o podjętej przez Skałkowskiego rewizji postaci Kościuszki? Jaki utwór literacki osnuto na tle nowej sylwetki Barbary Radziwiłłówny, skreślonej przez Kolankowskiego, a tak różnej od tej, którą znamy z dramatów Felińskiego i Rydla?

Szkodliwy przedział, jaki wytworzył się pomiędzy historią a literaturą, nie jest zresztą zjawiskiem specyficznym polskim. Każdy kraj ma swoich Handelsmanów z ich teoriami unaukowienia i umetodycznienia (czytaj: zanudzenia) historii. Ale też wszędzie zaczął się wielki literacki ruch samoobrony; szerokie rzesze czytelników interesują się historią i gdy nie zaspakajają tego zainteresowania w sposób dostępny historycy, zastępować ich muszą literaci. Stąd taki ogromny rozwój biografii historycznych, pisanych przez literatów. Biografie te i u nas, w przekładach, poczytność mają ogromną. Polaki czytelnik więcej dzisiaj wie o Juliuszu Cezarze, Cromwellu, Erazmie z Rotterdamu, Marii Stuart czy Marii Antoninie, niż o Chrobrym, biskupie Oleśnickim, Zawiszy Czarnym, Jadwidze czy Barbarze Radziwiłłównie.

A nie zanosi się na to, by miała rychło zajść w tej mierze jakaś zmiana na lepsze. Nasi historycy nie tylko „nie zniżają się” do pisania książek, dostępnych dla szerszych kół

czytelniczych, książek opartych o rzetelną wiedzę, a zarazem literackich w ujęciu – ale surowo skarżą każdego śmiałka-literata, który poważy się wdrzeć na ich teren.

Dwa takie charakterystyczne przykłady można było zanotować w ostatnich miesiącach. Jeden z nich – to atak dłubacki na książkę Juliana Wołoszynowskiego „Było tak”, będącą próbą literackiego przedstawienia dziejów Polski; pisałem o tym w artykule „Cook, Pontus de la Gardie i Było tak”. Drugi przykład, to przyjęcie, z jakim spotkała się w krytyce prasowej książka Aleksandra Świętochowskiego „Genealogia terażniejszości”<sup>42</sup>.

Mam jeszcze świeżo w pamięci te czasy, kiedy w „Prosto z Mostu” drukowaliśmy „Genealogię” w odcinkach.

Była to zawsze najpoczytniejsza kolumna tygodnika. Pomimo, że szkic historyczny Świętochowskiego nie należy do popularnego rodzaju biografii powieściowej, ale zalicza się raczej do publicystyki historycznej, zainteresowanie szerokich kół czytelniczych było olbrzymie.

Po wydaniu „Genealogii” w książce, jej recenzenci-historycy „odkryli”, że Świętochowski opierał się przeważnie na starych, sprzed lat kilkudziesięciu opracowaniach historycznych, co zresztą dla każdego z czytelników nie było żadną rewelacją, autor bowiem wszędzie i sumiennie podawał źródła. Nie zadali sobie natomiast pp. historycy trudu wyświecić, dlaczego to szkic Świętochowskiego, oparty na „starych materiałach”, zdystansował w poczytności ich nowe prace. Zamiast tego zajęli się dłubackim wyszukiwaniem błędzików historycznych. Dr. Olgierd Górka obwieścił wszem wobec i każdemu z osobna na łamach „Gazety Polskiej”, że Świętochowski nie ma zielonego pojęcia o historii, bo nie wie, jakie były dochody państwa polskiego za czasów Stanisława Augusta; podaje 15 milionów, gdy w rzeczywistości wynosiły one 15 milionów tylko dla Korony, a dla Korony i Litwy razem 25 milionów. Nie dość na tym! Świętochowski popełnia tak straszny błąd, że pisze o uchwale 10 proc. dochodów na wojsko, podczas gdy dr. Górka wie, iż 10 proc. obowiązywało tylko szlachtę, a duchowieństwo płacić miało 20 proc. *Horrendum!*

Inny recenzent-historyk, prof. K. Zakrzewski (w „Pionie”) dyskwalifikuje z punktu Świętochowskiego za to, że ujemnie wyraził się o generale Dąbrowskim, którego prof. Zakrzewski (wraz z Berentem) jest snąc entuzjastycznym zwolennikiem. Podobnie recenzent-historyk „Wiadomości Literackich”, p. Józef Feldman, odmawia „Genealogii” wszelkiej historycznej wartości, bo skreślone przez Świętochowskiego sylwetki Czartoryskich, Ignacego Potockiego, Wybickiego czy Niemcewicza lub Zajączka nie idą po jego myśli, są potraktowane zbyt jednostronnie.

---

<sup>42</sup> Aleksander Świętochowski: *Genealogia terażniejszości*, Warszawa, 1936, Tow. Wyd. „Rój”.

Nie dostrzeżono jakoś, że właśnie ta jednostronność celowa i zamierzona, stanowi o pisarskiej wartości książki, wynika ściśle z jej rodzaju literackiego. Jest to przecież pamflet na przedrozbiorową Polskę szlachecką epoki stanisławowskiej. Pamflet rozmyślnie, dla celów publicystycznych, zgęszczający czarne barwy przez jednostronny dobór faktów, ścisłych zresztą w swej istocie i dobrze historykom znanych. Nie jest to beznamiętna dłubanina w historii. Jest to pogląd na pewną epokę naszych dziejów, podyktowany pasją pisarską. Namiętność, z jaką Świętochowski ciska swe oskarżenia, czyni dopiero książkę żywą. Pisana jest tak, jak się zazwyczaj nie pisze o postaciach historycznych, którym odmierza się skrupulatnie złe i dobre, ale jak się pisze o ludziach żywych, z którymi się walczy. Świętochowski w „Genealogii terażniejszości” walczy. Walczy poprzez przeszłość z terażniejszością. W przeszłości bowiem widzi źródła terażniejszości.

Można się nie zgadzać z wieloma tezami Świętochowskiego, z jego poglądem na armię, z jego wilsonowską ideologią polityczną, z jego apoteozą dobroci polskiej, ale nie sposób nie przyznać – i to jest pozytywnym osiągnięciem „Genealogii” – że bardzo wiele faktów z terażniejszości tłumaczyć musi się i tłumaczyć trzeba przez przeszłość szlachecką Polski. Że tej szlacheckiej, tego sarmatyzmu, zarówno w dobrym gatunku, jak i w najgorszym gatunku saskim i stanisławowskim pełno jest w kilkunastoletnich dziejach naszego niepodległego państwa.

Recenzenci – historycy „Genealogii” zbyli na ogół gołosłownymi zaprzeczeniami analogie psychiczne, jakie nasunęły się Świętochowskiemu pomiędzy przeszłością a terażniejszością. Olgierd Górka obwieścił po prostu, że te analogie są zupełnie chybione, bo w latach ostatnich „decydującą rolę odegrała inteligencja i mieszczaństwo”, a nie szlachta.

Tak się złożyło, że w kilka miesięcy po tych recenzjach ukazał się pamiętnik generała Sławoja-Składkowskiego „Strzępy meldunków”. I lektura tego pamiętnika nasunęła K.L. Konińskiemu spostrzeżenia bardzo zbliżone do tezy Świętochowskiego. Uderzyła go właśnie – staropolskość szlachecka środowiska, przedstawianego przez Składkowskiego. Że zaś Koniński nie pisał pamfletu, tylko odpowiedź na ankietę „Prosto z Mostu” o najciekawszej książce, podniósł zarówno złe, jak i dobre strony tej szlacheckości dawnej, wyczuwalnej na każdej stronicy „Strzępów meldunków”. Napisał jak recenzent. Świętochowski pisał jak walczący publicysta, który przeczerzeniem obrazu – działa ostrzegawczo: Uwaga! Baczość! Dokąd idziemy?

Że idąc w takim kierunku, fatalną drogą byśmy poszli, tego świadomość zaczyna być coraz powszechniejsza. Nieoczekiwanie znajduję na to potwierdzenie w artykule mego oponenta w sporze o „Było tak”, K.W. Zawodzińskiego, wydrukowanym w ostatnim numerze „Buntu Młodych”. Zawodziński pisze wprost, że grozi nam zalew czasów saskich. I przypomina ich kilka rysów:



*„W kraju panował bezład i upadek ekonomiczny, miasta pustoszały, stosunek kilkunastotysięcznej armii polskiej do krociowych sił zbrojnych sąsiadów był mniej więcej taki, jak stosunek dzisiejszego budżetu wojskowego Polski do wydatków na ten cel na wschodzie i zachodzie. Fortec nie budowano, gdyż ufano potędze kawalerii narodowej, niezdolnej do zmierzenia się z nowoczesnym wojskiem, a która ledwo mogła uporać się z pacyfikacją rozhajdamaczonej Ukrainy. Na północno-wschodzie propaganda zza kordonu. Zbyt liczna warstwa rządzących, cały stan szlachecki – ciężarem nie do wytrzymania kładła się na wynędzniałej warstwie rządzonych. Faktyczna władza spoczywała w ręku nieodpowiedzialnej oligarchii. Król polował. W stolicy jeszcze było najznośniej – utrzymywali porządek ludzie marszałkowscy; ogrom nędzy widać było dopiero na prowincji, w dawnych stolicach, teraz wyludnionych. Było tak...”.*

To jest też – w kilku zdaniach – przykład, jak historię czynić żywą, jak się z niej uczyć, jak przybliżyć ją dzisiejszości. Jeśli zaniedbują tej twórczej roli historycy, zacieśnieni tylko do połowy swych zadań: naukowych, dłubackich badań, to rolę tę spełniać muszą i spełniać będą pisarze i publicyści. I na to nie pomoże żadna ofensywa dłubaczy. Historia jest nauką, ale także – sztuką. Gdy się wyrzeka swych zadań twórczych, zadań kształtowania teraźniejszości przez odkrywanie w dziejach ludzi i idei praw wiecznie żywych i niezmiennych – luka, jaka w ten sposób powstaje, musi być wypełniona.